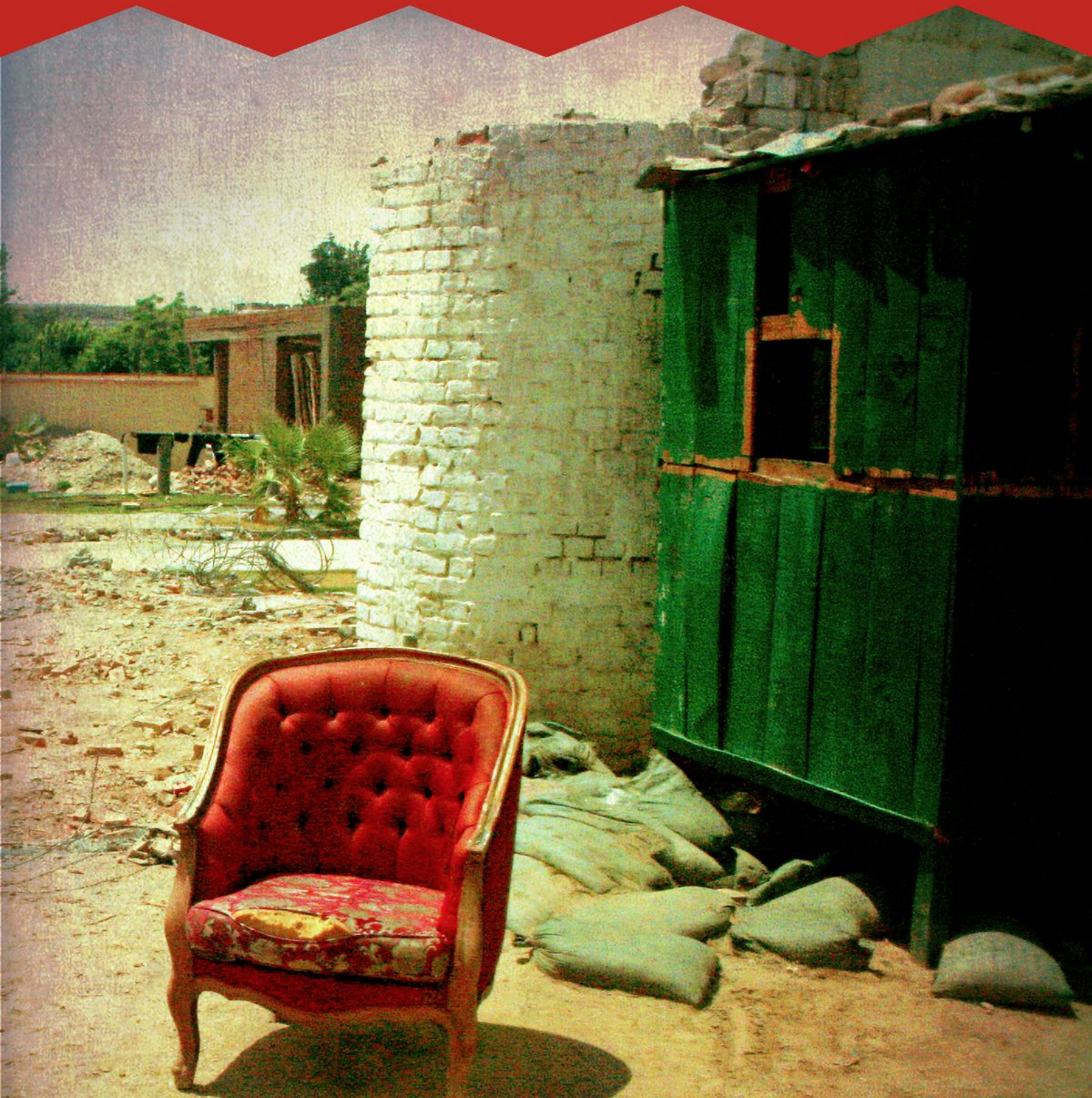


Uwięziona, tom pierwszy





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

MARCEL PROUST

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

Uwięziona

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

TOM PIERWSZY

ROZDZIAŁ PIERWSZY. WSPÓLNE ŻYCIE Z ALBERTYNĄ¹.

Od rana, z głową jeszcze obróconą do ściany, zanim sprawdziłem nad portierami w oknach odcień smugi światła, wiedziałem już, jaka jest pogoda. Powiedziały mi o tym pierwsze odgłosy ulicy, wedle tego, czy dochodziły mnie stępione i spaczone przez wilgoć, czy też drgające jak strzały w dźwięcznej i pustej przestrzeni przestronnego, mroźnego i czystego ranka; z hałasu pierwszego tramwaju zgadywałem, czy markoci się w dżdżu, czy też pomyka w błękit. A nawet te odgłosy poprzedzał może jakiś szybszy i wnikliwszy fluid, który wślizgnąwszy się poprzez mój sen, sączył weń smutek zwiastujący śnieg lub też kazał jakiejś nieuchwytniej istotce intonować tak mnogie kantyczki na chwałę słońca, że w końcu budziłem się w fali oszalamiającej muzyki. Jeszcze na wpół uspiony, zaczynałem się uśmiechać, zamknięte moje powieki przygotowywały się na blask.

W tym okresie odbierałem wrażenia życia zewnętrznego przeważnie ze swego pokoju. Bloch opowiadał, że kiedy przychodził do mnie wieczór, słyszał jak gdyby szmer rozmowy; ponieważ matka była w Combray, on zaś nie zastawał nikogo w moim pokoju, wyciągnął stąd wniosek, że ja rozmawiam sam ze sobą. Kiedy o wiele później dowiedział się, że Albertyna mieszkała wówczas u mnie, zrozumiał, że ją chowałem przed wszystkimi, i oświadczył, że wreszcie pojmuje, czemu w owej epoce nie chciałem nigdzie bywać. Omylił się. Rzecz zresztą bardzo naturalna; mimo iż łańcuch faktów jest konieczny, nie da się go jednak dokładnie przewidzieć. Poznając jakiś ścisły szczegół z cudzego życia, ludzie wyciągają natychmiast fałszywe konsekwencje i świeżo odkrytym faktem wyjaśniają rzeczy, które właśnie nie mają z nim nic wspólnego.

Kiedy myślę teraz, że Albertyna po powrocie z Balbec zgodziła się zamieszkać ze mną w Paryżu pod jednym dachem, że się wyrzekła morskiej podróży, że sypialnia jej była o dwadzieścia kroków od mojej, na końcu korytarza, w gabinecie mojego ojca, obwieszonym dywanami; że co wieczór, bardzo późno, zanim mnie opuściła, wsuwała w moje usta język — jak chleb powszedni, jak posilny pokarm, mający niemal świętość wszelkiego ciała, któremu cierpienia doznane z jego powodu użyczają w końcu jakiejś duchowej słodyczy — odtwarzam sobie natychmiast, przez porównanie, nie ową noc, którą kapitan de Borodino pozwolił mi spędzić w koszarach (co ostatecznie uleczyło mnie jedynie z chwilowego ucisku serca), ale noc, w której ojciec pozwolił mamie spać obok mojego łóżeczka. Bo życie, jeżeli się decyduje jeszcze raz wyzwolić nas z cierpienia, które zdawało się nieuniknione, czyni to w odmiennych warunkach, czasem wręcz tak sprzecznych, że niemal świętokradztwem jest podkreślać analogie!

Mimo iż w pokoju przed rozsunięciem firanek było jeszcze ciemno, dowiedziawszy się od Franciszki, że nie śpię, Albertyna nie bała się robić nieco hałasu, kąpiąc się w swojej łazience. Wówczas zamiast czekać późniejszej godziny szedłem często do sąsiedniej łazienki, dość milej. Niedługo dyrektor teatru wydawał setki tysięcy, aby usiąć prawdziwymi szmaragdami tron, na którym gwiazda grała rolę cesarzowej. Balety rosyjskie przekonały nas, że prosta gra światła właściwie skierowana stwarza klejnoty równie wspaniałe, a rozmaitsze. Ale i ta dekoracja, choć bardziej odmaterializowana, nie jest tak uroczą, jak efekty słońca, oglądane o ósmej rano w miejsce tych, które przywykliśmy oglądać, wstając w południe. Aby nas ustrzec od niedyskretnych oczu, okna w obu łazienkach nie były gładkie, ale zmarszczone sztucznym i niemodnym szronem. I nagle słońce barwiło żółto ten szklany muślin, złociło go i odsłaniając pomału we mnie dawniejszego młodego człowieka, którego długo skrywało przyzwyczajenie, upijało mnie wspomnieniami, tak jakbym był gdzieś wśród drzew, w cieniu złączających się liści, w których nie brakło nawet ptaka. Bo słyszałem Albertynę gwizdzącą bez przerwy:

Szaleństwem są, ach, cierpienia,

¹ *Uwięziona. Wspólne życie z Albertyną* — ten tom i następane aż do końca dzieła ukazały się po śmierci Prousta z pozostawionego przezeń rękopisu; tym samym brak jest tym częściom ostatniego dotknięcia ręki pisarza, który zwykł był dużo pracować na korektach. [przypis tłumacza]

Szaleńszy, kto słucha ich...²

Zbyt ją kochałem, aby się nie uśmiechać radośnie z jej złego smaku w muzyce. Piosenka ta zachwycała zresztą poprzedniego lata panią Bontemps; dowiedziawszy się niebawem, że to „tandeta”, przestała skłaniać Albertynę do zaśpiewania jej przy gościach, ale zastąpiła ją inną:

Pieśń pożegnania, ze źródeł zmaconych...³

Ale z kolei i ta melodia stała się „starą katarynką Masseneta, którą ta smarkata kotłuje nam głowę”.

Przechodziła chmura, zaćmiewała słońce, wstydlive i gęste listowie szklane gasło i wsiąkało w szarość.

Za gotowalnię⁴ służyła Albertynie łazienka, którą mama, mając drugą w innej części mieszkania, nigdy się nie posługiwała, aby nie hałasować w pobliżu mnie. Przepierzenie dzielące nasze gotowalnie było tak cienkie, że myjąc się, mogliśmy rozmawiać: rozmowę przerywał jedynie plusk wody. Takie współzycie częste bywa w hotelu z powodu szczupłości mieszkania i sąsiedztwa pokojów, ale w Paryżu jest raczej rzadkie.

Czasem leżałem dłużej, marząc sobie do woli, bo nie wolno było nikomu wchodzić do mojego pokoju, aż zadzwonię, co z powodu nieporęcznego umieszczenia dzwonka wymagało tyle czasu, że często, zmęczony daremnymi próbami, rad, że jestem sam, niemal zasypiałem na nowo. Nie znaczy to, aby poczucie obecności Albertyny było mi całkowicie obojętne. Oderwanie jej od przyjaciółek oszczędziło memu sercu nowych cierpień; utrzymywało to serce w spokoju, w bezwładzie, który miał mi pomóc do wyzdrowienia. Ale ten spokój, który mi dawała Albertyna, był raczej ukojeniem cierpień niż radością. Zapewne, pozwolił mi kosztować wielu radości, których nazbyt żywy ból wzbraniał mi wprzód; ale radości tych nie zawdzięczałem Albertynie. Już mi się prawie nie wydawała ładna, nudziłem się z nią, miałem wyraźną świadomość, że jej nie kocham. Czulem się natomiast szczęśliwy wówczas, gdy Albertyny nie było. Zwykle też nie kazałem jej wołać zaraz po przebudzeniu, zwłaszcza gdy ranek był piękny. Przez kilka chwil zostawałem sam na sam ze wspomnianą już wewnętrzną osobką, śpiewem pozdrawiającą słońce; wiedziałem, że mi da więcej szczęścia niż Albertyna. Z istot, które składają naszą osobowość, niekoniecznie te najjawniejsze są dla nas najważniejsze. I kiedy choroba powali je wreszcie kolejno, pozostanie ich we mnie jeszcze parę, o życiu twardszym od innych; zwłaszcza pewien filozof, szczęśliwy jedynie wtedy, kiedy odkryje jakąś wspólność między dwoma dziełami lub dwoma wrażeniami. Ale czasem zastanawiałem się, czy ostatnim ze wszystkich nie będzie mały człowieczek, bardzo podobny do tego, którego pamiętałem za szybą u optyka w Combray. Człowieczek ten oznajmiał pogodę i zdejmując kaptur, gdy świeciło słońce, nakładał go w deszcz. Znam egoizm tego człowieczka; mogę mieć astmę, którą uspokoiłby jedynie rześisty deszcz, ale on nie troszczy się o to; za pierwszymi, tak niecierpliwie przeze mnie oczekiwanymi kroplami, traci humor, naciąga markotnie kaptur. Przypuszczam w zamian, że w chwili agonii, kiedy wszystkie inne moje „ja” będą martwe, jeżeli błysnie promień słońca, gdy będę wydawał ostatnie tchnienie, osobka z barometru będzie się czuła bardzo rada i zdejmie kaptur, śpiewając: „Och, nareszcie pogoda”.

Dzwoniłem na Franciszkę i sięgałem po „Figaro”⁵. Szukałem bezskutecznie artykułu (o ile można to tak nazwać), który posłałem do tego dziennika; była to opracowana nieco, a świeżo odnaleziona stronica, napisana niegdyś w powozie doktora Percepied pod wrażeniem wień w Martinville. Potem czytałem list od mamy. Mama uważała za dzikie, niewłaściwe, aby młoda panna mieszkała sama ze mną. Pierwszego dnia, w chwili wyjazdu z Balbec, kiedy mnie widziała tak nieszczęśliwym i martwiła się, że mnie zostawia

²Szaleństwem są, ach, cierpienia... — *Le biniou*, francuska piosenka, której słowa napisał Hippolyte-Louis Guérin (1797–1861), a muzykę skomponował Émile Durand (1830–1903). [przypis edytorski]

³Pieśń pożegnania, ze źródeł zmaconych... — *Pensée d'automne* (Jesienna refleksja, 1887), pieśń na fortepian, której słowa napisał poeta Paul Armand Silvestre (1837–1901), a muzykę skomponował Jules Massenet (1842–1912). [przypis edytorski]

⁴gotowalnia (daw.) — pokój do ubierania się lub stolik z lustrem i przyborami do robienia toalety (toaletka). [przypis edytorski]

⁵„Figaro” — popularny konserwatywny dziennik paryski, założony w 1854. [przypis edytorski]

samego, może była rada, dowiadując się, że Albertyna jedzie z nami, i patrząc, jak tuż obok naszych walizek (nad tymi walizkami spędziłem noc w Hôtel de Balbec, płacząc) pakują do wagonu wąskie i czarne walizki Albertyny. Wydawały mi się podobne do trumien, nie wiedziałem, czy wniosą w mój dom życie czy śmierć... Ale nie zadałem sobie nawet tego pytania w ów promienny poranek, po grozie pozostania w Balbec, szczęśliwy, że zabieram Albertynę. Matka nie była wtedy⁶ zrazu wroga memu projektowi; odnosiła się mile do Albertyny, niby mamusia, której syn jest ciężko ranny i która wdzięczna jest jego młodej przyjaciółce pielęgnującej go z oddaniem. Usposobienie mamy zmieniło się od czasu, jak się ów projekt zrealizował zbyt dokładnie, w miarę jak pobyt młodej panny w naszym domu przeciągał się, i to w nieobecności moich rodziców. Ale nie mogę powiedzieć, aby matka zdradziła kiedyś przede mną tę wrogość. Jak niegdyś, kiedy nie śmiała mi już wyrzucać nerwowości, lenistwa, tak teraz — w danej chwili może to nie całkiem odgadłem lub nie chciałem odgadnąć — podnosząc pewne wątpliwości co do panny, którą, jak jej mówiłem, uważałem za swoją narzeczoną, bała się osmucić moje życie, podkopać mój późniejszy stosunek do żony, zaszczerpić mi może na później, kiedy matki już nie będzie, wyrzut, żem ją zmartwił, żeniąc się z Albertyną. Nie mając nadziei odwrócić mnie od tego wyboru, mama wolała udawać, że go pochwała. Ale wszyscy, co ją widzieli w owej epoce, powiadali, że ból po stracie matki zaostrił się wyrazem nowej troski. Owo napięcie myśli, ciągła wewnętrzna rozterka, przyprawiały mamę o uderzenia krwi do głowy, tak że stale otwierała okna dla ochłody. Ale nie umiała powziąć decyzji z obawy, aby na mnie nie wpłynąć w ujemnym sensie i nie popsuć tego, co uważała za moje szczęście. Nie mogła się nawet zdobyć na protest przeciw pobytowi Albertyny. Nie chciała się okazać surowsza od pani Bontemps; to była przede wszystkim jej sprawa, ona zaś nie uważała tego za niestosowne, co bardzo dziwiło matkę. W każdym razie żałowała, że nas musi zostawić we dwoje, jadąc właśnie do Combray, gdzie mogła zostać (i w istocie została) długie miesiące, w ciągu których cioteczna babka potrzebowała jej dniem i nocą. W tych okolicznościach wiele dobroci i oddania okazał jej Legrandin, który nie uchylając się przed żadnym trudem, z tygodnia na tydzień odkładał powrót do Paryża, niewiele nawet znając moją ciotkę, po prostu dlatego że była niegdyś przyjaciółką jego matki i dlatego że czuł, iż chora, skazana na śmierć, lubi jego opiekę i nie może się obyć bez niego. Snobizm jest ciężką chorobą duszy, ale zlokalizowaną, tak iż nie psuje jej całej.

Ja, przeciwnie, byłem bardzo rad z pobytu mamy w Combray; inaczej bałbym się, aby matka nie odgadła przyjaźni Albertyny z panną Vinteuil, a nie mogłem powiedzieć Albertynie, żeby się z tym kryła. Stałoby się to w oczach matki absolutną przeszkodą, nie tylko do małżeństwa (o którym zresztą na jej prośbę nie miałem jeszcze stanowczo mówić z Albertyną i o którym myśl była mi coraz nieznośniejsza), ale nawet do pobytu Albertyny u nas. Poza tą tak poważną a nieznaną jej racją, mama, z jednej strony przez kult babki, uwielbiającej George Sand⁷ i mieszczącej cnotę w szlachectwie serca, z drugiej strony zdeprawowana moim wpływem, była teraz pobłażliwa dla kobiet, których życie osądziłaby surowo niegdyś (lub nawet dziś, o ile by należały do jej znajomych i przyjaciółek z Paryża lub z Combray); kobiet, których wielką duszę chwaliłem przed mamą i którym wiele przebaczała, bo mnie kochały. Mimo wszystko, i nawet poza kwestią konwenansów, sądzę, że Albertyna byłaby niemożliwa dla mamy, przechowującej po Combray, po ciotce Leonii, po wszystkich swoich krewnych, nawyki porządku, o którym Albertyna nie miała najmniejszego pojęcia.

Albertyna nie zamknęłaby drzwi, a w zamian nie wahałaby się wejść, niby pies lub kot, kiedy drzwi były otwarte. Wdziękiem jej, nieco uciążliwym, było to, że grała u nas w domu rolę nie tyle młodej dziewczyny, ile zwierzęcia domowego, które wchodzi, wychodzi, płacze się to tu to tam, rzuca się na łóżko obok mnie — cóż za wypoczynek dla mnie! — robi sobie tam miejsce, z którego się już nie rusza, nie krępując mnie, w przeciwieństwie do ludzkiej osoby. Bądź co bądź, nagięła się w końcu do moich godzin snu, do tego, aby nie próbować nie tylko wchodzić, ale aby nie robić hałasu, nim zadzwonię. To Franciszka nałożyła jej te reguły.

⁶tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

⁷George Sand, właśc. *Armandine Aurore Lucille Dudevant* (1804–1876) — francuska pisarka epoki romanizmu; autorka wielu powieści, przyjaciółka wybitnych twórców kultury. [przypis edytorski]

Franciszka była z owych służących w stylu Combray, znających wartość swego pana i mających poczucie, że minimum ich obowiązku to pilnować, aby mu oddano to, co mu się w ich przekonaniu należy. Kiedy obcy gość dawał napiwek Franciszce do podziału z posługaczką, gość jeszcze nie miał czasu wręczyć monety, kiedy Franciszka, z równą chyżością, jak dyskrecją i energią, zdążyła udzielić lekcji tej dziewczynie, aby podziękowała nie półsłówkiem, ale szczerze, głośno, tak jak ją nauczyła. Proboszcz z Combray nie był orzeł, ale też wiedział, co się należy. Pod jego kierunkiem córka kuzynów pani Sazerat, protestantów, przeszła na katolicyzm, przy czym rodzina była dla księdza niesłuchanie czuła: chodziło o małżeństwo z młodym ziemianinem z okolic Méséglise. Zasięgając informacji, rodzice młodego człowieka napisali do księdza list dość impertynencki, w którym potraktowano z partesu⁸ protestanckie pochodzenie panny. Proboszcz odpowiedział takim tonem, że szlachcic z Méséglise, ukorzywszy się całkowicie, napisał zgoła już inny list, w którym prosił jako o łaskę o to, aby mógł przyjąć do rodziny tę panienkę.

Franciszka nie miała w tym zasługi, że nauczyła Albertynę szanować mój sen. Była przepojona tradycją. Z milczenia jej lub ze stanowczej repliki na niewinną propozycję wejścia do mego pokoju lub pytania mnie o coś Albertyna pojęła ze zdumieniem, że się znalazła w dziwnym świecie o nieznanym zwyczajach wytyczonych przez niezłomne prawidła. Pierwsze przecucie tego miała już w Balbec, ale w Paryżu nie próbowała nawet się opierać: rano zachowywała ciszę, czekając cierpliwie dzwonka.

Wychowanie, jakiego jej udzieliła Franciszka, było zresztą zbawienne i dla niej samej, przez to, że uspokoiło nieco jęki, jakich od powrotu z Balbec nasza stara służąca nie przedstawiała wydawać. Chodziło o to, iż wsiadając do kolejki, spostrzegła, że zapomniała się pożegnać z „gubernantką” hotelu, wąsatą osobą, dozorującą korytarzy. Osoba ta zaledwie że знаła Franciszkę, ale była dla niej stosunkowo grzeczna. Franciszka chciała absolutnie zawrócić z drogi, wysiąść, wrócić, pożegnać się z „gubernantką” i wyjechać dopiero nazajutrz. Rozsądek, a zwłaszcza nagły wstręt do Balbec nie pozwoliły mi się zgodzić na to; stąd chorobliwe i nerwowe niezadowolenie Franciszki, którego nie zdołała w niej zatrzeć zmiana klimatu i które trwało jeszcze w Paryżu. Bo wedle kodeksu Franciszki, tego, który symbolizują płaskorzeźby w Saint-André-des-Champs, wolno pragnąć śmierci nieprzyjaciela, zadać mu ją nawet, ale straszne jest nie zrobić tego, „co się należy”, nie oddać grzeczności, nie pożegnać się przed wyjazdem — jak prawdziwa chamka! — z „gubernantką”. Przez całą podróż owo wciąż odnawiające się wspomnienie nietaktu okrywało policzki Franciszki niepokojącym pąsem. I jeżeli nie chciała nic jeść i pić aż do Paryża, to może nie tyle, aby nas ukarać, ale dlatego, że to wspomnienie „gnietło ją” dosłownie w „dolku”. Każda klasa ma swoją patologię.

Jedną z przyczyn sprawiających, że mama pisała do mnie co dzień (przy czym nigdy nie brakło cytatu z pani de Sévigné⁹), było wspomnienie babki. Mama pisała: „Pani Sazerat wyprawiła dla nas śniadanko, takie jak ona umie; jedno z tych, które — jakby powiedziała twoja biedna babka, cytując panią de Sévigné — »wyrrywają z samotności, nie przynosząc nam towarzystwa«. W jednej z pierwszych odpowiedzi napisałem głupio: „Po tych cytatach, mammo, twoja matka poznałaby cię zaraz”. Na co w trzy dni później dostałem tę odpowiedź: „Drogie dziecko, jeżeli chciałeś mówić o *mojej matce*, bardzo nie w porę powołujesz się na panią de Sévigné. Odpowiedziałaby ci, jak odpowiedziała pani de Grignan: »Więc ona ci była niczym? Sądziłam, że to była twoja krewna«”.

Słyszałem kroki Albertyny wychodzącej ze swego pokoju lub wracającej. Dzwoniłem, bo to była pora, kiedy Anna miała przybyć po Albertynę z szoferem, przyjacielem Morela, narajonym przez Verdurinów. Wspominałem mglisto Albertynie o możliwości naszego małżeństwa, ale nigdy nie uczyniłem tego formalnie; ona sama, kiedyś powiedział: „Nie wiem, ale może byłoby to możliwe”, przez delikatność potrząsnęła z melancholijnym uśmiechem głową, mówiąc: „Ale nie, nie byłoby możliwe”, co znaczyło: „Jestem za biedna”. I wciąż mówiąc o przyszłości, że „to wszystko jest jeszcze bardzo niepewne”, na razie robiłem wszystko, aby ją rozerwać, umilić jej życie, starając się — może nieświadomie — zbudzić w niej tym ochotę wyjścia za mnie. Śmiała się sama z tego zbytku. „Ależ matka

⁸partes (daw.) — partytura, nuty; *traktować z partesu*: z góry, z wyższością. [przypis edytorski]

⁹pani de Sévigné, właśc. *Marie de Rabutin-Chantal, markiza de Sévigné* (1626–1696) — autorka słynnych listów pisanych do córki, cenionych jako obraz obyczajów epoki. [przypis edytorski]

Anny zrobiłaby minę, widząc, że się wystrychnęła na damę bogatą jak ona, mającą — jak ona mówi — »konie, powozy, obrazy«. Jak to? Nigdy ci nie opowiadałam, że ona tak mówi? Och, to jest typ! Dziwi mnie tylko, że ona wynosi obrazy do godności koni i powozów”.

Ujrzymy później, że mimo głupiego słownictwa, jakie jej pozostało, Albertyna rozwinięła się zdumiewająco, co mi było zupełnie obojętne. Duchowe zalety towarzyski życia zawsze mało mnie interesowały; jeżeli je podkreślałem kiedykolwiek, to przez czystą grzeczność. Jedynie oryginalna umysłowość Franciszki bawiłaby mnie może. Mimo woli uśmiechałem się przez chwilę, kiedy na przykład, korzystając z tego, że Albertyny nie było w domu, zagadywała mnie tymi słowami: „Bóstwo niebiańskie¹⁰ złożone na łóżku!”. Powiadałem: „Ależ, Franciszko, czemu bóstwo niebiańskie?”. — „Och, jeżeli pan myśli, że pan ma coś z ludzi pielgrzymujących na naszej brzydkiej ziemi, myli się pan bardzo”. — „Ale czemu »złożone« na łóżku, widzi Franciszka przecież, że leżę pod kołdrą”. — „Pan nigdy nie leży. Czy widział kto kiedy kogo, żeby tak leżał w łóżku? Pan przycupnął jak ptaszek. Ot, w tej chwili... ta piżama taka bieluśka, ta szyjka... istny gołąbek”.

Albertyna, nawet gdy chodziło o lada głupstwo, wyrażała się całkiem inaczej niż podlotek, jakim była jeszcze przed kilku laty w Balbec. Obecnie oświadczyła z powodu jakiegoś wydarzenia politycznego, które potępiała: „To doprawdy monstrialne”. I nie wiem, czy nie w tej epoce, chcąc powiedzieć, że jakaś książka wydaje się jej źle napisana, nauczyła się mówić: „Zajmujące, ale doprawdy *pisane jak nogą*”.

Zakaz wchodzenia do mnie, nim zadzwonię, bawił Albertynę bardzo. Że zaś przejęła nasz rodzinny nawyk cytatów i czerpała je ze sztuk, które grywała w klasztorze, a które ja lubiłem, porównywała mnie zawsze z Asuerusem¹¹:

Z jego rozkazu krwią się natychmiast ubroczy
Śmiałek, co niewołany stanie mu przed oczy.
Nic od tego wyroku srogięgo nie chroni,
Płeć ni godność; na równi prawo wszystkim broni
Przystępu, i ja sama...
Prawu temu podlegam tak jak każda inna...
I aby doń przemówić w jakiej bądź potrzebie,
Muszę czekać, aż wezwac raczy mnie do siebie.¹²

Fizycznie Albertyna zmieniała się również. Długie niebieskie oczy — jeszcze bardziej wydłużone — zmieniły wygląd; zachowały ten sam kolor, ale przeszły jak gdyby w stan płynny. Tak że kiedy je zamykała, miało się wrażenie, że to firankami zasłania się widok morza. I ten zwłaszcza szczegół, jak sądzę, pamiętałem, rozstając się z nią co nocy. Bo na przykład, wręcz przeciwnie, przez długi czas jej falujące włosy sprawiały mi co rano niespodziankę, niby coś nowego, czego nigdy nie widziałem. A przecież cóż może być piękniejszego niż ten kędzierzawy wianek czarnych fiołków nad uśmiechniętym spojrzeniem młodej dziewczyny? Uśmiech ofiarowuje więcej przyjaźni, ale lśniące haczyki rozkwitłych włosów, bardziej zrosnięte z ciałem, będąc niejako jego falistą transpozycją, snadniej¹³ łowią pragnienie.

Ledwo wszedłszy, Albertyna wskakiwała na łóżko; czasem rozplywała się nad moją inteligencją, przysięgała w szczerym zapale, że wolałaby raczej umrzeć niż mnie opuścić; były to dni, w których ogoliłem się, zanim kazałem ją wezwać. Była z liczby kobiet nieumiejących rozróżnić źródeł tego, co odczuwają. Przyjemność, jaką im sprawia gładka

¹⁰*Bóstwo niebiańskie*... — ten kwiecisty styl tak odskakuje od zwykłego stylu Franciszki, że raczej należałoby go chyba przypisać znajomej z Balbec, Celeście Albaret. Obie, Franciszka i Celesta, robione były z prawdziwych modełłów, służących u Prousta, i widocznie zwały się tu w jedno. [przypis tłumacza]

¹¹*Assuérus* (fr.), pol. *Achaszuerosz* a. *Ahasuer* — perski król z biblijnej *Księgi Estery*: na skutek intrygi najwyższego urzędnika, Hamana, wydał rozkaz zabicia wszystkich Żydów w państwie. Żona króla, Żydówka Estera, ryzykując śmiercią, poprosiła męża o zmianę decyzji. Król przyjął ją łaskawie, Hamana powieszono, a Żydzi ocaleli. Historię tę upamiętnia żydowskie święto Purim. [przypis edytorski]

¹²*Z jego rozkazu krwią się natychmiast ubroczy śmiałek*... — Racine, *Estera* (1689), akt I, scena 3 (Estera o królu Ahaswerze, w rozmowie ze swoim wujem i opiekunem Mordechajem). [przypis edytorski]

¹³*snadniej* (daw.) — łatwiej. [przypis edytorski]

cera, tłumaczą sobie duchowymi zaletami człowieka, który im wróży możliwości szczęścia, malejącego zresztą i mniej potrzebnego, w miarę jak broda odrasta.

Pytałem, dokąd się wybiera.

— Zdaje się, że Anna chce mnie zabrać do Buttes-Chaumont, których nie znam.

Oczywiście, niepodobna mi było rozpoznać wśród mnóstwa słów, czy pod tym kryje się kłamstwo. Ufałem zresztą Annie, że mi opowie dokładnie, gdzie była z Albertyną.

W Balbec, kiedyś się czułem nadto zmęczony Albertyną, marzyłem, że kiedyś powiem kłamliwie Annie: „Aniu złota, czemuż cię nie spotkałem wcześniej! Byłbym cię pokochał. Teraz serce moje należy do innej. Ale i tak możemy się często widywać, bo tamta moja miłość sprawia mi wiele zgryzot i ty mnie możesz pocieszyć”. Otóż te kłamliwe słowa stały się prawdą w ciągu trzech tygodni. Może Anna wierzyła w Paryżu, że to jest w istocie kłamstwo i że ją kocham, tak jak uwierzyłaby z pewnością w Balbec. Bo prawda tak się zmienia dla nas, że inni ledwo mogą się w niej wyznaczyć. Ponieważ zaś wiedziałem, że Anna opowiedziałaby mi wszystko, prosiłem ją (i zgodziła się), aby wstępowała po Albertynę prawie co dzień. W ten sposób mógłbym bez troski zostawać w domu.

Fakt, że Anna jest jedną z „bandy” dziewcząt z Balbec, dawał mi wiarę, że uzyskalaby od Albertyny wszystko, czego bym zapragnął. Doprawdy, mógłbym jej teraz powiedzieć najszczerzej, że byłaby zdolna mnie uspokoić.

Z drugiej strony, wybór Anny (była teraz w Paryżu, poniechała zamierzonego powrotu do Balbec) na towarzyszkę, wynikał z tego, co mi Albertyna mówiła o czułości Anny dla mnie w Balbec, w pewnym momencie, gdy ja, przeciwnie, bałem się, że ją nudzę; gdybym był wówczas wiedział¹⁴ o tym, byłbym może pokochał Annę.

— Jak to, nie wiedziałeś? — mówiła Albertyna. — Przecież wszystkie żartowałyśmy z tego. Zresztą, czyś nie zauważył, że ona zaczęła naśladować twój sposób mówienia, twój styl? Zwłaszcza kiedy świeżo się rozstała z tobą, to było uderzające. Nie potrzebowała mówić, że cię widziała. Kiedy przychodziła od ciebie, widać to było od pierwszej sekundy. Patrzyłyśmy po sobie i śmiałyśmy się. Była jak węglarz, który chciałby wmówić, że nie jest węglarzem, a jest cały czarny! Młynarz nie potrzebuje mówić, że jest młynarzem, jest na nim pełno mąki, ma jeszcze ślady worków, które nosił. Anna to samo; podnosiła brwi jak ty, a przy tym ta jej długa szyja, słowem, nie umiem ci powiedzieć co. Kiedy wezmę książkę, która była w twoim pokoju, mogę ją czytać na dworze, i tak wiadomo, że jest od ciebie, bo zachowuje zapach twoich paskudnych okadzań¹⁵. To niby nic, ale to *nic* jest w gruncie dosyć miłe. Ile razy ktoś mówił dobrze o tobie, kiedy ktoś robił wrażenie, że cię wysoko ceni, Anna była wniebowzięta.

Mimo wszystko, nie chcąc, aby coś mogły uplanować bez mojej wiedzy, poddałem, aby na ten dzień poniechały Buttes-Chaumont i aby się wybrały raczej do Saint-Cloud lub gdzie indziej.

To nie znaczyło (wiedziałem o tym), abym kochał bodaj trochę Albertynę. Miłość jest może jedynie rozchodzeniem się owych kręgów, które pod wpływem jakiegoś wzruszenia mącą duszę. Pewne kręgi poruszyły całego mnie, kiedy Albertyna powiedziała mi w Balbec o pannie Vinteuil, ale teraz się zatarły. Nie kochałem już Albertyny, bo nic już we mnie nie zostało z cierpienia — uleczonego obecnie — które odczułem w kolejce w Balbec, dowiadując się, jaka była młodość Albertyny, z możliwością wizyt w Montjouvain. O tym wszystkim myślałem zbyt długo, z tego byłem uleczony. Ale chwilami coś w sposobie mówienia Albertyny kazało mi przypuszczać — nie wiem czemu — że musiała w swoim jeszcze tak krótkim życiu słuchać wielu komplementów, oświadczeń, i słuchać ich z przyjemnością, można powiedzieć, zmysłową. Tak na przykład mówiła z byle jakiego powodu: „Naprawdę? Całkiem naprawdę?”. Gdyby powiedziała tak jak Odeta: „Szczere mówisz to potworne kłamstwo?”, to by mnie z pewnością nie niepokoiło, bo śmieszność tego zwrotu tłumaczyłaby się miałością kobiecego mózgu. Ale jej pytający ton: „Naprawdę?” sprawiał z jednej strony dziwne wrażenie istoty, która nie może sobie sama zdać z czegoś sprawy, która apeluje do czyjegoś świadectwa, tak jakby nie posiadała tych samych sprawdzianów (kiedy jej ktoś na przykład mówił: „Będzie już godzina,

¹⁴gdym był wówczas wiedział — przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość; dziś: gdybym wówczas wiedział. [przypis edytorski]

¹⁵okadzania — zabieg z przepisu lekarzy, stosowany przez samego Prousta przeciw astmie. [przypis tłumacza]

jakeśmy wyjechali” albo: „Deszcz pada”, pytała się: „Naprawdę?”). Na nieszczęście, z drugiej strony, niemożność ocenienia danego zjawiska nie musiała być prawdziwym źródłem owego: „Naprawdę? Całkiem naprawdę?”. Zdawałoby się raczej, że te słowa musiały być od wczesnej dojrzałości Albertyny odpowiedzią na: „Wie pani, nie widziałem osoby tak pięknej jak pani”; „Pani wie, ja panią bardzo kocham, pani na mnie straszliwie działa”. Twierdzenia, którym odpowiadały z zalotnie przychylną skromnością owe: „Naprawdę? Całkiem naprawdę?”, ze mną służące Albertynie już tylko dla odpowiadania pytaniem na słowa takie jak: „Drzemałaś więcej niż godzinę”. — „Naprawdę?”.

Nie czując się ani trochę zakochany w Albertynie, nie licząc do przyjemności chwil, gdy byliśmy razem, wciąż głowiłem się, jak ona spędza czas; to fakt, iż uciekłem z Balbec, aby być pewny, że nie będzie mogła już spotkać jakiejś osoby, z którą mogłaby czynić coś złego, śmiejąc się, może śmiejąc się ze mnie. Tak bardzo się tego bałem, że starałem się zrećźnie przeciąć swoim wyjazdem, za jednym zamachem, wszystkie jej podejrzane stosunki. I Albertyna miała tyle bierności, taką łatwość zapominania i poddawania się, że owe stosunki były naprawdę zerwane, a moja obsesja uleczona. Ale ta fobia może przybierać tyle form, ile ich ma niepochwytne zło będące jej przedmiotem. Dopóki zazdrość moja nie wcieliła się w nowe istoty, miałem po swoich minionych cierpieniach okres spokoju. Ale chronicznej chorobie lada pozór wystarczy do odnowienia się; podobnie narowom osoby będącej źródłem tej zazdrości lada sposobność wystarczy na to, aby je zaczęła uprawiać na nowo (po okresie wstrzemięźliwości) z innymi osobnikami. Mogłem oderwać Albertynę od jej współpracowników i przez to odczynić złe uroki; ale o ile można było zatrzeć w jej pamięci jakąś osobę, przerwać jej zapawy, żądza rozkoszy była u Albertyny również chroniczna i czekała może tylko okazji, aby sobie dać folgę¹⁶. Otóż Paryż dostarcza okazji tyleż co Balbec.

W jakim bądź mieście działoby się to zresztą, Albertyna nie potrzebowała szukać, bo zło było nie tylko w niej, ale w innych, dla których wszelka sposobność jest dobra. Spojrzenie jednej, natychmiast zrozumiane przez drugą, zbliża do siebie dwie wygłodniałe istoty. I jakże łatwo sprytniej kobiecie udać, że nic nie widzi, aby w pięć minut później podejść do osoby, która zrozumiałwszy, czekała na nią w przecznicy. W dwóch słowach umówią schadzkę. Kto się kiedy dowie? I aby to mogło trwać, Albertyna potrzebowała po prostu powiedzieć mi, że pragnie przejechać się znów w jakąś okolicę Paryża, która się jej spodobała. Toteż wystarczało, aby wróciła późno, aby zwłoka jej była dla mnie niezrozumiała (choć może bardzo łatwa do wytłumaczenia bez żadnej erotycznej hipotezy), żeby się odrodziło moje cierpienie. Kojarzyło się ono z obrazami niezwiązanymi już z Balbec, obrazami, które sililem się, jak owe poprzednie, zniweczyć: jak gdyby usunięcie przemijającej przyczyny mogło pokonać organiczną chorobę! Nie zdawałem sobie sprawy, że tymi zamachami, które wspomagała zmienność Albertyny, zdolność zapominania — prawie zniechęcenia — niedawnego przedmiotu miłości, mogłem zadać głęboki ból jakiejś nieznanej istocie, partnerce jej rozkoszy; i zadawałem ten ból daremnie, bo w miejsce tych porzuconych istot znalazłyby się inne; i równoległe z drogą znaczoną tyłoma tak lekko zrywanymi kaprysami Albertyny ciągnęłaby się dla mnie inna nieubłagana droga, zaledwie przerywana krótkimi wytchnieniami; tak iż, biorąc logicznie, męka moja mogłaby się skończyć jedynie wraz z Albertyną lub ze mną.

W pierwszym okresie naszego pobytu w Paryżu relacje Anny i sfera tyżące spacerów Albertyny nie zaspokajały mnie; okolice Paryża były mi czymś nie mniej okrutnym niż okolice Balbec; zatem wyjechałem na kilka dni z Albertyną. Ale wszędzie towarzyszyła mi ta sama niepewność: możliwości złego równie liczne, dozór jeszcze trudniejszy, tak że wróciłem z nią do Paryża. Opuszczając Balbec, sądziłem, że opuszczam Gomorę, że wyrrywam z niej Albertynę; niestety, Gomora czała się po wszystkich kątach świata. I wół przez zazdrość, wół przez nieznaną tych uciech (wypadek nader rzadki) unormowałem bezwiednie tę ciuciubabkę, w której Albertyna miała mi się zawsze wymykać.

Pytałem zniechęta:

¹⁶folga (daw.) — ulga, odpoczynek; pobłażanie; *dać sobie folgę*: folgować sobie, pozwalać sobie na coś. [przypis edytorski]

— A! Słuchaj no, Albertyno, czy mi się coś marzy, czy też wspominałaś, żeś znała Gilbertę Swann?

— Tak, to znaczy ona odezwała się do mnie raz na kursach, bo miała kajety¹⁷ historii francuskiej, była nawet bardzo miła, pożyczała mi tych kajetów i oddałam je za najbliższym widzeniem.

— Czy ona jest z rodzaju kobiet, których nie lubię?

— Och! Wcale nie, wręcz przeciwnie.

Ale najczęściej, zamiast się oddawać tego rodzaju śledztwu, obracałem na planowanie spacerów Albertyny energią, której nie zużywałem na to, aby jej towarzyszyć, i rozprawałem o nich z zapalem typowym dla niewykonanych projektów. Wrażałem taką chęć obejrzenia witrażu w Sainte-Chapelle, taki żal, że nie mogę tego zrobić tylko z samą Albertyną, że w końcu mówiła czule: „Ależ, kochanie, skoro masz taką ochotę, przemóż się, pojedź z nami. Zaczekamy na ciebie tak długo, jak zechcesz. A jeżeli wolisz być ze mną sam, odeślę po prostu Annę, wybierze się kiedy indziej”. Ale właśnie te prośby, aby z nią jechać, pogłębiały spokój, który mi pozwalał poddać się chęci zostania w domu.

Nie zastanawiałem się, że apatia, z jaką powierzałem Albertynę Annie lub szoferowi, zdając na nich ukojenie moich lęków, porażała we mnie, ubezwładniała wszystkie owe pomysłowe drgnienia inteligencji, owe natchnienia woli pomagające odgadnąć i udaremnić postępkę danej osoby; to pewne, iż przy moim charakterze świat możliwości był mi zawsze bardziej otwarty niż realny świat urzeczywistnień. To ułatwia ogólne poznanie duszy, ale nie chroni w poszczególnym wypadku. Zazdrość moja i jej męża rozdziły się z obrazów, a nie z przypuszczeń. Otóż w życiu ludzi i w życiu narodów mogą być chwile (i taka chwila miała przyjść w moim życiu), że człowiek potrzebowałby mieć w sobie prefekta policji, bystrego dyplomata, tajnego agenta, który zamiast roić o bezkresnych możliwościach skupia się i powiada: „Jeżeli Niemcy oświadczają to a to, to znaczy, że chcą zrobić coś innego; nie coś innego w abstrakcji, ale ściśle to lub tamto, co może się już nawet zaczęło”. — „Jeżeli dana osoba uciekła, to nie w kierunku A, B, D, ale w kierunku C; miejscem tedy, gdzie trzeba skupić poszukiwania, jest C”. Niestety, tej zdolności, niezbyt we mnie rozwiniętej, pozwoliłem odrętwieć, osłabnąć, zaniknąć, nawykłszy pogrążyć się w spokoju, z chwilą gdy ktoś inny godził się czuwać za mnie.

Co się tyczy powodów owej chęci pozostania w domu, nierad byłbym wyznać je Albertynie. Powiadałem, że lekarz kazał mi leżeć. To nie była prawda. A gdyby nawet tak było, przepisy lekarza nie przeszkodziłyby mi towarzyszyć Albertynie. Wypraszałem się od jechania z nią i z Anną. Podam tylko jedną rację, wspierającą się na rozsądku. Kiedym towarzyszył Albertynie, czułem się niespokojny, skoro na chwilę została beze mnie; obrażałem sobie, że może z kimś rozmawiała lub bodaj spojrzała na kogoś. Jeżeli nie była w świetnym humorze, myślałem zaraz, że m popsuł lub opóźnił jakiś jej projekt. Rzeczywistość jest zawsze tylko przynętą dla Nieznanego, którego śladem nie możemy zejść bardzo daleko. Lepiej nie wiedzieć, myśleć możliwie najmniej, nie dostarczać zazdrości żadnego konkretnego szczegółu. Niestety, w braku życia zewnętrznego życie wewnętrzne również nastęrcza okazje; i bez spacerów Albertyny przypadki napotykanne we własnych refleksjach dostarczały mi ułamków rzeczywistości, przyciągających do siebie niby magnes trochę owego Nieznanego, które z tą chwilą stają się bolesne. Choćbyśmy żyli jak pod pneumatycznym kloszem, i tak skojarzenia, wspomnienia działają. Ale te wewnętrzne wstrząsy nie następowały zaraz; ledwie Albertyna wyszła, czułem się skrzepiony bodaj na kilka chwil ożywczym działaniem samotności.

Brałem udział w rozkoszach rodzącego się dnia; obudzone pragnienie — kapryśna i czysto moja zachcianka — kosztowania ich nie wystarczyłoby, aby je zbliżyć do mnie, gdyby swoista pogoda każdego dnia nie wywoływała we mnie minionych obrazów; co więcej, stwierdzała ona ową doraźną realność, bezpośrednio dostępną wszystkim tym, których przypadkowe i tym samym nieważne okoliczności nie zmuszały do zostania w domu. W pewne pogodne dni było tak zimno, odczuwało się tak szeroką styczność z ulicą, jak gdyby się rozwarły ściany domu: ilekroć przejeżdżał tramwaj, dzwonek jego rozbrzmiewał tak, jakby srebrny nóż uderzał w szklany dom. Ale zwłaszcza w sobie słyzałem z upojeniem nowy dźwięk, wydawany przez skrzypce duszy. Struny ich napina

¹⁷kajet (daw.) — zeszyt. [przypis edytorski]

lub zwalnia prosta różnica ulicznej temperatury, światła. W naszej istocie, instrumencie oniemionym przez jednostajność przyzwyczajenia, śpiew rodzi się z tych odstępów, z tych wariacji, źródła wszelkiej muzyki; aura pewnych dni przerzuca nas od razu z jednej nuty w drugą. Odnajdujemy zapomnianą melodię, której matematyczną konieczność moglibyśmy odgadnąć, a którą zrazu śpiewamy, nie znając jej. Jedynie te zmiany wewnętrzne, mimo że pochodzące spoza mnie, odnawiały dla mnie zewnętrzny świat. Jakieś od dawna zamurwane drzwi otwierały się w moim mózgu. Życie jakichś miast, wesołość jakichś spacerów odzyskiwały we mnie miejsce. Drząc cały dookoła wibrującej struny, oddałbym za ten tak niezwykły stan moje szare życie dawniejsze i moje przyszłe życie, wytarte gumą przyzwyczajenia.

Kiedy nie wybrałem się z Albertyną na dłuższy spacer, duch mój wałęsał się tym bardziej: wyrzekłszy się kosztowania zmysłami owego poranka, cieszyłem się w wyobraźni wszystkimi podobnymi rankami — minionymi lub możliwymi — ściślej mówiąc, pewnym typem poranków, którego wszystkie podobne ranki były jedynie przygodnym i rychło przeze mnie utożsamionym odbiciem; chłodne powietrze samo z siebie obracało właściwe stronicie: znajdowałem przed sobą ewangelię dnia, tak iż mogłem ją odczytać z łóżka. Ów idealny poranek wypełniał mój umysł trwałą rzeczywistością, tożsamą ze wszystkimi podobnymi rankami, i udzielał mi radości, której nie zmniejszała moja niemoc. Dobre samopoczucie rodzi się w nas nie tyle ze zdrowia, ile z niezużytej nadwyżki sił: możemy je osiągnąć zarówno przez wzmożenie sił, jak przez ograniczenie czynności. Energia, którą kipiałem i którą utrzymywałem w stanie potencjalnym, leżąc w łóżku, sprawiała, że dmęłam i podskakiwałam wewnątrz, niby maszyna, która nie mogąc zmienić miejsca, kręci się dookoła swej osi.

Franciszka przychodziła rozpalić ogień; iżby lepiej chwycił, rzucała kilka gałązek, których zapach, zapomniany przez całe lato, opisywał dokoła kominka magiczny krąg. Oglądałem w tym kręgu samego siebie czytającego to w Combray, to w Doncières i, siedząc w swoim pokoju w Paryżu, czułem się równie radosny, co gdybym się właśnie wybierał na spacer w stronę Méséglise lub odnalazł Roberta i jego przyjaciół na ćwiczeniach w polu. Właściwa wszystkim ludziom przyjemność odnajdywania wspomnień zamagazynowanych przez pamięć najżywsza bywa u tych, których z jednej strony przemoc fizycznych cierpień oraz codzienna nadzieja wyzdrowienia pozbawiają szukania w naturze obrazów pokrewnych tym wspomnieniom, z drugiej zaś strony zostawiają nieco wiary, że zdołają to niebawem uczynić. Dzięki tej wierze zachowują w stosunku do owych obrazów uczucie pragnienia, apetytu, nie patrzą na nie jedynie jak na wspomnienia, jak na obrazy. Ale gdyby nawet obrazy te miały być dla mnie zawsze tylko obrazami i gdybym, przypominając je sobie, miał je tylko oglądać, i tak odtwarzały one nagle we mnie, z całego mnie, mocą identycznego wrażenia, dziecko, młodzieńca, którzy je widzieli. Zachodziła nie tylko zmiana pogody lub zapachu w pokoju, ale różnica wieku, substytucja osoby. Zapach gałązek w mroźnym powietrzu był niby kawał przeszłości; wylaniała się w moim pokoju niewidzialna ławica lodowa oderwana od dawnej zimy, często zresztą nasycona jakimś zapachem, oświetleniem, niby odmiennymi latami, w których, zanim je nawet uświadomiłem sobie, zanurzałem się ogarnięty weselem od dawna porzuconych nadziei. Słońce docierało do łóżka, przebywało przejrystą ścianką mego wychudłego ciała, grzało mnie, rozpalało mnie jak kryształ. Wówczas, niby zgłodniały rekonwalescent, sycący się z góry wszystkimi zabronionymi jeszcze potrawami, zastanawiałem się, czy małżeństwo z Albertyną nie zepsułoby mojego życia, każąc mi podjąć zbyt ciężkie dla mnie brzemię poświęcenia się drugiej istocie, a zarazem zmuszając mnie do życia poza samym sobą wskutek ustawicznej obecności Albertyny i pozbawiając mnie na zawsze rozkoszy samotności.

I nie tylko tych rozkoszy. Nawet kiedy żądamy od dnia jedynie pragnień, istnieją pewne pragnienia — zrodzone już nie z rzeczy, ale z osób — których cechą jest to, że są indywidualne. Jeżeli wstając z łóżka, rozsuwałem na chwilę firanki, czyniłem to nie tylko — tak jak muzyk otwiera na chwilę fortepian — aby sprawdzić, czy na balkonie i na ulicy słońce ma ściśle tę samą tonację co w moim wspomnieniu; czyniłem to także po to, aby ujrzeć jakąś praczkę niosącą kosz z bielizną, piekarkę w błękitnym fartuchu, mleczarkę z białymi płóciennymi rękawami, przytrzymującą hak, na którym wiszą bańki

z mlekiem, jakąś hardą blondynkę w towarzystwie guwernantki, słowem, obraz, który różnice linii — ilościowo może nieznaczne — mogą uczynić tak odmiennym od wszelkiego innego obrazu, jak różnica dwóch nut zmienia muzyczną frazę; brak tego widoku pozbawiłby dzień celów, jakie mógł nastrećzać mojej żądzy szczęścia. Ale jeżeli nadwyżka radości, zrodzona z widoku kobiet niepodobnych do wyobrażenia sobie *a priori*¹⁸, czyniła mi ulicę, miasto, świat bardziej upragnionymi, godniejszymi zwiedzenia, budziła ona we mnie zarazem żądę wyzdrowienia, wychodzenia z domu, wolności — bez Albertyny. Ileż razy, w chwili gdy nieznaną kobietą, o której miałem marzyć, mijała dom, to pieszo, to całą chyżością auta, cierpiałem, że ciało moje nie może podążyć za spojrzeniem, które ją doganiało; że nie może, dosięgając jej niby wystrzelone z rusznicy przez okno, zatrzymać pierzchającej twarzy zwiastującej mi nadzieję szczęścia, którego, uwięziony jak teraz, nie zaznałbym nigdy.

Za to od Albertyny niczego się już nie mogłem spodziewać. Z każdym dniem wydawała mi się mniej ładna. Dodawało jej uroku jedynie pragnienie, jakie budziła w innych, kiedy dowiadując się o tym pragnieniu, zaczynałem na nowo cierpieć i chciałem im ją wydrzeć. Mogła mi sprawić ból; dać radości — nie. Jedynie samym cierpieniem trwało moje nudne przywiązanie. Gdy cierpienie ustępowało, a wraz z nim potrzeba ukojenia go, wiążąca całą moją uwagę niby okrutna rozrywka, czułem nicość, jaką Albertyna jest dla mnie, jaką ja muszę być dla niej. Byłem nieszczęśliwy, że ten stan trwa; chwilami pragnąłem dowiedzieć się o niej czegoś okropnego, czegoś, co by mogło nas poróżnić, co by nam się pozwoliło pogodzić i uczynić odmiennym i podatniejszym łańcuch, który nas łączył — aż do chwili mego uleczenia.

Na razie szukałem pomocy tysiąca okoliczności, tysiąca uciech, aby dostarczyły Albertynie złudy owego szczęścia ze mną, którego nie byłem zdolny jej dać. Byłbym chciał natychmiast po wyzdrowieniu pojechać do Wenecji; ale jak to zrobić, gdybym się ożenił z Albertyną? Już w Paryżu byłem o nią tak zazdrosny, że kiedyś się decydowałem ruszyć z domu, to tylko po to, aby jej towarzyszyć! Nawet kiedyś zostawałem całe popołudnie w domu, a ona jechała na spacer, myśl moja towarzyszyła jej, opisywała daleki siny widnokrąg, stwarzała dokoła mnie ruchomą i mglistą strefę niepewności. „Iluż mąk rozstania — powiadałem sobie — oszczędziłaby mi Albertyna, gdyby widząc, że już nie wspominam o małżeństwie, zdecydowała się kiedyś nie wrócić ze spaceru, gdyby pojechała na dobre do ciotki, tak abyśmy się nie musieli żegnać!” Serce moje, od czasu jak się jego rana zablizniała, nie było już zrośnięte z sercem Albertyny; mogłem ją w wyobraźni przesuwając, oddalać bez bólu. Gdyby nie wyszła za mnie, wyszłaby pewnie za innego, a gdyby została wolna, miałaby może owe miłostki, którymi się tak brzydziłem. Ale było tak ładnie, byłem tak pewny, że Albertyna wróci wieczorem, że nawet jeżeli ta myśl o jej możliwych wybrykach przychodziła mi do głowy, mogłem przez akt woli uwięzić Albertynę w partii mojego mózgu, gdzie by miała nie więcej znaczenia, niżby go dla mego realnego życia miały przywary urojonej osoby; poruszając uelastycznione zawiasy swojej myśli, z energią, jaką czułem w głowie — energią fizyczną i umysłową niby ruch mięśniowy i inicjatywę duchową — przewyciężyłem obsesję, w której żyłem dotąd. Zaczynałem się poruszać w wolnym powietrzu, na wysokości, z której poświęcenie wszystkiego na to, aby zapobiec małżeństwu Albertyny z kimś innym i aby wznieść zaporę jej skłonności do kobiet, zdawało mi się czymś równie niedorzecznym, jak byłoby niedorzeczne w oczach człowieka, który by jej nie znał.

Zresztą zazdrość należy do owych napadowych chorób, których przyczyna jest kapryśna, despotyczna, zawsze identyczna u tego samego chorego, czasem zupełnie różna u innego. Jedni astmatycy uśmierzają atak, otwierając okna, wdychając silny wiatr, górskie powietrze; inni, chroniąc się w centrum miasta, w pokój pełen dymu. Nie ma prawie zazdrośników, których zazdrość nie dopuszczałaby jakiegoś ustępstwa. Jeden godzi się ze zdradą, byle mu ją kobieta wyznała; inny, byle mu ją ukryła; ostatecznie jedno warto jest drugiego, o ile bowiem jeden zazdrośnik bardziej jest oszukany przez to, że mu się kryje prawdę, drugi szuka w tej prawdzie pokarmu, spotęgowania, odnowy swoich cierpień.

Co więcej, te dwie odwrotne manie zazdrości wybiegają często poza słowa, czy to błagając o zwierzenia, czy też odtrącając je. Spotyka się mężczyzn zazdrosnych jedynie

¹⁸*a priori* (łac.) — z góry, z założenia. [przypis edytorski]

o kobiety, z którymi ich kochanka ma stosunki z dala od nich, ale godzących się na to, aby się oddawała innemu mężczyźnie, byle z ich upoważnieniem, blisko nich i o ile zgoła nie w ich oczach, to bodaj pod ich dachem. Ten wypadek dość częsty jest u mężczyzn starszych, zakochanych w młodej kobiecie. Czują trudność podobania się, czasem niemożność zaspokojenia jej; w obawie zdrady wolą pozwolić odwiedzać ją u siebie w domu, w sąsiednim pokoju, komuś, kto — jak sądzą — niezdolny jest dawać jej złych rad, ale zdolny jest dać jej rozkosz. Inni wręcz przeciwnie: nie pozwalając kochance wyjść ani na minutę samej w mieście, które znają, trzymają ją w istnej niewoli; ale pozwalają jej jechać na miesiąc w strony, których nie znają, gdzie nie mogą sobie wyobrazić, co ona będzie robiła. Miałem w stosunku do Albertyny obie te kojące manie. Nie byłbym zazdrosny, gdyby zażywała rozkoszy uprawnionych przeze mnie, w moim pobliżu, całkowicie pod moim dozorem, przez co oszczędziłbym sobie obawy kłamstwa; i również nie byłbym może zazdrosny, gdyby pojechała w strony na tyle mi nieznanne i odległe, żebym sobie nie mógł wyobrazić jej sposobu życia, nie miał możliwości i pokusy poznania go. W obu wypadkach doskonała świadomość lub doskonała niewiedza usunęłyby wątplenie.

Zapadający zmierzch zanurzał mnie siłą wspomnienia w dawnej i ożywczej atmosferze: wdychałem ją z tą samą rozkoszą, z jaką Orfeusz¹⁹ wdycha lekkie, nieznanne tej ziemi powietrze Pól Elizejskich²⁰.

Ale już dzień się kończył, ogarniał mnie smutek wieczoru. Sprawdzając machinalnie na zegarze, ile jest godzin do powrotu Albertyny, widziałem, że mam jeszcze czas ubrać się i zejść, aby poprosić właścicielkę domu, panią de Guermites, o wskazówki dotyczące wykwintnych fatalaszków, którymi chciałem obdarzyć moją przyjaciółkę. Czasem spotykałem księżnę w dziedzińcu, wychodzącą pieszo — nawet kiedy było brzydko — w małym kapelusiku i w futrze. Wiedziałem, że dla wielu inteligentnych ludzi jest ona po prostu jakąś panią; nazwisko diuszesy de Guermites nie znaczy teraz nic, skoro diukostwa i księstwa nie istnieją; ale miałem inny punkt widzenia w swoim sposobie zażywania osób i krajów. Miałem wrażenie, że ta dama w futrze, urągająca niepokodzie, nosi z sobą wszystkie zamki dóbr, których jest diuszesa, princessą, wikomtessą, tak jak osoby wyrzeźbione na oczepe²¹ portalu trzymają w ręce katedrę, którą zbudowały, lub miasto, które obroniły. Ale jedynie oczy mojej duszy mogły widzieć owe zamki, owe lasy w lewej ręce damy w futrach, kuzynki króla. W dni, kiedy groził deszcz, oczy mojego ciała rozróżniały jedynie parasol, w który księżna nie lękała się uzbroić. „Nie można nigdy wiedzieć; zawsze to bezpieczniej, w razie gdybym się znalazła bardzo daleko, a fiaker²² żądałby za drogę jak dla mnie”. Słowa „za drogę”, „przechodzące moje środki” powracały wciąż w rozmowie księżnej, zarówno jak: „Jestem za biedna”; przy czym nie wiadomo było, czy ją bawi mówić, że jest biedna, będąc tak bogatą, czy że uważa za wytworne, będąc tak wysoko urodzoną, a zarazem udając wieśniaczkę, nie przywiązując do bogactwa wagi, jaką przywiązują do niego ludzie jedynie bogaci i gardzący ubogimi. Może to był raczej nawyk z epoki, kiedy — już bogata, ale nie dość bogata w stosunku do kosztu utrzymania tylu posiadłości — czuła się nieco kuso z pieniędzmi i nie chciała robić wrażenia, że to ukrywa. Rzeczy, o których się mówi najczęściej, żartując, to są na ogół właśnie rzeczy, które sprawiają kłopoty; nie przyznajemy się do tych kłopotów, może z tajoną nadzieją, że właśnie osoba, z którą się rozmawia, słysząc, że sobie żartujemy z tego, pomyśli, że to nieprawda.

Wiedziałem, że o tej godzinie przeważnie zastanę księżnę w domu; byłem rad z tego, bo w ten sposób najłatwiej mogłem poprosić o obszerniejsze wskazówki, których pragnęła Albertyna. Szedłem tam, prawie nie myśląc, jakie to jest niesłychane, że idę do owej tajemnicznej pani de Guermites mego dzieciństwa, i jedynie po to, aby jej użyć po prostu, tak jak się używa telefonu, nadprzyrodzonego instrumentu, którego cud zdumie-

¹⁹Orfeusz (mit. gr.) — muzyk, poeta i pieśniarz, który śpiewem swoim poskramiał dzikie zwierzęta i ożywił martwe przedmioty. Zszedł do Hadesu po swą zmarłą żonę Eurydykę i oczarował swoim śpiewem władcę krainy zmarłych. [przypis edytorski]

²⁰Pola Elizejskie (mit. gr.) — kraina wiecznego spokoju i pośmiertnej szczęśliwości, stanowiąca część Hadesu; zmarli trafiali tam w nagrodę za dobre życie. [przypis edytorski]

²¹oczepe — tu: nadproże, belka nad drzwiami lub oknem. [przypis edytorski]

²²fiaker — dorożkarz. [przypis edytorski]

wał nas niegdyś, a którym posługujemy się teraz automatycznie dla sprowadzenia krawca lub zamówienia lodów.

Fatałaszki sprawiały Albertynie wielką przyjemność. Nie umiałem się powstrzymać, aby jej co dnia nie ofiarować czegoś. I za każdym razem kiedy mówiła z zachwytem o jakiejś szarfie, etoli, parasolce, które przez okno lub mijając dziedziniec, oczami różniącymi tak szybko wszystkie odcienie elegancji, ujrzała na szyi, na ramionach lub w ręce pani de Guermantes, wiedząc, że trudnego z natury gustu Albertyny (wydelikaczonego jeszcze lekcjami elegancji, czerpanymi z nauk Elstira) nie zadowoliliby jakaś imitacja, nawet ładnej rzeczy, zastępująca ją w oczach pospólstwa, ale różniąca się od niej całkowicie, zachodziłem w sekrecie, aby wypytać księżnę, gdzie, jak, z jakiego modelu było sporządzone to, co się podobało Albertynie, dokąd należy się zwrócić, aby uzyskać ściśle to samo; na czym polega sekret krawca, elegancja (Albertyna nazywała to „szyk”, „styl”) wykonania, jak się dokładnie nazywa materia — piękność materiału miała tu swoje znaczenie — której należało żądać.

Kiedy po przyjeździe z Balbec powiedziałem Albertynie, że księżna de Guermantes mieszka na wprost nas, w tym samym pałacu, wówczas, słysząc ten wielki tytuł i wielkie nazwisko, przybrała minę bardziej niż obojętną, wrogą, wzgardliwą, u hardych i namiętych natur będącą znakiem bezsilnego pragnienia. Albertyna to była wprawdzie wspaniała natura, ale utajone jej przymioty mogły się rozwijać jedynie pośród tych zapór, jakimi są nasze upodobania lub żaloba po upodobaniach, z których trzeba nam było zrezygnować — jak dla Albertyny snobizm. Żaloba ta zowie się nienawiścią. Nienawiść Albertyny do „świata” zajmowała w niej zresztą bardzo mało miejsca i podobała mi się przez swoją stronę rewolucyjną — mam na myśli nieszczęśliwą miłość do szlachty — wypisaną w charakterze francuskim na odwrotnej stronie medalu, drugą stroną wyrażającego wielkopaństwo pani de Guermantes. O to wielkopaństwo, nie mogąc go osiągnąć, Albertyna nie troszczyłaby się może; że jednak przypominała sobie, iż Elstir mówił o księżnej de Guermantes jak o kobiecie najlepiej ubierającej się w Paryżu, republikańska wzgarda Albertyny ustąpiła miejsca żywemu zainteresowaniu się elegantką. Wypytywała mnie często o panią de Guermantes i lubiła, żebym zasięgał dla niej u księżnej porad toaletowych. Bez wątpienia, mógłbym prosić o te rady panią Swann; raz nawet napisałem do niej w tym celu. Ale pani de Guermantes (miałem to wrażenie) jeszcze dalej doprowadziła sztukę ubierania się. Jeżeli zachodząc tam na chwilę (upewniwszy się, że nie wyszła, i kazawszy się uprzedzić, kiedy Albertyna wróci), zastawałem księżnę spowitą w mgłę szarej krepdeszynowej²³ sukni, pojmowałem, że ten strój jest wypadkową skomplikowanych przyczyn i że nic by się w nim nie dało zmienić; zanurzałem się w atmosferę, którą wydzielał, niby schyłek dni wyścielonych perłowszarą watą przez mgliste opary; jeżeli przeciwnie, szlafroczek był chiński w żółto-czerwone płomienie, patrzyłem nań jak na rozpalający się zachód słońca; owe toalety nie były przygodną dekoracją dającą się zmienić do woli, ale ścisłą i poetycką realnością, jak realność pogody w danym dniu lub światło właściwe pewnej godzinie.

Ze wszystkich sukien lub szlafroczków pani de Guermantes najbardziej zdawały się odpowiadać pewnej intencji, najwięcej specjalnej myśli posiadały suknie, które Fortuny stworzył wedle dawnych weneckich wzorów. Historyczny charakter tych sukien, a może fakt, że każda z nich jest jedyna, dają im coś tak odrębnego, że poza kobiety, która je nosi, czekając na nas, rozmawiając z nami, nabiera wyjątkowej ważności; rzekłbyś, że ten kostium jest owocem długiego namysłu i że ta rozmowa odcina się od potocznego życia niby scena romansu. W powieściach Balzaca heroiny kładą z umysłu pewną toaletę w dniu, kiedy oczekują pewnego gościa. Dzisiejsze toalety nie mają tyle charakteru — wyjąwszy suknie Fortuny’ego. Nic nie może pozostać mgliste w opisie powieściopisarza, skoro ta suknia istnieje rzeczywiście, skoro najdrobniejszy jej wzór utrwalony jest równie naturalnie jak linie dzieła sztuki. Przed włożeniem tej czy innej sukni kobieta musiała wybrać między dwiema, i to nie dwiema podobnymi do siebie, ale głęboko indywidualnymi, mogącymi nieomal nosić imiona.

²³*krepdeszynowy* — wykonany z krepdeszyny: miękkiej, lekkiej tkaniny jedwabnej, stanowiącej rodzaj krepdy. [przypis edytorski]

Ale suknia nie przeszkadzała mi myśleć o kobiecie. Pani de Guermites wydawała mi się nawet w tej epoce miłsza niż w czasie, gdy się w niej jeszcze kochałem. Mniej od niej oczekując (nie chodziłem już tam dla niej samej), słuchałem jej niemal ze spokojną bezceremonialnością, jaką się ma u siebie w domu, grzejąc się przy kominku; słuchałem jej tak, jakbym czytał książkę pisaną starym językiem. Miałem dość swobody ducha, aby w tym, co mówiła, smakować ów francuski i tak czysty wdzięk, którego się już dziś nie spotyka w mowie ani w książkach. Słuchałem jej rozmowy niby czysto i rozkosznie francuskiej ludowej piosenki; rozumiałem, że mogła sobie niegdyś żartować z Maeterlincka²⁴ (podziwiała go zresztą teraz przez płytkość kobiety wrażliwej na owe mody literackie, których promienie dochodzą późno), tak jak rozumiałem, że Mérimée drwił sobie z Baudelaire'a, Stendhal z Balzaca, Paul Louis Courier z Wiktora Hugo, Meilhac z Mallarmégo²⁵. Rozumiałem, że żartowniś posiadał w porównaniu z tym, z kogo żartował, umysłowość bardzo ograniczoną, ale za to słownik czystszy. Słownik pani de Guermites — prawie w tym stopniu co język matki Roberta — był zachwycająco czysty. Nie w zimnych falsyfikatach dzisiejszych pisarzy, operujących archaizmami od siedmiu boleści, można odnaleźć stary język i prawdziwą wymowę, ale rozmawiając z panią de Guermites lub z Franciszką; mając pięć lat, nauczyłem się od Franciszki, że nie mówi się „le Tarn”, ale „le Tar”, nie „Béarn”, ale „Béar”. Co sprawiło, że w dwudziestym roku życia, kiedy zacząłem bywać w świecie, nie musiałem się uczyć, że nie trzeba mówić jak pani Bontemps: „Pani de Béarn”.

Skłamałbym, mówiąc, że księżna nie była świadoma tych wsiowych, omal chłopskich rysów, które w niej przetrwały, i że nie wkładała pewnej kokieterii w podkreślanie ich. Ale była to u niej nie tyle fałszywa prostota wielkiej damy udającej wieśniaczkę oraz dumna księżna dająca nauczkę parweniuszkom gardzącym chłopami, których nie znają, ile artystyczny niemal smak kobiety znającej czar tego, co posiada, i niemyślącej psuć tego nowoczesną zaprawą. Podobnie wszyscy znali w Dives normandzkiego restauratora, właściciela „Wilhelma Zdobywcy”, który strzegł się pilnie — rzecz nader rzadka — stroić swojej gospody w nowoczesny zbytek hotelowy; będąc milionerem, zachował język i bluzę normandzkiego chłopca i pozwalał gościom zachodzić do kuchni, aby oglądać, wiejską modą, samego gospodarza przyrządzającego obiad, który był mimo to nieskończenie lepszy i jeszcze droższy niż w najwspanialszych *palace-hôtelach*.

Wszystkie rodzime soki znajdujące się w starych arystokratycznych rodach nie wystarczą; trzeba, żeby się zdarzyła istota na tyle inteligentna, aby nie gardzić tymi sokami, aby ich nie zatracić pod światowym pokostem. Pani de Guermites — na nieszczęście dowcipna paryżanka — zachowała, kiedy ją poznałem, jedynie akcent swoich stron. Ale przynajmniej kiedy wspominała dziewczęce lata, znajdowała w swoim języku coś pośredniego między naiwnym prowincjonalizmem a sztucznością literacką; kompromis, który tworzy wdzięk *La petite Fadette* George Sand lub pewnych legend wplecionych przez Chateaubrianda²⁶ w *Pamiętniki z za grobu*. Rozkosz moja to było słyszeć z jej ust opowiadania o chłopach. Stare nazwy, stare zwyczaje dawały tej symbiozie zamku i wsi coś nader soczystego. Zachowawszy styczność z ziemią, na której władza udzielnie, pewien typ arystokracji pozostaje regionalny, tak że najprostsze odezwania się rozwijają nam przed oczami historyczną i geograficzną mapę dawnej Francji.

Kiedy nie było w tym przesady, intencji fabrykowania własnego języka, wówczas wymowa ta stawała się istnym muzeum historii Francji. Wymowa: „Mój stryjeczny dziadek Fitt-Żam” nie dziwiła zgoła, bo wiadomo, że Fitz-James'owie uważają się za magnatów francuskich i nie chcą, aby ich wymawiać z angielska. Trzeba zresztą podziwiać wzruszającą uległość ludzi, którzy sądzili dotąd, że powinni wymawiać gramatycznie pewne nazwiska, a którzy usłyszawszy, że księżna de Guermites wymawia je inaczej, przerzucili się nagle w nieprzeczuwaną wrzód wymowę. I tak księżna, która miała pradziadka

²⁴Maeterlinck, Maurice (1862–1949) — belgijski pisarz piszący po francusku, czołowy przedstawiciel symbolizmu w sztuce, twórca dramatu symbolicznego, laureat literackiej Nagrody Nobla z 1911. [przypis edytorski]

²⁵Mérimée, Baudelaire, Stendhal, Balzac, Paul Louis Courier, Wiktor Hugo, Meilhac, Mallarmé — francuscy pisarze XIX wieku. [przypis edytorski]

²⁶Chateaubriand, François-René de (1768–1848) — francuski pisarz i polityk, inicjator romantyzmu w literaturze francuskiej. [przypis edytorski]

dworzanina hrabiego de Chambord, drocząc się z mężem, że się stał orleanistą²⁷, lubiła mówić: „My, stara wiara z Frochedorf²⁸”. Gość, który sądził dotąd, że się wymawia: „Frohsdorf”, skręcał co żywo kominka²⁹ i powtarzał wciąż: „Frochedorf”.

Pewnego razu spytałem pani de Guermantes, kim jest uroczy młody człowiek, którego mi przedstawiła jako swego siostrzeńca, a którego nazwiska nie dosłyszałem; ale niewiele mnie objaśniło, kiedy z głębin krtani księżna wyrzuciła bardzo głośno, ale nie artykułując: „*C'est l'... i Eon... l... b... frère à Robert*. Utrzymuje, że ma czaszkę kształtu dawnych Galów³⁰”. Wówczas zrozumiałem, że powiedziała: „To Leonek, książę de Léon, szwagier (był nim w istocie) Roberta de Saint-Loup”. — „Nie wiem, czy ma czaszkę Galów — dodała — ale jego sposób ubierania się, bardzo elegancki zresztą, nie pochodzi od Galów. Pewnego dnia, kiedy z Josselin, gdzie byłam u Rohanów, wybraliśmy się na odpust, zeszli się tam chłopci bodajże z całej Bretanii. Jakiś dryblas, kmiotek z Léon, patrzył z osłupieniem na beżowe porteczki Robertowego szwagra. »Co ty tak się gapisz — rzekł Léon — założę się, że nie wiesz, kto ja jestem«. Chłop powiedział, że w istocie nie wie. »No więc, ja jestem twój książę«. — »A! — odpowiedział wieśniak, odkrywając głowę i przepaszając — wziąłem pana za Angielczyka«”.

A jeżeli korzystając z tego punktu wyjścia, wyciągnąłem panią de Guermantes na Rohanów (z którymi rodzina jej kojarzyła się często), rozmowa jej nasiąkała po trosze melancholijnym czarem Przebaczeń³¹ i jakby powiedział ten szczerzy poeta, Pampille³², wydzielała „*l'après saveur des crêpes de blé noir, cuites sur un feu d'ajoncs*”³³.

Opowiadała także o margrabim Lau (znany jest jego smutny koniec, kiedy, już głuchy, kazał się nosić do ociemniałej pani H...) z jego mniej tragicznych lat, kiedy po polowaniu w Guermantes siadał w papuciach do herbaty z królem angielskim, od którego nie uważał się za niższego i z którym, jak widzimy, nie robił sobie ceremonii. Opowiadała to tak malowniczo, że stroiła margrabiego jak gdyby w pióropusz hardych perygordzkich muszkieterów.

Zresztą nawet w zwykłej wzmiance o kimś uwydatnienie stron, z których pochodzi, dawało pani de Guermantes swoisty i bardzo własny urok, niedostępny rodowitej paryżance. Te proste nazwy: Anjou, Poitou, Périgord, zmieniały się w jej ustach w krajobrazy.

Aby wrócić do wymowy i słownika pani de Guermantes, stanowią one właśnie rys, w którym arystokracja okazuje się naprawdę konserwatywna, ze wszystkim, co to słowo zawiera wraz dziecinnego, niebezpiecznego po trosze, opornego ewolucji, ale i zabawnego dla artysty. Chciałem wiedzieć, jak się niegdyś pisało słowo „Jean”. Dowiedziałem się o tym z listu siostrzeńca pani de Villeparisis, podpisującego się — tak jak go ochrzczono, jak figuruje w *Gotajskim Almanachu*³⁴ — „Jehan de Villeparisis”, z tym samym pięknym „H”, bezużytecznym, heraldycznym, jakie podziwiamy iluminowane szkarłatem lub ultramaryną w książce do nabożeństwa lub na witrażu.

Niestety nie miałem czasu przedłużać w nieskończoność tych wizyt, pragnąc, o ile możliwe, być w domu przed Albertyną. Otóż jedynie po trochu mogłem wyciskać z pani de Guermantes informacje potrzebne mi do zamówienia dla Albertyny podobnych toalet, o tyle, o ile młoda panna mogła je nosić.

— Na przykład, proszę pani, w dniu, kiedy pani miała być na obiedzie u pani de Saint-Euverte przed rautem u księżnej Marii, miała pani suknię całą czerwoną i czerwone

²⁷orleanista — monarchista francuski popierający pretensje Burbonów z linii orleańskiej do tronu; ostatnim monarchą Francji z dynastii Burbonów orleańskich był Ludwik Filip I, panujący w latach 1830–1848. [przypis edytorski]

²⁸Frochedorf — zamek w Austrii, rezydencja hrabiego de Chambord, potomka Burbonów i pretendenta do korony francuskiej, który obrał ten zamek za siedzibę swego wygnania. [przypis tłumacza]

²⁹skręcić kominka (daw.) — zręcznie wycofać się z czegoś; kominek (daw., łow.): sus, odskok zajęcia dla zatarcia śladu. [przypis edytorski]

³⁰Galowie — rzymska nazwa celtyckiej ludności Galii, tj. terenów ob. Francji, Belgii, Szwajcarii i pñ.-zach. Włoch. [przypis edytorski]

³¹Przebaczenia — Bretania znana jest jako *Pays des Pardons*, kraina odpustów (darowania kar za grzechy, udzielanego podczas świąt patronów kościoła lub kaplicy). [przypis edytorski]

³²Pampille (pseud.), właśc. *Marthe Allard Daudet* (1878–1960) — autorka książki kucharskiej *Les Bons plats de France. Cuisine régionale* (Dobre dania Francji. Kuchnia regionalna), wyd. w 1913. [przypis edytorski]

³³*l'après saveur des crêpes de blé noir, cuites sur un feu d'ajoncs* (fr.) — ostry smak naleśników gryczanych smażonych na ogniu z janowca. [przypis edytorski]

³⁴*Almanach Gotajski* — rocznik genealogiczny wydawany od 1763, zawierający informacje o europejskich rodach arystokratycznych. [przypis edytorski]

pantofelki; była pani bajeczna; wyglądała pani jak wielki kwiat we krwi, rubin w płomieniach, jak się to nazywało? Czy młoda panienka może to nosić?

Przywracając swojej zmęczonej twarzy promienny wyraz, jaki miewała niegdyś księżna des Laumes, kiedy Swann mówił jej komplementy, pani de Guermantes, śmiejąc się do łez, popatrzyła drwiącym, pytającym i zachwyconym wzrokiem na pana de Bréauté, zawsze obecnego u niej o tej godzinie i sączącego zza monokla uśmiech pobłażliwy dla bredni intelektualisty, w których widział erotyczne podniecenie młodego człowieka. Księżna miała minę taką, jakby mówiła: „Co jemu się dzieje, zwariował”. Potem, obracając się do mnie, rzekła przymilnie:

— Nie wiedziałam, że byłam podobna do rubinu w płomieniach albo do kwiatu we krwi, ale przypominam sobie w istocie, że miałam czerwoną suknię; noszono wtedy taki czerwony atlas. Tak, ostatecznie młoda panna może to nosić, ale mówił mi pan, że ta młoda osoba nie bywa na balach. To jest suknia na wielki wieczór, tego nie można kłaść na wizyty.

Nadzwyczajne jest, że pani de Guermantes przypominała sobie z owego wieczora (ostatecznie to nie było tak dawno) jedynie swoją toaletę, a zapomniała pewnej rzeczy, która, jak się okaże, powinna jednak była leżeć jej na sercu. Zdaje się, że u ludzi czynu (a ludzie światowi to są ludzie czynu — drobnicy, mikroskopijni, ale ostatecznie ludzie czynu) myśl, przemęczona oczekiwaniem tego, co się zdarzy za godzinę, bardzo mało rzeczy przekazuje pamięci. Często na przykład, pan de Norpois (nie dlatego, aby rzucić piaskiem w oczy i nie okazać, że się pomylił), kiedy mu ktoś przypominał jego zawodne prognostyki³⁵ sojuszu z Niemcami, który się wcale nie skleił, odpowiadał:

— Musiał się pan pomylić, wcale sobie tego nie przypominam, to niepodobne do mnie, bo w tego rodzaju rozmowach jestem zawsze bardzo lakoniczny; nie byłbym nigdy przepowiadał sukcesu jednego z owych *coups d'éclat*, które są często tylko *coups de tête*, a kończą się zwykle na *coups de force*³⁶. Niezaprzeczonym faktem jest, że w odległej przyszłości zbliżenie francusko-niemieckie mogłoby się ziścić i byłoby bardzo korzystne dla obu krajów, przy czym Francja, jak sądzę, nie zrobiłaby złego interesu; ale nigdy o tym nie mówiłem, bo owoc nie jest dojrzały. Jeżeli pan chce wiedzieć moje zdanie, sądzę iż, zapraszając naszych dawnych wrogów na gody weselne, narazilibyśmy się na szach i mat i łatwo moglibyśmy oberwać guza.

Mówiąc to, pan de Norpois nie kłamał; po prostu zapomniał. Zapomina się zresztą szybko tego, czego nie przemyślało się głęboko, tego, co nam podyktował przykład, atmosfera otaczających namiętności. Namiętności się zmieniają, a wraz z nimi przeobraża się nasze wspomnienie. Bardziej jeszcze od dyplomatów politycy nie pamiętają własnego punktu widzenia w danej chwili; wyparcie się samych siebie wynika u nich często nie tyle z nadmiaru ambicji, ile z braku pamięci. Co się tyczy światowców, ci w ogóle mało co sobie przypominają.

Pani de Guermantes twierdziła, że sobie nie przypomina, aby na wieczorze, gdzie miała czerwoną suknię, była obecna pani de Chaussepierre, że się z pewnością mylę. A przecież Bóg wie ile od tego czasu Chaussepierre'owie zaprzęтали księstwa Błażejów. Oto czemu. Kiedy prezes Jockey Clubu³⁷ umarł, pan de Guermantes był najstarszym wiceprezesem. Niektórzy członkowie klubu, pozbawieni stosunków i czerpiący jedyną przyjemność w dawaniu czarnych galek ludziom, u których nie bywają, podjęli kampanię przeciw księciu, który pewny wyboru i dość lekko traktujący tę prezesurę — drobiazg w stosunku do jego światowej sytuacji — nie rozwinął żadnych starań. Wyzyskano to, że księżna była dreyfusistką³⁸ (sprawa Dreyfusa była wprawdzie od dawna zakończona, ale w dwadzieścia lat potem jeszcze o niej mówiono, a dopiero upłynęły dwa), że przyjmuje

³⁵prognostyk — przepowiednia. [przypis edytorski]

³⁶*coups d'éclat*, które są często tylko *coups de tête*, a kończą się zwykle na *coups de force* — idiomatyczne wyrażenia francuskie ze słowem *coup*, oznaczającym cios, wybuch: *coups d'éclat*: wyczyny; *coups de tête*: spontaniczne decyzje, zachcianki; *coups de force*: zamachy stanu. [przypis edytorski]

³⁷*Jockey Club* (ang.: klub wyścigów konnych) — tu: jeden z najbardziej prestiżowych prywatnych klubów dla dżentelmenów w Paryżu, w XIX w. miejsce spotkań francuskiej elity. [przypis edytorski]

³⁸*dreyfusistka* — obrończyni niewinności Alfreda Dreyfusa (1859–1935), francuskiego oficera pochodzenia żydowskiego, w 1894 niesłusznie oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Niemiec, skazanego na dożywotni pobyt w kolonii karnej, zrehabilitowanego w 1906; sprawa Dreyfusa podzieliła społeczeństwo francuskie, prowokując wielu intelektualistów do ostrych wypowiedzi. [przypis edytorski]

Rotszyldów. Zarazem szeptano, że zanadto faworyzuje się od jakiegoś czasu potentatów międzynarodowych, jak książę de Guermantes, na wpół Niemiec. Kampania znalazła teren nader podatny; kluby są zawsze bardzo zawistne w stosunku do ludzi na świeczniku i nienawidzą wielkich fortun.

Majątek pana de Chaussepierre był okazały, ale nie mógł nikogo razić; on sam nie wydawał ani grosza, mieszkanie zajmowali skromne, żona chodziła w czarnej wełnianej sukni. Przepadając za muzyką, dawała małe zebranka, na które zapraszano o wiele więcej śpiewaczek niż u Guermantów. Ale nikt o tym nie mówił, wszystko odbywało się bez parady, często w nieobecności męża, w mrokach ulicy de la Chaise. W operze pani de Chaussepierre bywała niepostrzeżona, zawsze w towarzystwie osób, których nazwiska przypominały środowisko najbardziej „ultra”³⁹, najbliższe Karola X⁴⁰, ale osób żyjących na uboczu, mało światowych. W dniu wyboru, ku powszechnemu zdumieniu, mrok odniósł tryumf nad blaskiem: Chaussepierre, drugi wiceprezes, został prezesem Jockey Clubu, a książę de Guermantes został na lodzie, to znaczy pierwszym wiceprezesem jak dawniej. Z pewnością, być prezesem Jockey Clubu to niewielka rzecz dla magnata takiego jak Guermantes. Ale nie zostać nim w swojej kolei, być pobitym przez takiego Chaussepierre, którego żonie Oriana nie odklaniała się dwa lata wprzód, wręcz obrażona ukłonem nieznanego nietoperzycy, to było ciężkie dla księcia! Twierdził, że jest wyższy nad tę klęskę, zapewniając zresztą, że zawdzięcza ją dawnej przyjaźni ze Swannem. W rzeczywistości wściekał się.

Rzecz osobliwa, nigdy nie słyszało się, aby książę de Guermantes posługiwał się dosyć banalnym wyrażeniem: „zasadniczo”, ale od czasu wyborów w „Jockeyu”, ilekroć mówiono o sprawie Dreyfusa, zaraz zjawiało się „zasadniczo”: „Sprawa Dreyfusa, sprawa Dreyfusa, łatwo się tak mówi, ale ta nazwa jest niewłaściwa; to nie jest sprawa religii, ale zasadniczo sprawa polityczna”. Pięć lat mogło upłynąć, a nie słyszało się „zasadniczo”, o ile w ciągu tego czasu nie mówiło się o sprawie Dreyfusa; ale jeżeli po upływie pięciu lat nazwisko Dreyfusa wróciło w rozmowie, natychmiast wracało automatycznie „zasadniczo”. Książę nie znosił zresztą, aby mówiono o tej sprawie, „która spowodowała — powiadał — tyle nieszczęść”, mimo iż naprawdę czuły był tylko na jedno: na swoją przegraną w „Jockeyu”. Toteż owego popołudnia, kiedy przypominałem pani de Guermantes czerwoną suknię, którą miała wieczór u kuzynki, pan de Bréauté bardzo źle się wybrał, kiedy chcąc coś powiedzieć, przez niewytłumaczone i nieobjaśnione przez niego skojarzenie, manipulując językiem w zesnurowanych ustach, zaczął:

— A propos sprawy Dreyfusa...

Czemu „sprawy Dreyfusa”? Chodziło tylko o czerwoną suknię i z pewnością biedny Bréauté, który zawsze chciał tylko zrobić każdemu przyjemność, nie miał w tym cienia złej intencji. Ale samo nazwisko Dreyfusa sprawiło, że książę Błażej zmarszczył jowiszowe brwi.

— Powtarzano mi — rzekł Bréauté — dość ładne powiedzenie, dają słowo, bardzo subtelne, pocziwego Cartiera. — Uprzedźmy czytelnika, że ów Cartier, brat pani de Villefranche, nie miał cienia związku z jubilerem tegoż nazwiska. — Co mnie zresztą nie dziwi, bo on ma dowcipu tyle, że mógłby go odprzedać.

— Och — przerwała Oriana — nie ja bym go z pewnością kupiła. Nie umiem powiedzieć, jak mnie pański Cartier zawsze nudził, nigdy nie mogłam zrozumieć, co za niesłychane uroki Lolo de la Trémoille i jego żona znajdują w tym nudziarzu, którego zastają u nich za każdym razem, kiedy tam idę.

— Dłoga książęno — odparł Bréauté, który z trudnością wymawiał literę „r” — jest pani bardzo sułowa dla tego dobrego Cartier. Prawda, że on zanadto się zadowił u La Trémoille’ów, ale ostatecznie to jest dla Lola rodzaj, jakby to powiedzieć, wiernego Achata⁴¹, gatunek który stał się białym krukiem w obecnych czasach. W każdym razie, oto

³⁹ultra (pot.) — skrócone: ultraroyalists, skrajnie reakcyjna część monarchistów francuskich. [przypis edytorski]

⁴⁰Karol X Filip (1757–1836) — król Francji (1824–1830), usiłował przywrócić monarchię absolutną; zrekompensował wielkim właścicielom ziemskim koszty obalenia feudalizmu, zwiększył władzę Kościoła katolickiego, zniósł wolność prasy i ograniczył prawa wyborcze; obalony w wyniku rewolucji lipcowej, po której powołano na tron Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

⁴¹Achates (mit. rzym.) — jeden z bohaterów *Eneidy*, wierny przyjaciel Eneasza. [przypis edytorski]

powiedzenie, które mi powtórzono: Cartier miał rzec, że jeżeli pan Zola⁴² starał się mieć proces i naraził się na skazanie, to aby doznać wrażeń, których jeszcze nie znał: człowieka siedzącego w więzieniu.

— I dlatego uciekł przed aresztowaniem! — przerwała Oriana. — To się nie trzyma kupy. Zresztą, nawet gdyby to było prawdopodobne, koncept wydaje mi się idiotyczny. Jeżeli to się panu wydaje dowcipne!

— Mój Boże, długa pani Oriano — odparł pan de Bréauté, który, zaatakowany, zaczął rejterować — dowcip nie jest mój, powtarzam go, jak słyszałem, trzeba go brać tak jak jest. W każdym razie był on przyczyną, że Cartier oberwał tęgą pucówkę⁴³ od pocziwego La Trémoille, który (bardzo słusznie) nie chce, aby w jego salonie mówiono o tym, co nazwałbym „bieżące sprawy”, zwłaszcza że była tam właśnie pani Alfonsowa Rotszyld. Cartier dostał od Lola de la Trémoillee pławdziwe wcielenie.

— Oczywiście — rzekł książę bardzo kwaśny. — Rotszyldowie, mimo że mają na tyle taktu, aby nigdy nie mówić o tej ohydnej sprawie, są w duszy za Dreyfusem, jak wszyscy Żydzi. To jest nawet argument *ad hominem*⁴⁴ (książę używał trochę na oślep wyrażenia: *ad hominem*), który nie dosyć się podkreśla, aby wykazać złą wiarę Żydów. Jeżeli Francuz kradnie, morduje, nie czuje się zobowiązany, dlatego że jest jak ja Francuzem, uważać go za niewinnego. Ale Żydzi nie uznają nigdy, aby któryś z ich rodaków był zdrajcą, mimo że wiedzą o tym doskonale, i mało dbają o straszliwe następstwa — książę myślał oczywiście o oburzającym wyborze pana de Chaussepierre — jakie zbrodnia jednego z nich może ściągnąć... Słuchaj Oriano, nie będziesz przecież twierdziła, aby fakt, że oni bronią zdrajcę, nie był miazdzący dla Żydów. Nie powiesz mi, że to nie z racji swego żydostwa.

— Mój Boże, owszem — odparła Oriana, odczuwając jakąś drażniącą chęć opierania się grzmiącemu Jowiszowi⁴⁵, a także postawienia „inteligencji” ponad sprawę Dreyfusa. — Ale to może właśnie dlatego, że jako Żydzi, znając samych siebie, wiedzą, że można być Żydem, a niekoniecznie zdrajcą i wrogiem Francji, jak to twierdzi, zdaje się, pan Drumont⁴⁶. Gdyby Dreyfus był chrześcijaninem, z pewnością Żydzi by się nim nie interesowali; ale to, co zrobili, zrobili dlatego, że czują, iż gdyby nie był Żydem, nie uwierzono by tak łatwo w jego zdradę *a priori*, jakby powiedział mój siostrzeniec Robert.

— Kobiety nie mają pojęcia o polityce! — wykrzyknął książę, wpijając wzrok w żonę. — Ta ohydna zbrodnia nie jest po prostu tylko sprawą żydowską; to zasadniczo olbrzymia sprawa narodowa, zdolna sprowadzić najstraszliwsze następstwa na Francję, skąd powinno by się wypędzić wszystkich Żydów, mimo że uznaję, iż sankcje dotychczasowe podjęto (w sposób niegodny, absolutnie wymagający rewizji) nie przeciw nim, ale przeciw ich najznamięnitszym przeciwnikom, ludziom pierwszorzędnej wartości, pominiętym z uszczerbkiem kraju.

Czułem, że sytuacja staje się groźna, i zacząłem czym prędzej mówić o sukniach.

— Przypomina sobie pani — rzekłem — pierwszy dzień, kiedy pani była miła dla mnie?

— Pierwszy dzień, kiedy byłam miła dla niego! — odparła księżna, patrząc ze śmiechem na pana de Bréauté, którego nos ścieńczał, uśmiech roztkliwił się przez grzeczność

⁴²Zola, *Émile* (1840–1902) — francuski pisarz, główny teoretyk i przedstawiciel naturalizmu; wszystkie jego dzieła zostały wpisane na indeks ksiąg zakazanych; w 1898 zaangażował się w obronę Alfreda Dreyfusa, oficera niesłusznie oskarżonego o zdradę, publikując 13 stycznia na pierwszej stronie paryskiego dziennika „L’Aurore” artykuł *J’Accuse!...* (Oskarżam!), zarzucający władzom antysemitizm i działania niezgodne z prawem; 7 lutego został postawiony przed sądem pod zarzutem pomówienia, 23 lutego skazany i pozbawiony orderu Legii Honorowej; w kwietniu wyrok uchylono ze względów proceduralnych, ale przeciwko Zoli wszczęto nowy proces, który rozpoczął się 18 lipca; za radą swojego prawnika przed wydaniem werdyktu pisarz uciekł do Anglii. [przypis edytorski]

⁴³pucówka (daw., pot.) — ostre upomnienie; bura. [przypis edytorski]

⁴⁴*ad hominem* (łac.) — dosł.: do człowieka; argument *ad hominem*: niemerytoryczny sposób argumentowania, skierowany do konkretnego człowieka i odwołujący się do jego poglądów w celu pokazania ich sprzeczności z przedstawioną przez niego tezą. [przypis edytorski]

⁴⁵Jowisz (mit. rzym.) — najwyższe bóstwo rzymskiego panteonu, bóg nieba i burzy, odpowiednik greckiego Zeusa. [przypis edytorski]

⁴⁶Drumont, *Édouard* (1844–1917) — francuski nacjonalista, publicysta i pisarz, założyciel Ligue antisémite de France (Liga antysemitki Francji) w 1889 oraz antysemitki gazety paryskiej „La Libre Parole” w 1892, jeden z najzacieklejszych oskarżycieli Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

dla pani de Guermites, a głos, podobny do ostrzenia noża, wydał mętny i zardzewiały dźwięk.

— Miała pani żółtą suknię w wielkie czarne kwiaty.

— Ależ, dziecko, to jest to samo, to są wszystko suknie wieczorowe.

— A kapelus z bławatkami, który tak lubilem! Ale ostatecznie, wszystko to jest przeszłość. Chciałbym zamówić dla panienki, o której mówiłem, futrzany płaszcz, taki jak księżna miała wczoraj rano. Czy byłoby możliwe go zobaczyć?

— Nie, Hannibal musi za chwilę iść. Przyjdzie pan do mnie, garderobiana pokaże panu wszystko. Tylko, moje dziecko, ja panu chętnie pożyczę, co pan zechce, ale jeżeli rzeczy od Callota, od Douceta lub od Paquina da pan do roboty pokątnej krawcowej, to nie będzie nigdy to samo.

— Ależ ja wcale nie chcę krawcowej, znam doskonale różnicę, ale byłbym ciekaw zrozumieć, czemu to jest co innego.

— Ależ pan wie przecie, że ja nie umiem nic wytłumaczyć, ja jestem ciemna, gadam jak chłopka. To kwestia fasonu, kroju; co się tyczy futer, mogę panu dać słówko do mojego kuśnierza; w ten sposób nie okradnie choć pana. Ale pan wie, że i tak będzie to kosztowało osiem do dziewięciu tysięcy.

— A ten szlafroczek, który tak brzydko pachnie, ten, co księżna miała kiedyś wieczór, taki ciemny, puszysty, nakrapiany, przetykany złotem jak skrzydło motyla?

— A! To suknia Fortuny^{ego}. Pańska znajoma może to świetnie nosić w domu. Mam tego dużo, pokażę panu, mogę panu nawet darować którą, jeżeli to panu sprawi przyjemność. Ale chciałabym zwłaszcza, żeby pan zobaczył suknię mojej kuzynki Talleyrand. Muszę do niej napisać, żeby mi jej pożyczyła.

— Pani miała także śliczne pantofelki, czy to też Fortuny?

— Nie, już wiem co pan myśli, to złożone *chevreau*⁴⁷, znaleźliśmy to w Londynie, robiąc sprawunki z Consuelo de Manchester. To nadzwyczajne. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak to jest złożone; można by rzec złota skóra, nic więcej, i diamentek w środku. Biedna księżna de Manchester nie żyje, ale jeżeli to pana bawi, napiszę do pani de Warwick albo do pani Malborough, żeby mi znalazła podobne. Myślę nawet, czy ja nie mam jeszcze tej skóry. Dałoby się może zrobić to tutaj. Poszukam dziś wieczór, dam panu znać.

Ponieważ starałem się, o ile możliwe, wyjść od księżnej, zanim Albertyna wróci, często, wychodząc od pani de Guermites, spotykałem w dziedzińcu pana de Charlus i Morela, którzy szli do Jupiena na herbatę — szczyt szczęścia dla barona. Nie zawsze ich spotykałem, ale bywali tam co dzień. Trzeba zresztą zauważyć, że stałość przyzwyczajęń pozostaje zazwyczaj w stosunku prostym do ich niedorzeczności. Rzeczy wspaniałe robi się zwykle jedynie wybuchowo. Natomiast egzystencje niedorzeczne, w których maniak pozbawia się sam wszystkich przyjemności i nakłada sobie największe udręki, te egzystencje zmieniają się najmniej. Co dziesięć lat, gdyby ktoś był ciekaw, odnalazłby nieszczęśnika śpiącego w porze, gdy mógłby żyć, wychodzącego w godzinach, w których można być tylko zamordowanym na ulicy, pijącego lodowate napoje, kiedy mu jest gorąco, wciąż leczącego się z kataru. Wystarczyłoby drgnienia energii jednego dnia, aby to zmienić raz na zawsze. Ale właśnie te egzystencje są losem istot niezdolnych do energii. Przywary ich są drugą fizjonomią tych monottonnych istnień, których nędzę mogłaby złagodzić odrobina woli. Te dwie fizjonomie można by na równi brać pod uwagę, mówiąc o codziennych wizytach pana de Charlus z Morelem u Jupiena. Raz tylko burza wstrząsnęła tym codziennym zwyczajem. Siostrzenica eks-krawca rzekła raz do Morela: „Owszem, niech pan przyjdzie jutro, postawię panu herbatę”. Baron słusznie uznał to wyrażenie za nazbyt pospolite jak na osobę, którą zamierzał uczynić niemal swoją synową; ale ponieważ lubił dręczyć i upajał się własnym gniewem, przeto zamiast poprosić po prostu Morela, aby dał narzeczonej lekcję dobrych manier, przez całą powrotną drogę robił mu gwałtowne sceny. Najbrutalniejszym, aroganckim tonem wykrzykiwał:

— „Dotyk”, który, jak widzę, nie idzie ręką w rękę z „takterem”, zahamował u ciebie normalny rozwój powonienia, skoro zniosłeś, aby ten cuchnący zwrot: „postawić herbatę” — za piętnaście centymów, jak sądzę — ośmielił się obrazić swoim kloacznym zapachem moje królewskie nozdrza! Kiedyś skończył solo skrzypcowe, czyś widział kiedy

⁴⁷ *chevreau* (fr.) — kozia skóra. [przypis edytorski]

u mnie, aby cię nagradzano przyknięciem zamiast frenetycznego⁴⁸ oklasku lub milczenia, wymowniejszego jeszcze, bo wyrażającego niemożność powstrzymania, nie tego, czym cię darzy twoja narzeczona, ale łez któreś wycisnął?

Kiedy urzędnik ściągnie na siebie takie wymówki szefa, wylatuje nazajutrz. Ale odprawić Morela byłoby dla pana de Charlus katastrofą; obawiając się nawet, że się posunął za daleko, zaczął obsypywać młodą dziewczynę pochwałami subtelnymi i pełnymi smaku, z domieszką bezwiednych impertynencji.

— Ona jest czarująca tak jak ty jesteś muzyk; musiała cię urzec swoim głosem, istotnie bardzo pięknym w wysokich nutach, jakby wyczekujących akompaniamentu twojego wysokiego *b*. Jej niski rejestr mniej mi się podoba, co musi być w związku z trzema kondygnacjami jej dziwnej i szczupłej szyi, piętrzącej się bez końca. Bardziej od tych wątpliwych szczegółów podoba mi się jej sylweta. A że jest szwaczką i umie manipulować nożyczkami, musi mi wystrzyc swoją sylwetkę z papieru.

Charlie słuchał z roztargnieniem, zwłaszcza że sławione uroki narzeczonej nigdy go nie uderzyły. Ale odpowiedział baronowi:

— Dobrze, maluśki, zmyj jej głowę, aby nie mówiła w ten sposób.

Jeżeli Morel mówił do pana de Charlus „maluśki”, to nie znaczy, aby piękny skrzypek nie wiedział, że baron jest trzy razy starszy od niego. Nie mówił też tego tak, jak by powiedział Jupien, ale z ową prostotą, jaka w pewnych stosunkach żąda, aby przekreślenie różnicy wieku milcząco wyprzedzało czułość. Czułość udaną u Morela; u innych — czułość szczerą. I tak w tej epoce pan de Charlus otrzymał list zredagowany w ten sposób: „Palamedzie⁴⁹ drogi, kiedy cię znów zobaczę? Tęsknię za tobą i myślę często o tobie. — Piotr”. Pan de Charlus łamał sobie głowę, kto z krewnych pozwala sobie pisać doń tak poufale; musiał go widocznie dobrze znać, a mimo to nie mógł poznać pisma. Wszyscy książęta, którym Almanach Gotajski użycza po kilka wierszy, kręcili się przez parę dni po mózgu pana de Charlus. W końcu, nagle, adres na odwrocie koperty oświecił go: autorem listu był „strzelec”⁵⁰ z karcianego klubu, gdzie pan de Charlus zachodził czasami. Ów strzelec nie sądził, aby było niegrzecznie pisać w tym tonie do pana de Charlus, który mu przeciwnie bardzo imponował. Ale myślał, że nie byłoby uprzejmie nie „tykać” człowieka, który go sporo razy całował i tym samym — tak sobie chłopak wyobrażał w swojej naiwności — okazał mu swoje przywiązanie. Pan de Charlus był w gruncie zachwycony tą poufalością. Odprowadził raz nawet pana de Vaugoubert, aby mu pokazać list, a Bóg wie jak baron źle znosił towarzystwo pana de Vaugoubert! Bo ten, z monoklem w oku, rozglądał się cały czas za każdym przechodzącym młodym człowiekiem. Co więcej, czując się śmielszy w towarzystwie barona, używał języka, którego pan de Charlus nie znosił. Żeńszczył wszystkie męskie imiona, że zaś był bardzo głupi, uważał ten żarcik za nader dowcipny i cały czas pękał ze śmiechu. Ponieważ zależało mu przy tym bardzo na swoim dyplomatycznym stanowisku, ową niecierpliwą jowialność przerywał ciągle lęk przed spotkaniem kogoś z towarzystwa, zwłaszcza zaś z ministerstwa. „Znałem tę małą telegrafistkę — mówił, trącając łokciem nachmurzonego barona — znałem ją, ale potem sporządzała brzydula! Och, ten goniec z Galeries Lafayette, co za cudo! Mój Boże, idzie dyrektor ministerstwa handlu. Byle tylko nic nie zauważył. Byłby zdolny zaraportować to mojemu ministrowi, który by mnie wysłał na zieloną trawkę, zwłaszcza, że, jak się zdaje, i on należy do cechu”. Pan de Charlus nie posiadał się z wściekłości. W końcu, aby

⁴⁸frenetyczny — gwałtowny, entuzjastyczny. [przypis edytorski]

⁴⁹Palamedes (mit. gr.) — heros, syn Naupliosa, króla Eubei; odkrył podstęp Odyszeusza broniącego się przed udziałem w wyprawie na Troję i udającego obłąkanego; w zemście za to Odyszeusz podrzucił w jego namiocie sfalszowany list Priama, a następnie oskarżył o zdradę; Palamedesa uznano za winnego, zginął ukamienowany przez Odyszeusza i Diomedesa; wg innej wersji zabili go podczas polowu ryb; miał być wynalazcą liter, miar i wag, umiejętności obliczania, astronomii, praw pisanych itd.; choć nie występuje w eposach Homera, był tytułowym bohaterem zaginionych tragedii Sofoklesa, Eurypidesa i Ajschylosa. [przypis edytorski]

⁵⁰strzelec — często powtarzające się u Prousta wyrażenie „strzelec” (*chasseur*) okazało się u nas dla wielu zagadkowe. Dowodzi to, że obyczajowość jednej epoki staje się rychło obca następnym pokoleniom. Strzelec był to za czasów Prousta (także i u nas w Polsce) służący w pańskich domach, przeznaczony zwłaszcza do posyłek, a przekształcony zapewne z prawdziwego strzelca, z którego zachował kurtkę z zielonymi wyłogami i czapkę z piórkiem. Wzorem pańskich domów, strzelec przeszedł i do hoteli, w tym samym charakterze służącego do szczególnych zleceń. Przed kilku laty jeszcze grano w Warszawie farsę francuską *Strzelec od Maksyma*. Strzelec nie odpowiada późniejszemu boyowi, ponieważ strzelcem mógł być zarówno młody chłopiec (zwłaszcza w hotelach), jak i dorosły mężczyzna. [przypis tłumacza]

skrócić ten rozpaczliwy spacer, wyjął list i dał go odczytać ambasadorowi, ale zalecił mu dyskrecję, bo udawał, że Charlie jest zazdrosny, aby tym dać do zrozumienia, że skrzypek go kocha. I dodał tonem nieoszacowanej dobroci: „Tak, trzeba się zawsze starać, aby robić możliwie najmniej przykrości”.

Zanim wrócimy do sklepu Jupiena, autor pragnie powiedzieć, jak dalece byłoby mu przykro, gdyby czytelnik zgorszył się tak szczególnymi obrazami. Z jednej strony (co jest mniej ważne), wiele osób uważa, że arystokracja stosunkowo bardziej w tej książce podpada pod zarzut degeneracji niż inne klasy. Gdyby tak i było, nie byłoby w tym nic bardzo dziwnego. Najstarsze rodziny streszczają w końcu w czerwonym i garbatym nosie, w niekształtnym podbródku, swoiste oznaki powszechnie podziwianej „rasy”. Ale pośród tych trwałych i coraz wyrazistszych rysów są inne, niewidoczne: mianowicie skłonności i gusty. Poważniejszym zarzutem — gdyby był uzasadniony — byłoby, że wszystko to jest nam obce i że trzeba czerpać poezję z najbliższej prawdy. Owszem, sztuka dobyta z najpospolitszej rzeczywistości istnieje i dziedzina jej jest może największa. Niemniej prawdą jest, że doniosłe rzeczy, czasem piękno, mogą się rodzić z postępów i z form duchowych tak odległych od naszych uczuć i wierzeń, że nie możemy nawet ich zrozumieć; uderzają nasze oczy niby zjawisko pozbawione przyczyny. Cóż poetyczniejszego niż Kserkses⁵¹, syn Dariusza, chłostający różgami morze, które pochłonęło jego okręty?

Tyle jest pewne, że Morel, korzystający z władzy, jaką uroda dawała mu nad młodą dziewczyną, powtórzył jej — niby to w swoim imieniu — uwagę barona, wyrażenie bowiem: „postawić herbatę” znikło ze sklepu krawca tak doszczętnie, jak znika na zawsze z salonu bliska osoba, którą ktoś przyjmował co dzień, a z którą z tej lub innej przyczyny poróżnił się lub którą pragnie ukryć i spotyka tylko poza domem. Pan de Charlus był zadowolony, że „stawianie herbaty” znikło. Ujrzał w tym dowód swego wpływu na Morela i usunięcie jedynej plamki na doskonałościach młodej dziewczyny. Wreszcie, jak wszyscy ludzie tego rodzaju, będąc szczerym przyjacielem Morela i jego półnarzeczonej, gorącym zwolennikiem ich związku, dość był skłonny wniecać mniej lub więcej niewinne zwady, poza którymi — i ponad którymi — sam pozostawał olimpijski, niczym jego brat, książę Błazej.

Morel powiedział panu de Charlus, że kocha siostrzenicę Jupiena, że się chce z nią żenić; baron zaś znajdował słodycz w tym, aby towarzyszyć swemu młodemu przyjacielowi na tych wizytach, grając rolę pobłażliwego i dyskretnego teścia. Przepadał za tym.

Osobiście jestem przekonany, że „stawianie herbaty” pochodziło od samego Morela i że w zaślepieniu miłości młoda krawcowa przejęła od ukochanego zwrot odbijający trywialnością od jej pięknego wysłowienia. Owo jej wysłowienie, dystyngowany sposób bycia będący z nim w harmonii, protekcja pana de Charlus, wszystko to sprawiło, że wiele klientek przyjmowało ją jak przyjaciółkę; zapraszały ją na obiad, wciągały ją w swoje kółko, z czego młoda osoba korzystała jedynie za zezwoleniem barona i w dni, które mu odpowiadały. „Młoda krawcowa bywająca w świecie! — powie ktoś — cóż za nieprawdopodobieństwo!”. Gdyby tak brać, równie mało prawdopodobne było, że Albertyna odwiedzała mnie niegdyś o północy, a teraz żyła ze mną. I może byłoby to nieprawdopodobne z inną, ale nie z Albertyną, niemającą ojca i matki, wiodącą życie tak swobodne, że z początku wzięłam ją w Balbec za przyjaciółkę cyklisty; mającą jako najbliższą krewną panią Bontemps, która już u pani Swann podziwiała w siostrzenicy jedynie złe maniery, a teraz przymykała oczy, zwłaszcza jeśli to mogło ją uwolnić od Albertyny, zapewniając jej bogate małżeństwo, z którego trochę pieniędzy przeszłoby do ciotki. (W największym świecie matki wybornie urodzone a biedne, zapewniwszy synowi bogate małżeństwo, żyją na koszt młodej pary, przyjmują futra, auto, pieniądze synowej, której nie lubią, a którą wprowadzają w świat).

Przyjdzie może dzień, że krawcowe (co by mnie wcale nie gorszyło) zaczną bywać w świecie. Siostrzenica Jupiena, będąc wyjątkiem, nie może jeszcze być wróżbą w tej mierze; jedna jaskółka nie stanowi wiosny. W każdym razie, jeżeli owa tak skromna wszakże „kariera” siostrzenicy Jupiena gorszyła niejednych, nie gorszyła z pewnością Morela. Głu-

⁵¹Kserkses (ok. 518–465 p.n.e.) — król perski, w 480 roku p.n.e. wyruszył z ogromną, wielonarodową armią na podbój Grecji. Podczas wyprawy nakazał zbudować most w celu przeprowadzenia armii przez cieśninę Hellespont, oddzielającą Azję Mniejszą od Europy. Kiedy świeżo zbudowany most został zniszczony przez potężną burzę, władca rozkazał ukarać morze biczowaniem i wrzucić w głębinę kajdany. [przypis edytorski]

pota jego na niektórych punktach była taka, że nie tylko uważał tę młodą dziewczynę, tysiąc razy inteligentniejszą od niego, za „głupią” (może tylko dlatego, że go kochała), ale również miał za awanturnice, za szwaczki przebrane i udające damy, bardzo dobrze sytuowane osoby, które ją gościły, a których zaproszenia przyjmowała z całą skromnością. Oczywiście to nie byli Guermantowie, ani nawet ich znajomi; ale to były panie „z miasta”, bogate, eleganckie, o poglądach na tyle szerokich, aby nie uważać za hańbę przyjaźni z krawcową, a równocześnie na tyle ciasnych, aby znajdować przyjemność w popieraniu dziewczyny, którą Jego Wysokość baron de Charlus odwiedza (w najlepszych intencjach) co dzień.

Nic bardziej nie odpowiadało baronowi niż pomysł tego małżeństwa; w ten sposób sądził, że nie straci Morela. Zdaje się, że siostrzenica Jupiena niemal jeszcze dzieckiem popełniła „błąd”. I pan de Charlus, wychwalając ją przed Morelem, rad byłby zdradzić to przyjacielowi (który byłby wściekły), aby w ten sposób zasiać niezgodę. Bo pan de Charlus, mimo że piekielnie złośliwy, podobny był do wielu poczciwych ludzi, którzy wychwalają kogoś, aby dowieść własnej dobroci, ale strzegłby się jak ognia zbawiennych, a tak rzadko wypowiedanych słów zdolnych zapewnić pokój. Mimo to baron unikał wszelkiej insynuacji, a to z dwóch przyczyn. „Jeżeli opowiem Morelowi — powiadał sobie — że jego narzeczona nie jest bez skazy, zrani to jego ambicję, będzie miał do mnie żal. A potem, któż wie, czy on się w niej nie kocha? Jeżeli nie powiem nic, ten słomiany ogień rychło zgaśnie, będę kierował ich stosunkami, będzie ją kochał jedynie tyle, ile ja sobie będę życzył. Jeżeli mu opowiem miniony błąd jego przyszłej, kto mi ręczy, czy Charlie nie jest jeszcze na tyle zakochany, aby się stać zazdrosny? Wówczas, z własnej winy, flirt bez znaczenia, którym można powodować do woli, przemienię w wielką miłość, rzecz trudną do kierowania”. Z dwóch tych przyczyn pan de Charlus zachowywał milczenie, które miało jedynie pozory dyskrecji, ale które skądinąd nie było bez zasługi, bo milczenie jest prawie niepodobieństwem⁵² dla ludzi jego rodzaju.

Zresztą młoda osoba była urocza, i pan de Charlus, któremu dawała wszystkie przyjemności estetyczne, jakie mógł znajdować w kobietach, byłby chciał mieć setki jej fotografii. Będąc inteligentniejszy od Morela, słyszał z przyjemnością nazwiska pań, które ją przyjmowały, a które jego zmysł towarzyski właściwie taksował; ale strzegł się (chcąc zachować władzę) powiedzieć to Morelowi, który z chamską tępotą wciąż wierzył, że poza jego „klasą skrzypcową” i Verdurinami istnieją jedynie Guermantowie, kilka rodzin omal nie królewskich, wymienionych przez barona, wszystko zaś inne to tylko „szumowiny” i „pospólstwo”. Te wyrażenia pana de Charlus brał Charlie dosłownie.

Pośród racji, które czyniły pana de Charlus szczęśliwym z małżeństwa dwojga młodych, była i ta, że siostrzenica Jupiena stałaby się poniekąd rozszerzeniem osobowości Morela, a przez to władzy barona nad skrzypkiem i kontaktu z nim. „Oszukać” w sensie małżeńskim przysłał żonę skrzypka — to by nie obudziło w panu de Charlus najmniejszego skrupułu. Ale być mentorem „młodego małżeństwa”, czuć się groźnym i wszechpotężnym protektorem żony Morela, która widząc w baronie boga, dowodziłaby przez to, że ukochany Morel wszczepił jej owo pojęcie, i zawierałaby w ten sposób coś z Morela, wszystko to urozmaicało panu de Charlus sposób jego panowania. Jego „rzecz”, Morel, stawał się jedną istotą więcej, małżonkiem, czyli przedmiot miłości barona zyskiwał coś innego, nowego, zajmującego. Panowanie to byłoby może nawet większe teraz niż kiedykolwiek. Bo tam gdzie Morel sam — „nagi”, aby tak rzec — opierał się często baronowi, pewien, że go łatwo odzyska, ożeniwszy się, bardziej by się bał o los swego małżeństwa, swego domu, swojej przyszłości, tym samym nastęrczałby pragnieniom pana de Charlus większą powierzchnię i łatwiejszy uchwyt. Wszystko to nęciło pana de Charlus, a także myśl, iż w dni, kiedy by się nudził, mógłby wzniecić wojnę między małżonkami: baron zawsze dosyć lubił batalistyczne obrazy... Jeszcze milsza była mu myśl o zależności, w jakiej będzie trzymał młode stadło⁵³. Miłość pana de Charlus do Morela odzyskiwała rozkoszną świeżość, kiedy sobie powiadał: „Żona jego będzie też moją, tak jak on jest mój; będą robili tylko to, co mnie będzie na rękę, będą posłuszni moim kaprysom. W ten sposób ona będzie nieznanym mi dotąd symbolem tego, o czym prawie zapomniałem,

⁵²niepodobieństwo (daw.) — coś niemożliwego a. nieprawdopodobnego. [przypis edytorski]

⁵³stadło (daw.) — małżeństwo; para małżeńska. [przypis edytorski]

a co jest tak słodkie memu sercu: że dla całego świata, dla tych, co będą widzieli, że się nimi opiekuję, że im daję mieszkanie, dla mnie samego wreszcie — Morel jest mój”. Ta oczywistość w oczach ludzi i w jego własnych oczach upajała barona bardziej niż wszystko inne. Bo posiadanie przedmiotu miłości jest radością większą jeszcze niż miłość. Często ci, co kryją światu owo posiadanie, czynią to jedynie z obawy, aby im nie wydarto ich ukochania. I przez to ostrożne milczenie szczęście ich ubożeje.

Czytelnik przypomina sobie może, że Morel powiedział niegdyś baronowi, iż pragnieniem jego byłoby uwieść młodą dziewczynę, właśnie tę, siostrzenicę Jupiena; aby tego dopiąć, przyrzekłby jej małżeństwo, po czym zgwałciwszy ją, „dałby nogę”; ale wobec późniejszych wynurzeń Morela, jakoby zakochanego w tej dziewczynie, pan de Charlus zapomniał o tym. Może zapomniał i sam Morel. Był może nawet istotny przedział między naturą Morela — taką, do jakiej się cynicznie przyznał, może nawet zręcznie przesadził — a chwilą, w której wzięłaby ona górę. W miarę rosnącej zażyłości dziewczyna podobiała mu się coraz więcej, kochał ją. Tak mało znał samego siebie, że wyobrażał sobie z pewnością, że ją kocha, może nawet na zawsze! Z pewnością jego początkowa chętką, jego zbrodniczy zamiar trwał nadal, ale pokryte taką warstwą innych uczuć, że nic nie świadczy przeciw szczeroci skrzypka, gdy mówił, że owo występne pragnienie nie było jego prawdziwą pobudką. Był zresztą krótki okres, kiedy mimo iż sobie tego jasno nie mówił, małżeństwo to zdawało mu się konieczne. Morel cierpiał wówczas na dość silne kurcze w ręce i liczył się z możliwością porzucenia skrzypiec. Ponieważ poza swoją sztuką był nieopisanie leniwy, musiał szukać kogoś, kto by go utrzymywał; wolał, żeby to była raczej siostrzenica Jupiena niż pan de Charlus; ta kombinacja zostawiała mu więcej swobody, a także większy wybór kobiet, zarówno wśród nowych „podręcznych”, które siostrzenica Jupiena musiałaby mu stręczyć, jak wśród pięknych i bogatych dam, którym on by stręczył ją samą. To, że przyszła jego żona mogłaby być na tyle przewrotna, aby się nie zgodzić na takie kombinacje, nie powstało ani na chwilę Morelowi w głowie. Zresztą odkąd kurcz w ręce przeszedł, rachuby zeszyły na dalszy plan, zostawiając miejsce czystej miłości. Wystarczyłyby skrzypce wraz z apanażami od pana de Charlus; skoroby zaś Morel już był żonaty, wymagania barona osłabłyby z pewnością. Małżeństwo było rzeczą pilną, tak dla jego miłości, jak w interesie jego swobody. Poprosił formalnie o rękę młodej dziewczyny, do której decyzji Jupien się odwołał. Zresztą to nie było potrzebne. Miłość okrywała ją całą, jak włosy, kiedy je rozplotła, jak radość jej omdlałych spojrzeń. U Morela wszystko prawie, co mu było przyjemne lub korzystne, rodziło jednakowe wzruszenia i słowa, czasem nawet lży. Szczerze zatem — jeżeli można do niego zastosować ten wyraz — znajdował dla siostrzenicy Jupiena zwroty równie sentymentalne (sentymentalne są też słowa, jakie młodzi arystokraci, mający ochotę nic nie robić całe życie, zwracają do uroczej córki olbrzymio bogatego parweniusza), jak niegdyś jawnie nikczemne były te, w których rozmawiając z panem de Charlus, planował jej uwiedzenie i gwałt. Tylko że cnotliwy entuzjazm w stosunku do osoby, której pożądał, oraz uroczyście zobowiązania wobec niej miały u Morela swoją przeciwwagę. Z chwilą gdy przestał pragnąć lub kiedy obowiązek zaczął mu być uciążliwy, ta sama osoba stawała się dlań natychmiast przedmiotem antypatii. Antypatia ta, którą umiał usprawiedliwić we własnych oczach, pozwalała mu po paru atakach nerwów i powrocie do równowagi dowieść samemu sobie, że nawet biorąc rzecz wysoce moralnie, wolny jest od wszelkich zobowiązań. Tak na przykład pod koniec pobytu w Balbec Morel stracił nie wiem już na co wszystkie pieniądze; nie śmiejąc wyznać tego panu de Charlus, szukał, od kogo by je wydostać. Nauczył się od ojca (który jednak zabronił mu zostać „naciągaczem”), iż w podobnym wypadku wypada napisać do upatrzonej osoby, że się z nią chce „pomówić w sprawie osobistej”, że się ją „prosi o spotkanie w pewnej sprawie”. Magiczna ta formuła tak oczarowała Morela, że byłby, jak sądzę, chętnie stracił pieniądze dla samej przyjemności poproszenia o schadzki „w pewnej sprawie”. Z czasem przekonał się, że ta formuła nie posiada mocy, którą jej przypisywał. Stwierdził, że ludzie, do których nie byłby nigdy napisał w innych okolicznościach, nie kwapią się odpowiedzieć w pięć minut po otrzymaniu listu „w pewnej sprawie”. Jeżeli upłynęło pół dnia, a Morel nie otrzymał odpowiedzi, nie przychodziło mu na myśl, że nawet biorąc rzeczy najpomyślniej, nagabywany jegomość może nie wrócił do domu, może miał inne pilne listy, mógł być zresztą w podróży albo chory itd. Jeżeli — wyjątkowo szczęśliwie — naznaczył spotkanie na drugi dzień, Morel przystępował do

ofiary z tymi słowami: „Właśnie dziwiłem się, że nie mam odpowiedzi; zastanawiałem się, czy coś nie zaszło; zatem zdrowie pańskie jest zawsze dobre” itd. Tak więc w Balbec poprosił mnie, żebym go przedstawił temuż Blochowi, dla którego był tak niegrzeczny w kolejce tydzień wprzód; ale nie zdradził się przede mną, że chce mówić z Blochem „w pewnej sprawie”. Bloch nie zawahał się pożyczyć — lub raczej skłonić pana Nissim Bernard do pożyczania Morelowi — pięciu tysięcy franków. Od tego dnia Morel ubóstwiał Blocha. Zastanawiał się ze łzami w oczach, jak mógłby się odwdziżyć komuś, kto mu ocalił życie. W końcu podjąłem się uprosić pana de Charlus o tysiąc franków miesięcznie dla Morela; pieniądze te miał Morel przekazywać Blochowi, spłacając go w ten sposób dość szybko. Pierwszego miesiąca Morel, jeszcze pod wrażeniem dobroci Blocha, przesłał mu bezzwłocznie tysiąc franków; ale potem znalazł najwidoczniej inny, przyjemniejszy użytek dla pozostałych czterech tysięcy franków, bo zaczął mówić bardzo źle o Blochu. Widok Blocha wystarczał, aby mu zepsuć humor. Bloch, zapomniawszy, ile ściśle pożyczył Morelowi, upomniał się o trzy i pół tysiąca franków w miejsce czterech tysięcy, co by skrzypkowi oszczędziło pięćset franków; na co Morel gotował się odpisać, że wobec podobnego kłamstwa nie tylko nie zapłaci już ani centyma⁵⁴, ale wierzyciel jego może mówić o szczęściu, że go nie skarży do sądu. Kiedy Morel to mówił, oczy mu błyszczały. Nie zadowolili się zresztą twierdzeniem, że Bloch i pan Nissim Bernard nie mogą mieć do niego żadnych pretensji, a raczej powinni by się czuć szczęśliwi, że on nie ma pretensji do nich. Podobno pan Nissim Bernard oświadczył kiedyś, że Thibaut gra nie gorzej od Morela; otóż skrzypek uważał, że powinien by go pozwać, że tego rodzaju gadania szkodzą mu w jego zawodzie; wołał, że nie ma już sprawiedliwości we Francji, zwłaszcza na Żydów (antysemityzm był u Morela naturalnym skutkiem pięciu tysięcy franków pożyczonych od Izraelity), i nie ruszał się już z domu bez rewolweru. Podobny stan nerwowy po okresie gorącej miłości miał się niebawem objawić u Morela w stosunku do siostrzenicy Jupiena. Pan de Charlus odegrał może bezwiednie pewną rolę w tej odmianie; często bowiem oświadczał, nie wierząc w to ani trochę, ot, aby się droczyć, że skoro się pobiorą, przestanie się nimi zajmować i pozwoli im bujać o własnych siłach. Ta myśl nie wystarczała sama w sobie, aby oderwać Morela od narzeczonej; ale utkwivszy w jego głowie, mogła się kiedyś skombinować z innymi myślami mającymi z nią powinowactwo i zdolnymi — gdy nastąpi połączenie chemiczne — stać się potężnym czynnikiem zerwania.

Nie zdarzało mi się zresztą zbyt często spotykać pana de Charlus i Morela. Czasem weszli już do sklepu, zanim pożegnałem księżnę; przyjemność bowiem, jaką znajdowałem w jej towarzystwie, była taka, że pod jej urokiem zapomniałem nie tylko trwożnego oczekiwania poprzedzającego powrót Albertyny, ale nawet godziny tego powrotu.

Spośród dni, w które zasiadywałem się u pani de Guermites, wspomnę jeden, upamiętniony drobnym wydarzeniem, którego okrutny sens zrozumiałem dopiero znacznie później. Tego popołudnia pani de Guermites dała mi, wiedząc, że lubię te kwiaty, bez turecki przybyły z południa. Kiedy pożegnawszy księżnę, szedłem do siebie, Albertyna wróciła już; minąłem się na schodach z Anną, którą uderzył silny zapach kwiatów.

— Jak to, jużście wrócili? — rzekłem.

— Ledwo przed chwilą, ale Albertyna miała pisać jakieś listy, odprawiła mnie.

— Nie sądzisz, że ona ma jakieś złe zamiary?

— Ani trochę; pisze, zdaje się, do ciotki. Ale wiesz, ona nie lubi zbyt silnych zapachów, nie będzie zachwycona twoim bzem.

— W takim razie miałem nieszczęśliwą myśl! Powiem Franciszce, żeby go postawiła w sieni koło kuchennych schodów.

— Ty sobie wyobrażasz, że Albertyna nie poczuje od ciebie zapachu bzu? Obok tuberozy to jest najpopularniejszy; zresztą, zdaje mi się, że Franciszka poszła za jakimś sprawkami.

— W takim razie jak ja się dostanę, właśnie dziś nie wziąłem klucza.

— Och, zadzwonisz po prostu, Albertyna otworzy. Tymczasem może Franciszka wróci.

⁵⁴centym — drobna moneta francuska o wartości 1/100 franka. [przypis edytorski]

Pożegnałem Annę. Za pierwszym dzwonkiem Albertyna przyszła otworzyć, co było dość skomplikowane, bo Franciszka zeszła na dół, a Albertyna nie wiedziała, jak się zapala światło. W końcu zdołała mnie wpuścić, ale zapach bzu spłoszył ją. Postawiłem kwiaty w kuchni, tak iż przerwawszy list (nie rozumiałem czemu), Albertyna miała czas udać się do mojego pokoju. Zawołała mnie, zastałem ją wyciągniętą na łóżku. Na razie wydało mi się to znów całkiem naturalne, co najwyżej nieco mętne, w każdym razie nieznaczące. Albertyna, omal nie przydybana z Anną, zyskała nieco na czasie, gasząc wszystkie światła, idąc do mnie, abym nie spostrzegł jej łóżka w nieładzie, i udając, że właśnie pisała. Ale wszystko to pokaże się później; nigdy zresztą nie dowiedziałem się, czy i to było prawdą.

Na ogół, z wyjątkiem tego jednego zdarzenia, wszystko odbywało się normalnie, kiedym wracał od księżnej. Ponieważ Albertyna nie wiedziała, czy nie zechcę z nią wyjść przed obiadem, zastawiałem zazwyczaj w przedpokoju jej kapelusz, płaszczyk, parasolkę; zostawiała je tam na wszelki wypadek. Z chwilą gdy wchodząc, widziałem te rzeczy, atmosfera domu stawała mi się możliwa. Czulem, że w miejsce rozrzedzonego powietrza wypełnia go szczęście. Smutek mój pierzchał, widok tych drobiazgów dawał mi uczucie posiadania Albertyny, biegłem do niej.

W dni, w które nie zachodziłem do pani de Guermantes, przez godzinę poprzedzającą powrót mojej przyjaciółki przeglądałem dla zabicia czasu jakiś album Elstira, książkę Bergotte'a, sonatę Vinteuila.

Dzieła sztuki zwracając się na pozór jedynie do wzroku i słuchu, wymagają jednak, aby i nasza rozbudzona inteligencja współpracowała najściślej z tymi dwoma zmysłami; dawałem tedy bezwiednie folgę marzeniom, jakie nieznajoma jeszcze Albertyna wzbudziła we mnie niegdyś; marzeniom zgaszonym później przez codzienne życie. Rzucałem je we frazę muzyka lub w obraz malarza niby w tygiel; syciłem nimi książkę, którą czytałem, i bez wątpienia stawała mi się przez to żywsza. Ale i Albertyna zyskiwała na tym przeniesieniu z jednego z dwóch światów, do których mamy dostęp i w których możemy mieścić na przemian dany przedmiot; umykała się w ten sposób miażdżącemu ciśnieniu materii, aby igrać w płynnych regionach myśli. I przez chwilę ta dziewczyna, którą byłem tak znudzony, budziła we mnie płomienne uczucia. Oblekała w takich momentach kształt jakiegoś dzieła Elstira lub Bergotte'a, oglądana w perspektywie wyobraźni i sztuki rodziła we mnie chwilowy zachwyty.

Niebawem uprzedzano mnie, że Albertyna właśnie wróciła; przy czym wzbronione było wymieniać jej imię, jeżeli nie byłem sam, kiedy na przykład był u mnie Bloch; zatrzymywałem go wówczas jeszcze przez chwilę, tak aby się nie mógł spotkać z Albertyną. Kryłem się z tym, że ona mieszka u mnie, a nawet, że ją przyjmuję u siebie, tak dalece bałem się, aby któryś z moich przyjaciół nie zadurzył się w niej, nie czekał na nią na ulicy, lub aby spotkawszy się z nim w korytarzu lub w przedpokoju, Albertyna nie mogła dać jakiegoś znaku i umówić spotkania. Potem słyszałem szelest sukni: to Albertyna szła do swego pokoju; przez delikatność (a z pewnością także przez owe względy, które niegdyś, w czasie naszych obiadów w la Raspelière, kazały jej unikać wszystkiego, co by mogło podsycić moją zazdrość) nie wchodziła do mnie, gdy wiedziała, że nie jestem sam. Ale zrozumiałem naraz, że nie tylko dlatego. Przypominałem sobie: znałem pierwszą Albertynę, potem nagle zmieniła się w inną, tę, którą znałem dziś. I tę zmianę mogłem przypisać jedynie sobie. Wszystko to, co byłaby mi wyznała łatwo — nawet chętnie, wówczas gdyśmy byli z sobą jak dobrzy koledzy — zamarło na jej ustach, odkąd sądziła, że ją kocham, lub odkąd, nie nazywając może tego wręcz miłością, odgadła inkwizytorskie uczucie, które chce wiedzieć, cierpi, że wie, i sili się dowiedzieć więcej. Od tego dnia ukrywała przede mną wszystko. Wracała spod mojego pokoju, jeżeli sądziła, że jestem z kimś (często nawet nie z przyjacielem, ale z jakąś przyjaciółką); ona, której oczy tak się ożywiały niegdyś, kiedy mówiłem o jakiejś młodej dziewczynie: „Trzeba się starać ją ściągnąć, tak bym miała ochotę ją poznać”. — „Ale ona jest, jak ty nazywasz, »w podejrzanym rodzaju«”. — „Właśnie, to będzie tym zabawniejsze”.

W takiej chwili zdołałbym się może dowiedzieć wszystkiego. I nawet kiedy tam, w kasynie, odkleiła piersi od piersi Anny, nie sądzę, aby to było z mojego powodu; raczej z powodu Cottarda, który mógłby je (tak z pewnością myślała) obmówić. A jednak wówczas już zaczynała sztywnieć, nie mówiła już tak swobodnie jak wprzód, stała się oględna w gestach. Stopniowo zaczęła unikać wszystkiego, co by mnie mogło zaniepo-

koić. Partiom swojego życia, których nie znałem, dawała charakter naiwnie przeze mnie przyjmowanej niewinności. Teraz zmiana była całkowita; o ile nie byłem sam, Albertyna szła prosto do siebie, nie tyle dlatego, aby mi nie przeszkadzać, ale aby pokazać, że jej nikt inny nie interesuje. Jednego nie zrobiłaby już dla mnie nigdy, tego, co zrobiłaby wówczas, kiedy mi to było obojętne — i zrobiłaby bez trudu właśnie dla tej przyczyny — mianowicie tego, żeby się przyznać. Na zawsze już będę musiał, jak sędzia śledczy, wyciągać niepewne konkluzje z niebaczących słów, które dałoby się może wytłumaczyć bez doszukiwania się winy. I zawsze będzie we mnie czuła zazdrośnika i sędziego.

Nad słuchując kroków Albertyny z owym lubym poczuciem, że nie wyjdzie już tego wieczora, podziwiałem fakt, że dla tej młodej dziewczyny, o której poznaniu niegdyś nie śmiałem marzyć, „wracać co dzień do siebie”, znaczy właśnie wracać do mnie. Tajemnicze i zmysłowe szczęście, cząstkowe i ulotne, którego doświadczałem w Balbec owego wieczora, kiedy Albertyna nocowała w hotelu, skompletowało się, ustabilizowało, wypełniało moje mieszkanie, niegdyś puste, trwałym zapasem słodczy, domowej, niemal rodzinnej, promieniując nawet w korytarz; słodczy, którą karmiły się spokojnie wszystkie moje zmysły, to faktycznie, to (kiedy byłem sam) przez wyobraźnię i w oczekiwaniu powrotu Albertyny. Kiedyś usłyszał, że się zamykają drzwi do jej pokoju, wówczas, o ile był u mnie ktoś z przyjaciół, starałem się go wyprawić czym prędzej, wyprowadzając go aż na schody, czasem nawet schodziłem z nim kilka stopni. Przyjaciel mówił mi, że się zaziębię, zwracał uwagę, że nasz dom jest lodowaty, pełen przeciągów i że drogo trzeba by mu płacić za to, aby tu zamieszkał. Skarżyli się na to zimno, dlatego że się dopiero zaczęło i że jeszcze do niego nie przywykli; ale we mnie z tego samego powodu wzniecało ono radość wraz z bezwiednym wspomnieniem pierwszych zimowych wieczorów, kiedy wróciwszy niegdyś z podróży, szedłem do *café concert*, aby znów skosztować zapomnianych rozkoszy Paryża. Toteż rozstawszy się z dawnym kolegą, nucąc, wbiegałem na schody i wracałem do mieszkania. Ciepła pora, pierzchając, zabrała ze sobą ptaki. Ale zastąpili je inni muzycy, niewidzialni, wewnętrzni. I oczerniony przez Blocha lodowaty wiatr, dmący rozkosznie przez nieszczelne drzwi, witały z uniesieniem — jak ptaki leśne witają piękne letnie dni — bez końca refreny Fragona, Mayola lub Paulusa. Albertyna wychodziła naprzeciw mnie na korytarz. „Czekaj, pójde się rozebrać, a tymczasem przyślę ci Annę; wpadła na chwilę, żeby ci powiedzieć dobranoc”. I nie zdjąwszy jeszcze szarego woala związającego z szynszylowego toczka (dałem go jej w Balbec), znikła w swoim pokoju, tak jakby odgadła, że Anna, czuwająca nad nią z mojego zlecenia, miała, podając mi szczegóły, wspominać o spotkaniu znajomej osoby, wprowadzić coś konkretnego w mgliste regiony będące terenem spaceru, który im zajął cały dzień, a którego nie umiałem sobie wyobrazić.

Wady Anny zaakcentowały się; nie była już taka miła jak wówczas, kiedy ją poznałem. Był w niej teraz podskórnie jakiś cierpki niepokój, gotowy zerwać się jak wichur morski, gdybym tylko wspomniał o czymś, co było przyjemne dla Albertyny i dla mnie. Nie przeszkadzało to, że Anna mogła być lepsza dla mnie, kochać mnie bardziej niż ludzie miłsi od niej. Często miałem tego dowody. Ale najłżejsza oznaka czyjegoś szczęścia, o ile to szczęście nie płynęło z niej, budziło w niej odruch nerwowy, przykry jak łoskot zbyt mocno zamykanych drzwi. Uznawała cierpienia, w których nie miała udziału, ale nie uznawała takich przyjemności; kiedy widziała, że mój chory, martwiła się, współczuła, pielęgnowałaby mnie w potrzebie. Ale kiedy miałem przyjemność, choćby tak bląhą jak wyciągnąć się błogo, zamykając książkę, i rzec: „Och, spędziłem dwie rozkoszne godziny, czytając zajmującą książkę”, słowa te, które sprawiłyby przyjemność matce, Albertynie, Robertowi, budziły w Annie rodzaj niezadowolenia, może po prostu nerwowej niechęci. Moje przyjemności zawsze drażniły ją i nie mogła tego ukryć. Wad tych dopełniały inne, poważniejsze; pewnego dnia, kiedy mówiłem o owym młodym człowieku, będącym niegdyś tak blisko z ich „bandą” w Balbec, tak biegłym w sprawach wyścigów, gier, golfa, a tak ciemnym we wszystkim innym, Anna zaśmiała się szyderczo: „Pan wie, że jego ojciec coś ukradł, omal nie dostał się do kryminału. Chcą brawurować, ale ja z przyjemnością opowiadam to całemu światu. Chciałabym, żeby mnie zaskarżyli o potwarz. Ładne rzeczy mogłabym zeznać!”. Oczy jej błyszczały. Otóż dowiedziałem się, że ojciec młodego człowieka nie dopuścił się żadnego przestępstwa i że Anna wiedziała o tym lepiej od innych. Ale sądziła, że syn wzgardził nią, szukała tedy czegoś, co by go mogło

zaboleć, przynieść mu wstyd, wyroila jakieś zeznania, które miała składać w imaginacji, i póty haftowała sobie różne szczegóły, aż w końcu zatraciła świadomość ich fałszu. Toteż w obecnej fazie (pominawszy nawet krótkie i zapamiętałe nienawiści Anny) byłbym wołał jej nie widywać, choćby z powodu tej niezyczliwej podejrzliwości, która lodowatą i cierpką strefą niechęci okoliła prawdziwą jej naturę — cieplejszą i lepszą. Ale wiadomości, które ona jedna mogła mi dawać o Albertynie, były mi zbyt cenne, abym chciał zaniedbać tak rzadką sposobność ich zdobycia. Anna wchodziła, zamykała drzwi i zaczynała swoją relację. Spotkały przyjaciółkę, o której Albertyna nigdy mi nie wspominała.

— O czym mówiły z sobą?

— Nie wiem, bo skorzystałam z tego, że Albertyna nie jest sama, aby iść kupić włóczki.

— Kupić włóczki?

— Tak, Albertyna prosiła mnie o to.

— Racja więcej, żeby nie iść; umyślnie chciała cię oddalić.

— Nie, prosiła mnie o to, zanim spotkałyśmy przyjaciółkę.

— A! — oddychałem z ulgą.

Za chwilę oblegało mnie z powrotem podejrzenie: kto wie, czy Albertyna nie umówiła z góry schadzki z przyjaciółką i nie skombinowała pretekstu, aby z nią zostać sama? Zresztą, skąd pewność, że Anna mówi całą prawdę? Może jest w zмовie z Albertyną? Kochamy — powiadałem sobie niegdyś w Balbec — tym bardziej, im bardziej jesteś zazdrośni o postęпки danej osoby; czujemy, że gdyby nam opowiedziała wszystko, łatwo może wyleczylibyśmy się z miłości. Daremnie ukrywamy zazdrość; osoba, która ją budzi, przenika ją rychło i ma się na baczności. Stara się zmylić nas, ukrywając to, co by nas mogło unieszczęśliwić, i myli nas w istocie, bo o ile ktoś nie ma uwagi wytężonej w tym kierunku, czemu by jakieś obojętne słowa miały zdradzić ukryte w nich kłamstwa; nie odróżniamy tych słów od innych; kobieta mówiła je ze strachem, my słuchamy ich nieuważnie. Później, kiedy znajdziemy się sami, wrócimy do tych słów i nie wydadzą się nam już całkiem zgodne z rzeczywistością. Ale czy je sobie dobrze przypominamy? Rodzi się w nas samorzutna wątpliwość co do ścisłości naszej pamięci, tak jak w pewnych stanach nerwowych nie można sobie przypomnieć, czy się zasunęło rygiel — i to równie za pięćdziesiątym razem, jak za pierwszym; można by bodaj bez końca powtarzać daną czynność, nie osiągając nigdy ścisłego i zbawczego utrwalenia jej w pamięci. Ale tu przynajmniej możemy zamknąć pięćdziesiąty i pierwszy raz drzwi; podczas gdy owe niepokojące słowa żyją w przeszłości w niepewnym brzmieniu, którego nie mamy mocy wskrzesić. Wówczas zwracamy tym baczniejszą uwagę na inne słowa, które nie kryją nic, jedynym zaś lekarstwem — którego nie chcemy — byłoby nie wiedzieć nic, aby nie chcieć wiedzieć lepiej.

Z chwilą gdy nasza zazdrość wyszła na jaw, ta, co jest jej przedmiotem, widzi w niej brak ufności uprawniający oszukiwanie. Zresztą w żądzy dowiedzenia się my pierwsi zaczęliśmy kłamać, oszukiwać. Anna, Aimé przyrzekają nam, że nic nie zdradzą, ale czy dotrzymają? Bloch nie mógł niczego przyrzec, bo nie wiedział. Niech tylko Albertyna porozmawia z nimi, rychło przy pomocy tego, co Saint-Loup nazywał „krzyżowym ogniem”, dowie się, że kłamię, gdy twierdzę, że jestem obojętny na jej postęпки i niezdolny szpiegować. W ten sposób drobny fragment odpowiedzi, jaki mi przyniosła Anna, przez to, że zjawił się po mojej nieskończonej i stałej niepewności (niepewności tego, co robi Albertyna), był zbyt nieokreślony, aby zadać ból; był dla zazdrości tym, czym dla zgrzyoty są początki zapomnienia i ich kojąca mgła. Ale ten fragment odpowiedzi rozdził natychmiast nowe pytania. Zgłębiając cząstkę wielkiej strefy rozciągającej się dokoła mnie, zdołałem jedynie odsunąć owo niepoznawalne, jakim jest dla nas istotne życie drugiej osoby, kiedy je chcemy sobie naprawdę wyobrazić. Wypytywałem dalej Annę, podczas gdy Albertyna, przez dyskrecję i aby mi zostawić wszelką swobodę badania (czy domyślała się czego?), umyślnie długo się przebieiała w swoim pokoju.

— Zdaje mi się, że wujostwo Albertyny bardzo mnie lubią — powiadałem niebacznie, zapominając o charakterze Anny.

Natychmiast ujrzałem, że jej lepka twarz zmienia się; niby sfermentowany sok zdawała się zmaćcona na zawsze. Usta stały się gorzkie. Nie zostało już w Annie nic z owej młodzieńczej wesołości, którą jak cała jej gromadka i mimo swej chorowitości roztacza-

ła w pierwszym roku mego pobytu w Balbec, a która teraz znikła u niej tak szybko. Prawda, że Annie przybyło od tego czasu kilka lat. Ale miałem mimo woli wskrzesić tę wesołość, zanim Anna, która spieszyła się do domu na obiad, pożegnała się ze mną.

— Jest ktoś, kto cię dziś przede mną szalenie chwalił — rzekłem.

Natychmiast promień radości rozświetlił jej oczy: robiła wrażenie, że mnie naprawdę kocha. Unikała mego spojrzenia, ale śmiała się w przestrzeń oczami, które nagle stały się całkiem okrągłe.

— Kto taki? — pytała z naiwnym i łakomym zainteresowaniem.

Wymieniałem osobę: ktokolwiek by to był, Anna czuła się szczęśliwa.

Potem przychodziła godzina rozstania, Anna żegnała się. Albertyna zjawiała się w negliżu, miała na sobie jakiś ładny peniuar krepdeszynowy lub jedną z japońskich sukien, których szczegóły uzyskałem od pani de Guermantes, pewnych zaś dodatkowych wyjaśnień w tej mierze dostarczyła mi pani Swann, w liście zaczynającym się od słów: „Po pańskiej długiej absencji, czytając pański list w przedmiocie moich *tea gown*⁵⁵, miałam wrażenie, że obcuję z duchem...”.

Albertyna miała na nogach czarne trzewiczki wyszywane brylancikami (Franciszka nazywała je zjadliwie „kapcie”), całkiem podobne do tych, które pani de Guermantes nosiła w domu wieczorem: Albertyna zauważyła to przez okno. Podobnie, trochę później, Albertyna miała pantofelki jedne złożone *chevreau*, drugie szynszylowe, a widok ich był mi słodki, bo jedne i drugie były niby znakiem (inne trzewiczki nie miałyby tej wymowy), że ona mieszka u mnie. Miała też rzeczy nie, pochodzące ode mnie, na przykład piękny złoty pierścionek. Podziwiałem na nim rozpostarte skrzydła orle. „To od ciotki — rzekła. — Mimo wszystko ciocia jest czasem dobra dla mnie. To mnie postarza, bo dała mi go z okazji skończonych dwudziestu lat”.

Albertyna miała do wszystkich tych ładnych rzeczy pociąg o wiele żywszy niż księżna. Jak wszelka przeszkoda utrudniająca posiadanie (na przykład dla mnie choroba, która mi czyniła podróże czymś tak trudnym i upragnionym), ubóstwo, hojniejsze w tym od bogactwa, daje kobietom zamiast toalety, której nie mogą sobie sprawić, pragnienie tej toalety, zawierające jej istotną, szczegółową, głęboką znajomość. Oboje — Albertyna, bo nie mogła sobie pozwolić na te rzeczy, ja, bo zamawiając je, starałem się zrobić jej przyjemność — byliśmy niby dwaj studenci znający z góry obrazy, które zamierzają obejrzyć w Dreźnie lub w Wiedniu. Natomiast bogate kobiety pośród mnóstwa swoich kapeluszy i sukien są jak owi zwiedzający, którym spacer po muzeum — niepoprzedzony żadnym pragnieniem — daje jedynie uczucie oszołomienia, zmęczenia i nudy.

Jakiś toczek, płaszcz sobolowy, peniuar od Douceta z różowo podszitymi rękawami jakiejś nabierały ważności dla Albertyny, która je spostrzegła, zapragnęła ich i dzięki wyłączności i ścisłości swego pragnienia zizolowała je ze wszystkimi szczegółami w próżni, na której się cudownie odcinała podszewka lub wstążka. Toż samo, na inny sposób, osiągałem ja, chodząc do pani de Guermantes dla zdobycia wiedzy, na czym polega odrębność, wyższość, szyk danej rzeczy oraz niepodobny do naśladowania fason wielkiego krawca. Owej wagi ani uroku nie miały te rzeczy z pewnością dla księżnej, sytej, zanim jeszcze nabrała apetytu; i nie miałyby ich dla mnie, gdybym oglądał to wszystko kilka lat wprzód, towarzysząc jakiejś elegantce w nudnej wizycie u krawcowej.

Stopniowo Albertyna sama stawała się elegantką. Bo i każda rzecz, którą dla niej zamawiałem, była w swoim rodzaju najładniejsza, ze wszystkimi wyrafinowaniami godnymi księżnej de Guermantes lub pani Swann, i rzeczy tych Albertyna zaczynała mieć dużo. Ale to nie miało wielkiego znaczenia z chwilą, kiedy każdą z nich pokochała z góry i każdą oddzielnie.

Kiedy ktoś podziwiał kolejno to jednego, to znów innego malarza, może w końcu mieć dla całego muzeum podziw gorący, bo złożony z szeregu wyłącznych w swoim czasie miłości, które wreszcie spotkały się i pogodziły z sobą.

Albertyna nie była zresztą bynajmniej pustą lalką; czytała dużo, kiedy była sama, a mnie czytywała głośno, kiedyśmy byli razem. Zrobiła się nadzwyczaj inteligentna. Powiadała, myśląc się zresztą: „Przeraża mnie myśl, że bez ciebie zostałabym głupia. Nie

⁵⁵*tea gown* (ang.) — suknia herbaciana, długa, luźna sukienka, zwykle wykonana z cienkiej tkaniny i wykończona koronką, noszona podczas popołudniowych spotkań przy herbacie, popularna na przełomie XIX i XX wieku. [przypis edytorski]

zaprzeczaj. Otworzyłeś mi świat myśli, którego nie podejrzewałam, i to niewiele, czym się stałam, zawdzięczam tylko tobie”.

Widzieliśmy, że podobnie mówiła niegdyś o moim wpływie na Annę. Czy któraś z nich czuła coś dla mnie? I czym były same w sobie, ta Anna, ta Albertyna? Aby się o tym dowiedzieć, trzeba by was unieruchomić, nie żyć już w tym nieustannym oczekiwaniu was, w którym stajecie się wciąż inne; trzeba by was już nie kochać, aby was utrwalić, trzeba by nie znać już waszego nieskończonego i wciąż zaskakującego zjawiania się, o wy, młode dziewczęta, o wciąż drgający promieniu, w którym drżymy, widząc was zjawiające się raz po raz, zaledwie mogąc was poznać w zawrotnej chyżości światła. Tej chyżości nie znalazłbyśmy może, wszystko wydawałoby się nam nieruchome, gdyby głos płci nie kazał nam biec ku wam, wy, złote krople, wciąż tak odmienne i wciąż przechodzące nasze oczekiwanie! Za każdym razem młoda dziewczyna tak mało podobna jest do poprzedniej siebie (ile że z chwilą gdy ją oglądamy, drze w strzępy naszą pamięć o niej i nasze pragnienie), że ciągłość charakteru, jakiego jej użyczamy, jest jedynie fikcją, dogodniejszą formą mówienia. Powiedziano nam, że jakaś piękna dziewczyna jest tkliwa, kochająca, pełna najdelikatniejszych uczuć. Wyobraźnia nasza wierzy temu na słowo: kiedy ujrzymy tę dziewczynę pierwszy raz w puszystym kręgu blond włosów, z tarczą różowej twarzy, niemal lękamy się, że ta zbyt cnotliwa siostra ostudzi nas samą swoją cnotą, że nigdy nie będzie dla nas kochanką, jakiejśmy pragnęli. Ileż zwierzeń, na wiarę tej szlachetności serca, robimy jej od pierwszej godziny; ile projektów snujemy razem! Ale za kilka dni żalujemy tych wynurzeń, bo różane dziewczę odzywa się za drugim razem jak furia lubieżności. W kolejnych fizjonomiach, jakie po kilkudniowej wibracji ukazuje nam przerywane różowe światło, nie jest nawet pewne, czy jakieś zewnętrzne *movimentum*⁵⁶ nie zmieniło wyglądu tych dziewcząt; i to mogło się być zdarzyć z moimi przyjaciółkami z Balbec.

Sławią nam słodycz, czystość jakiejś dziewicy. Ale potem ów ktoś czuje, że coś ostrego trafłoby nam lepiej do smaku, i radzi jej, aby się okazała śmielsza. Sama w sobie, czy była raczej tą niż tamtą? Może nie, ale była zdolna dostroić się do tyluż rozmaitych możliwości w zawrotnym biegu życia. Z inną, której cały powab mieścił się w czymś nieubłaganym (co spodziewaliśmy się jednak ugiąć), jak na przykład owa groźna skoczka w Balbec, muskająca stopami czaszki przerażonych starszych panów, jakież zawód! W chwili gdy jej mówimy czułości podsypane wspomnieniem tyłu jej brutalności dla innych, oglądamy nagle inną twarz i słyszymy na wstępie zwierzenie, że jest nieśmiała, że ze strachu nie umie się znaleźć z kimś widzianym po raz pierwszy i że dopiero po jakichś dwóch tygodniach mogłaby z nami rozmawiać spokojnie. Stał zmieniła się w bawelnę, nie mamy czego próbować kruszyć, skoro sama z siebie traciła wszelki odpór. Sama z siebie, ale może z naszej winy, bo nasze czułe słowa skierowane do wcielonej Brutalności, podsunęły jej — może bez specjalnego wyrachowania z jej strony — tkliwe akcenty.

To, co nam sprawiło zawód, nie było zresztą tak niezręczne, wdzięczność bowiem za tyle słodyczy miała nas może bardziej zobowiązać niż rozkosz poskromienia zuchwalstwa. Zapewne może przyjsć dzień, w którym nawet tym promiennym dziewczętom przyznamy charaktery bardzo określone, ale to dlatego, że przestaną nas interesować, że ich widok nie będzie już dla naszego serca czymś odmiennym od naszych nadziei, czymś, co zostawi w tym sercu wstrząs wciąż nowego wcielenia. Ciągłość ich będzie wynikiem naszej obojętności, która je powierzy sądowi intelektu. Intelekt zresztą nie wyda o wiele kategoryczniejszego wyroku; uznawszy bowiem, że jakiejś wady, przeważającej u jednej, druga na szczęście nie ma, spostrzeżemy, iż wadę tę przeciwważył jakiś szacowny przymiot. Tak iż z fałszywego sądu inteligencji (wkraczającej dopiero wówczas, kiedy się przestajemy kimś interesować) wyjdą określone i stałe charaktery młodych dziewcząt, mówiące nam nie więcej niż zdumiewające, codziennie oglądane twarze, kiedy w oszalałej chyżości naszego oczekiwania owe dziewczęta ukazywały się co dnia, co tygodnia, zbyt różne od siebie na to, abyśmy mogli — w tym niepowstrzymanym pędzie — klasyfikować i wyznaczać rangi. Co się tyczy naszych uczuć, mówiliśmy aż nazbyt często o nich, aby musieć powtarzać, że miłość bywa często jedynie skojarzeniem obrazu młodej dziewczyny (inaczej stałaby się nam rychło nieznośna) z biciem serca nieodłącznym od nieskończo-

⁵⁶*movimentum* (łac., r.n.) — ruch. [przypis edytorski]

nego, daremnego oczekiwania, gdy panienka „wystawiła nas do wiatru”. Wszystko to jest prawdą nie tylko dla młodych ludzi z przerostem wyobraźni wobec zmiennych młodych dziewcząt.

W tym momencie naszego opowiadania, zdaje się (dowiedziałem się o tym później), że siostrzenica Jupiena zmieniła zdanie o Morelu i o panu de Charlus. Szofer mój, podbijając bębenka jej miłości do Morela, zachwalał bezmiar delikatności skrzypka, w który była aż nazbyt skłonna wierzyć. Z drugiej strony Morel nie przestawał jej malować roli kata, jaką pan de Charlus odgrywał w stosunku do niego, co ona, nie odgadując miłości barona, przypisywała wadom jego charakteru. Musiała zresztą odczuć tyrańską obecność pana de Charlus przy wszystkich ich spotkaniach. A na poparcie tego wszystkiego słyszała, jak panie z towarzystwa mówiły o okrutnej złośliwości barona. Otóż od niedawna poglądy jej przeobraziły się całkowicie. Odkryła u Morela (nie przestając go kochać dlatego) otchłanie złości i perfidii, wyrównane zresztą częstą słodyczą i prawdziwą tklivością; a u pana de Charlus niezaprzeczoną i olbrzymią dobroć, pomieszaną z brutalstwem, którego nie знаła. Tak więc o tym, czym byli naprawdę skrzypki i jego protektor, nie miała jaśniejszego sądu niż ja o Annie, którą wszakże widywałem co dzień, i o Albertynie, która żyła ze mną.

Wieczorem, o ile Albertyna nie czytała głośno, raczyła mnie muzyką, grała ze mną w warcaby lub rozmawiała. Przerzywałem zwykle i warcaby i rozmowę, aby ją całować. Stosunki nasze miały prostotę, która czyniła je wytchnieniem. Sama pustka życia Albertyny rodziła w niej gorliwość i uległość w jedynych rzeczach, jakich od niej żądałem. Za tą dziewczyną — niby za purpurowym światłem, kładącym się u stóp firanek w Balbec, podczas gdy na dworze buchał koncert orkiestry — mieniły się perłowo modre falowania morza. Ona, w której pojęcie mnie żyło tak poufale, że po ciotce byłem może osobą, którą najmniej odróżniała od siebie samej, czy to była w istocie ta dziewczyna, którą ujrzałem pierwszy raz w Balbec, w płaskiej czapeczce, z natarczywymi i roześmianymi oczami, nieznaną jeszcze, dwuwymiarową jak sylweta odcinająca się na fali? Kiedy odnajdziemy takie obrazy przechowane w pamięci, zdumiewamy się ich różnością od istoty, którą znamy; pojmujemy, jaką pracę nad modelowaniem jej wykonuje co dnia przyzwyczajenie. W uroku, jaki Albertyna zachowała w Paryżu, przy moim kominku, żyło jeszcze pragnienie, jakie we mnie obudził zachwyt i kwitnący orszak rozwijający się wzdłuż plaży. Jak Rachel zachowała dla Roberta, nawet kiedy jej kazał opuścić teatr, urok teatru, tak w tej Albertynie, zamkniętej na kształt mniszki w moim domu, z dala od Balbec, skąd ją pospiesznie zabrałem, przetrwało wzruszenie, zamęt klasyfikacji społecznej, niespokojna próżność, wędrowne pragnienia z życia nadmorskich kąpielisk.

Albertyna żyła w zupełnym zamknięciu; czasem nie zapraszałem jej nawet wieczorem do swego pokoju. Ta Albertyna, za którą niegdyś wszyscy gonili, którą tak trudno było mi złapać pomykającą na rowerze, której nawet windziarz nie umiał mi sprowadzić, ledwie zostawiając mi cień nadziei, i na którą mimo to czekałem całą noc, czyż nie była tam, w Balbec, niby wielka artystka płomiennej plaży, wlokąca smugę zazdrości, kiedy się posuwała po tej naturalnej scenie, nie odzywając się do nikogo, potrącając miejscowych bywalców, panując nad przyjaciółkami. I ta upragniona aktorka czyż nie była tą samą, która wydarła przeze mnie scenie, zamknięta u mnie, znajdowała się — zabezpieczona od pragnień ludzkich szukających jej odtąd na próżno — to w moim, to w swoim pokoju, gdzie zabawiła się rysunkiem lub cyzelerstwem.

Bez wątpienia w pierwszych dniach w Balbec zdawało się, że Albertyna porusza się na płaszczyźnie równoległej do tej, na której żyłem, ale zbliżającej się do niej (w ów dzień u Elstira), potem zespolonej z nią, w miarę postępu naszych stosunków w Balbec, w Paryżu, i znowu w Balbec. Cóż za różnica zresztą, te dwa obrazy Balbec — za pierwszym i następnym pobytom — obrazy utworzone z tych samych will, z których wychodziły te same dziewczęta, nad tym samym morzem! W przyjaciółkach Albertyny z drugiego pobytu, tak dobrze mi znanych, o zaletach i wadach tak ostro wyrytych w ich twarzach, czyż mogłem odnaleźć owe świeże i tajemnicze nieznanome, którym niegdyś wystarczało zaskrzywić na piasku furtkę w ogrodzie i musnąć nią drżące tamaryszki, aby przypawić moje serce o drżenie! Wielkie ich oczy zresorbowały się później, z pewnością dlatego że dziewczęta przestały być dziećmi; ale także dlatego że te urocze nieznanome, czarujące aktorki owego romantycznego pierwszego sezonu, co do których nie przestawałem zbierać informacji, nie miały już dla mnie tajemnicy. Stały się posłuszne moim kaprysom, ot,

zwykle świeżo zakwitłe dziewczęta, wśród których czulem się nie na żarty dumny, żem uszczknął i zabrał sobie najpiękniejszą różę.

Między tymi dwiema dekoracjami Balbec, tak różnymi od siebie, było kilka lat paryskich, których ciąg znaczył się tyłoma wizytami Albertyny. Widziałem ją w rozmaitych latach mego życia i w rozmaitym charakterze, co mi pozwalało odczuć piękność dzielących owe lata przestrzeni — długie okresy, w których nie widywałem jej, na których przezroczystej głębi znajdująca się przede mną różowa istota rysowała się z tajemniczymi cieniami i z potężną plastyką. Wynikała ona zresztą ze zsumowania nie tylko kolejnych obrazów wyrażających dla mnie Albertynę, ale także wielkich przymiotów inteligencji i serca, wad charakteru — i tych i tych na równi przeze mnie niepodejrzewanych — jakimi Albertyna, w tym kwitnieniu, mnożeniu samej siebie w mięsistej bujności ciemnych kolorów wzbogaciła swoją naturę, niegdyś prawie nijaką, a teraz trudną do zgłębienia. Bo istoty, nawet te, o których tyle marzyliśmy, że się nam wydają tylko obrazem, jakąś odcinającą się na zielonkawym tle postacią Benozza Gozzoli,⁵⁷ wobec której byliśmy skłonni wierzyć, że wszystkie różnice zależały od punktu, z jakiego patrzyliśmy na nie, od odległości, jaka nas od nich dzieliła, od oświetlenia wreszcie — istoty te, zmieniając się w stosunku do nas, zmieniają się i same w sobie. W twarzy, niegdyś tak po prostu odcinającej się na tle morza, nastąpiło jakby wzbogacenie, okrzepnięcie, przyrost objętości. Zresztą nie tylko przedwieczne morze żyło dla mnie w Albertynie, ale czasem i uspienie morza na brzegu w nocie księżycowe.

Bo czasem, kiedy wstałem, aby iść po książkę do gabinetu ojca, Albertyna mówiła, że chce się przez ten czas wyciągnąć. Była tak zmęczona swoim rannym i popołudniowym spacerem, że nawet gdym opuścił pokój tylko na chwilę, zastawałem ją uspioną: nie budziłem jej. Leżąc jak długa na łóżku, w pozie tak naturalnej, że nikt by jej nie wymyślił, robiła wrażenie długiej kwitnącej lodygi. I tak było w istocie: jak gdyby, śpiąc, stała się rośliną, odnajdywałem w owych chwilach przy niej zdolność marzenia, którą miałem tylko w jej nieobecności. Dzięki temu sen jej ziszczał poniekąd możliwość miłości. Będąc sam, mogłem myśleć o niej, ale brakowało mi jej, nie posiadałem jej. Gdy była obecna, mówiłem do niej, ale byłem zbyt oderwany od samego siebie, aby móc myśleć. Gdy spała, nie potrzebowałem mówić, wiedziałem, że nie patrzy na mnie, nie musiałem już żyć na powierzchni siebie.

Zamykając oczy, tracąc świadomość, Albertyna zrzucała z siebie kolejno cechy swego człowieczeństwa, przynosząc mi tyle zawodów od dnia, gdy ją poznałem. Ożywiało ją już tylko nieświadome życie roślin, drzew, życie bardziej inne od mojego, dziwniejsze, a mimo to bardziej należące do mnie. Jej „ja” nie wymykało się co chwilę — jak wówczas, kiedyśmy rozmawiali — ujściami zatajonej myśli i spojrzenia. Wciągnęła w siebie wszystko, co z niej było zewnątrz; schroniła się, zamknęła, streściła w swoim ciele. Trzymając ją w rękach pod swoim spojrzeniem, miałem wrażenie, że ją posiadam całą; wrażenie, którego nie miałem, kiedy nie spała. Życie jej było mi podległe, wionęło ku mnie lekkim oddechem.

Słuchałem szeptu tej tajemniczej emanacji, którą był jej sen, łagodnej jak wietrzyk morski, czarodziejskiej jak blask księżyca. Póki trwał, mogłem marzyć o niej, a jednak na nią patrzeć; kiedy zaś sen stawał się głębszy, mogłem dotykać jej, całować ją. To, czegom doznawał wówczas, to była miłość w obliczu czegoś tak czystego, tak niematerialnego w odczuwaniu, tak tajemniczego, jak gdybym się znajdował wobec nieożywionych piękności natury. I w istocie, kiedy zasnęła nieco głębiej, przestawała być jedynie rośliną; sen jej, nad którego brzegiem marzyłem ze świeżą rozkoszą, nigdy niezdolny się nią znużyć, mogąc się nią sycić nieskończenie, to był dla mnie cały krajobraz. Sen jej kładł koło mnie coś równie spokojnego, równie zmysłowo rozkosznego, jak owe nocie księżycowe w zatoce Balbec, spokojnej wówczas jak jezioro, kiedy gałęzie ledwie się poruszają, kiedy wyciągnąwszy się na piasku, słuchałoby się bez końca łamiącej się fali.

Wchodząc do pokoju, zatrzymałem się w progu, nie śmiąc zakłócać ciszy; nie słyszałem też innego szmeru prócz oddechu zamierającego na jej wargach w regularnych odstępach, niby odpływ morza, ale bardziej senny i łagodny. I w chwili gdy moje ucho przejmowało ten boski szmer, miałem uczucie, że skupia się w nim cała osoba, całe ży-

⁵⁷ *Gozzoli, Benozzo* (1420–1497) — włoski malarz renesansowy, znany przede wszystkim z trzech malowideł ściennych z orszakiem Trzech Króli w kaplicy Palazzo Medici we Florencji. [przypis edytorski]

cie uroczej branki, spoczywającej tu przede mną. Pojazdy mijaly hałaśliwie ulicę, a czoło Albertyny pozostawało równie gładkie i czyste, oddech równie lekki, ograniczony do najprostszego wydychania koniecznego powietrza. Potem widząc, że nie zmacę jej snu, zbliżałem się ostrożnie, siadałem na krześle obok łóżka, potem na samym łóżku.

Spędzałem urocze wieczory na rozmowie i grach z Albertyną, ale nigdy nie były one równie słodkie jak widok jej snu. Mimo iż gawędząc, grając w karty, miała jakąś naturalność, której żadna aktorka nie umiałaby naśladować, sen jej był dla mnie naturalnością wyższego rzędu. Włosy jej, opadłszy wzdłuż różowej twarzy, rozsypały się na łóżku; czasem jakiś odosobniony i prosty kosmyk dawał ten sam efekt malarski, co owe szczupłe i blade księżycowe drzewa, wznoszące się w głębi rafałowskich obrazów Elstira. O ile wargi Albertyny były zamknięte, w zamian za to z punktu, z którego patrzyłem, powieki jej zdawały się tak nieuszczelne, że mógłbym niemal zadać sobie pytanie, czy ona naprawdę śpi. Ale i tak te spuszczone powieki dawały twarzy ową doskonałą ciągłość, nieprzerwaną oczami. Są istoty, których twarz nabiera niezwyklej piękności i majestatu wówczas, gdy jest pozbawiona spojrzenia.

Mierzyłem oczami Albertynę leżącą przede mną. Chwilami przebiegał ją lekki i niewytłumaczony dreszcz, niby owe liście, którymi wstrząśnie przez chwilę niespodziany wietrzyk. Dotykała swoich włosów, po czym nie trafiwszy widocznie tam, gdzie chciała, sięgała jeszcze do nich ruchami tak celowymi i rozmyślnymi, iż byłem pewien, że się obudzi. Nie; uspokajała się we śnie, który się nie przerwał. Odtąd pozostawała nieruchoma. Złożyła rękę na piersi gestem tak naiwnie dziecięcym, że patrząc na nią, musiałem zdławić uśmiech, o jaki swoją powagą, niewinnością i wdziękiem przyprawiają nas małe dzieci.

Ja, który znałem kilka Albertyn w jednej, miałem wrażenie, że widzę jeszcze ich wiele, wszystkie spoczywające koło mnie. Brwi jej, sklezione jakoś inaczej niż zwykle, okalały gałki powiek niby zaciszne gniazdo alcjona. Rasy, atawizmy, skażenia drzemały w jej twarzy. Ilekroć przesunęła głowę, stwarzała nową kobietę, często niepodejrzewaną przeze mnie. Zdawało mi się, że posiadam nie jedną, ale niezliczone młode dziewczyny. Oddech jej, coraz to głębszy, podnosił teraz regularnie pierś, a na piersi skrzyżowane ręce, perły przesuwane rozmaicie, choć tym samym ruchem, niby owe łodzie, owe cumujące łańcuchy, które potraça fala. Wówczas, czując, że zasnęła całkiem, że nie obiję się o rafy świadomości pokryte teraz pełnym morzem głębokiego snu, śmiało i cicho rzucałem się na łóżko, kładłem się koło niej, obejmowałem ją ramieniem, kładłem wargi na jej twarzy i na jej sercu, dotykałem jej ciała ręką, która została wolna i którą, tak samo jak perły, podnosił oddech Albertyny; ja sam poruszałem się lekko od jej regularnego ruchu: płynąłem na śnie Albertyny.

Czasem dawał mi jej sen kosztować rozkoszy mniej czystej. Nie potrzebowałem na to żadnego ruchu, wyciągałem nogę wzdłuż jej nogi niby wiosło, które się puszcza wolno i które od czasu do czasu wprawia się w lekkie drganie, podobne do przerywanego uderzenia skrzydeł u ptaków śpiących w powietrzu.

Patrząc na nią, wybierałem tę perspektywę jej twarzy, której się nie widywało nigdy, a która była tak piękna. Można ostatecznie pojąć, że listy, które ktoś do nas pisze, są mniej więcej podobne do siebie i rysują obraz na tyle różny od znajomej osoby, że stanowią drugą osobowość. Ale o ileż dziwniejsze jest, aby kobieta była zrośnięta, niby Rosita i Doodica⁵⁸, z drugą kobietą, której odmienna piękność każe wnosić o innym charakterze, i że dla ujżenia jednej trzeba było stanąć z profilu, a dla drugiej *en face*⁵⁹.

Szmer jej oddechu, stając się silniejszy, mógł dać iluzję zdyszenia rozkoszą, i kiedy moja rozkosz dobiegła kresu, mogłem ucałować Albertynę, nie przerwawszy jej snu. Zdawało mi się w tych chwilach, że ją posiadałem pełniej, jak bezświadomą i pozbawioną oporu cząstkę niemej przyrody. Nie troszczyłem się o słowa, jakie się jej czasami wydzieły przez sen, znaczenie ich umykało mi się; jakkolwiek zresztą oznaczałyby nieznaną osobę, na mojej to ręce, na mojej twarzy, ręka jej, niekiedy ożywiona lekkim dreszczem,

⁵⁸Rosita Neik (1888–1903) i Doodica Neik (1888–1902) — bliźniaczki syjamskie z Indii, zrośnięte mostkiem, od 4 roku życia pokazywane w Cyrku Barnuma w Europie i USA, rozdzielone chirurgicznie w 1902. [przypis edytorski]

⁵⁹*en face* (fr.) — twarzą na wprost. [przypis edytorski]

zaciskała się na chwilę. Syciłem się jej snem z miłością bezinteresowną, kojącą, tak jak słuchałem przez godziny całe plusku fali.

Może trzeba, aby jakaś istota zdolna nam była zadać wiele cierpienia, na to, aby w godzinach pauzy dawała nam ten sam kojący spokój, jaki daje natura. Nie potrzebowałem odpowiadać Albertynie, jak wówczas kiedyśmy rozmawiali; a gdybym nawet mógł milczeć, jak czyniłem również, gdy ona mówiła, jednak słuchając jej, nie zstępowałem w nią równie głęboko. Wciąż słysząc, chwytając chwila po chwili, niby ledwie wyczuwalny wietrzyk, kojący szmer jej czystego oddechu, miałem przed sobą, dla siebie całe fizjologiczne istnienie; i byłbym tak trwał, patrząc na nią, słuchając jej, równie długo, jak długo niegdyś leżałem wyciągnięty na plaży, przy blasku księżyca.

Czasami można by rzec, że morze się wzdyma od wichru, że burza daje się czuć aż w zatoce, i zaczynałem jak ona słuchać tego chrapliwego oddechu. Czasem, kiedy Albertynie było zbyt gorąco, zdejmowała, już prawie śpiąc, kimono i rzucała je na fotel. Spała, a ja powiadałem sobie, że wszystkie jej listy znajdują się w kieszonce tego kimona, kładła je tam zawsze. Podpis, ślad umówionej schadzki wystarczyłyby, aby dowieść kłamstwa lub rozproszyc podejrzenie. Kiedy czułem, że Albertyna śpi głęboko, wówczas, oddalając się od łóżka, na którym od dawna oglądałem ją bez ruchu, posuwałem się, zdjęty żarliwą ciekawością; czułem, że sekret jej życia, wiotki i bezbronny na tym fotelu, jest tuż. Może czyniłem to i dlatego, że patrzeć bez ruchu na to, jak ktoś śpi, nuży w końcu. I tak, wciąż odwracając się, aby sprawdzić, czy się Albertyna nie budzi, posuwałem się na palcach aż do fotela. Przystawałem, długo patrzyłem na kimono, jak wprzód na Albertynę. Ale (może to był błąd) nigdy nie ruszyłem kimono, nie sięgnąłem do kieszeni, nie spojrzałem na listy. W końcu widząc, że się nie zdecyduje, wracałem, wciąż na palcach, do łóżka i znów patrzyłem na śpiącą, na tę, która nie powiedziała mi nic, podczas gdy na poręczy fotela widziałem kimono, które może powiedziałyby mi wiele. I tak jak ludzie wynajmują za sto franków dziennie pokój w *Hotél de Balbec*, aby oddychać morskim powietrzem, tak ja uważałem za naturalne wydawać więcej jeszcze na Albertynę, skoro miałem jej oddech tuż koło twarzy, w jej ustach, które rozchylałem moimi, dokąd przez mój język wnikało jej życie.

Ale tej rozkoszy patrzenia jak Albertyna śpi, rozkoszy równie słodkiej jak czuć jej życie, kładła kres inna przyjemność: mianowicie patrzeć jak się budzi. Rozkosz ta streszczała w głębszym i bardziej tajemniczym stopniu przyjemność, że ona mieszka u mnie. Nieraz po południu, kiedy Albertyna wysiadała z powozu, słodko mi było myśleć, że ona wraca do mojego mieszkania. Kiedy z głębin snu przebywała ostatnie stopnie sennych marzeń, było mi jeszcze milej, że to w moim pokoju budzi się do świadomości i życia, że pyta przez chwilę samej siebie: „Gdzie ja jestem?” i że gdy widzi otaczające ją przedmioty, lampę, której blask przyprawia ją o lekkie mruganie, stwierdzając, że się budzi u mnie, może sobie odpowiedzieć, że jest u siebie. W owej pierwszej rozkosznej chwili niepewności, miałem wrażenie, że ją tym pełniej biorę w posiadanie, skoro (zamiast żeby po wyjściu na miasto wracała do swojego pokoju) mój pokój — z chwilą gdy go Albertyna pozna — miał ją objąć, zawrzeć, bez żadnego śladu zmieszania w jej oczach, tak spokojnych, jak gdyby wcale nie spała.

Wahania pierwszych chwil przebudzenia, wyrażające się w milczeniu Albertyny, nie odbijały się w jej spojrzeniu. Z chwilą gdy odzyskiwała mowę, powiadała: „Mój” albo „Drogi mój”, po czym następowało moje imię, co w razie gdybym opowiadającemu dał imię autora tej książki, brzmiałoby „Mój Marcel” albo „Drogi mój Marcel”. Odtąd nie pozwalałem już, aby ktoś w rodzinie, nazywając mnie też „drogim”, odbierał rozkosznym słówkom Albertyny ich jedność. Mówiąc tak, robiła minkę, którą sama z siebie zmieniała w pocałunek. I równie szybko jak niedawno zasnęła, tak szybko też budziła się.

Tak jak moje przemieszczenie w czasie, jak fakt patrzenia na młodą dziewczynę siedzącą koło mnie, przy lampie oświetlającej ją inaczej niż słońce, wówczas gdy się posuwała nad morzem, tak samo ten realny przyrost wartości, samoistny rozwój Albertyny nie stanowiły ważnej przyczyny, różnicy między moim patrzeniem na nią teraz a niegdyś w *Balbec*. Więcej lat mogłoby oddzielić te dwa obrazy, nie sprowadzając równie kompletnej zmiany; owa zmiana — zasadnicza i nagła — powstała w chwili, kiedym się dowiedział, że Albertyna chowała się niemal u przyjaciółki panny *Vinteuil*. O ile niegdyś podniecała mnie tajemnica kryjąca się w oczach Albertyny, obecnie byłem szczęśliwy jedynie

w chwilach, kiedy z tych oczu, nawet z tych policzków wyrazistych jak oczy, dopiero co tak słodkich, ale wnet nachmurzonych, zdołałem wygnać wszelką tajemnicę.

Obrazem, którego szukałem, w którym odpoczywałem, z którym byłbym chciał umrzeć, nie była już Albertyna mająca nieznaną przyszłość, ale Albertyna znana mi tak dobrze, jak tylko możliwe (i dlatego ta miłość nie mogła być trwała, chyba żeby została nieszczęśliwa, zasadniczo bowiem nie zaspokajała potrzeby tajemnicy); Albertyna nieodbijająca dalekiego świata, ale niepragnąca — były chwile, w których w istocie tak się zdawało — niczego innego jak być ze mną, całkiem podobna do mnie, Albertyna stanowiąca obraz tego, co właśnie było moje, nie zaś czegoś nieznanego. Kiedy miłość urodziła się tak z godziny trwogi w stosunku do jakiejś istoty; kiedy się urodziła z niepewności, czy się ją da zatrzymać lub czy się wymknie, wówczas miłość ta nosi znamię wstrząsu, który ją stworzył, i bardzo mało przypomina to, cośmy widzieli dotąd w tej istocie. Moje pierwsze wrażenia wobec Albertyny na brzegu fal mogły po trosze przetrwać w mojej miłości do niej; w rzeczywistości jednak, owe dawniejsze wrażenie zajmują jedynie skąpo miejsca w tego rodzaju miłości; taka miłość w swojej sile, cierpieniu, w swojej potrzebie słodczy i ucieczce ku spokojnemu i kojącemu wspomnieniu, gdzie chciałoby się trwać i niczego już więcej nie dowiedzieć się o ukochanej, nawet gdyby było można dowiedzieć się czegoś wstrętnego — więcej nawet, chciałoby się ufać jedynie owym dawniejszym wrażeniom — taka miłość stworzona jest z całkiem czego innego!

Czasem gasiłem światło, zanim Albertyna weszła. Wówczas, w ciemności, ledwie prowadzona blaskiem żarzącego się polana, kładła się koło mnie. Rozpoznawały ją tylko moje ręce, moje policzki; oczy moje nie widziały jej, te oczy, które często bały się ją ujrzeć odmienioną. Tak iż dzięki temu oślepieniu mojej miłości Albertyna czuła się może bardziej zanurzona w tkliwości niż zazwyczaj. Innym razem rozbierałem się, kładłem, Albertyna siedziała na łóżku i podejmowaliśmy partyjkę lub rozmowę przerywaną pocałunkami. Jedynie pożądanie każe się nam interesować życiem i charakterem danej osoby; w pożądanu zaś pozostajemy wierni własnej naturze, mimo iż porzucając przy tym kolejno rozmaite kochane przez nas osoby. Tak więc kiedy raz, w chwili gdym całowałem Albertynę, nazywając ją swoją dziewczynką, spostrzegłem w lustrze smutny i namiętny wyraz własnej twarzy, podobnej do tej, jaką byłaby niegdyś przy Gilbertcie, o której już nie pamiętałem, podobnej do twarzy, jaką miałbym może kiedyś przy innej kobiecie, gdybym miał kiedy zapomnieć Albertynę, uczułem, że ponad kwestią osoby (instynkt chce, abyśmy uważali „tę obecną” za jedynie prawdziwą) dopełniam w tej chwili rytuału żarliwej i bolesnej dewocji, kultu młodości i piękności Kobiety. A mimo to z tym pragnieniem, składającym swoje *ex voto*⁶⁰ młodości, a także ze wspomnieniami Balbec, mieszało się w tej mojej potrzebie trzymania tak co wieczór Albertyny przy sobie coś, co — o ile nie było całkowicie nowe w moim życiu — było dotychczas obce bodaj mojemu życiu miłosnemu.

Była to moc ukojenia, taka jakiej nie doznałem od odległych wieczorów w Combray, kiedy pochylona nad moim łóżkiem matka przynosiła mi spokój w pocałunku. Z pewnością dziwiłbym się bardzo w owym czasie, gdyby mi powiedziano, że nie jestem całkiem dobry, a zwłaszcza że będę się kiedykolwiek starał pozbać kogoś przyjemności. Widocznie licho znałem wówczas samego siebie, bo przyjemność trwałego posiadania Albertyny u siebie w domu była dla mnie o wiele wątpliwsza niż przyjemność odcięcia jej od świata, gdzie każdy mógł się nią cieszyć z kolei, przyjemność spętania kwitnącej młodej dziewczyny, która jeżeli nie dawała mi wiele szczęścia, pozbawiała go bodaj innych. Ambicja, sława zostawiłyby mnie obojętnym. Jeszcze mniej byłem zdolny odczuwać nienawiść. A jednak, bądź jak bądź, miłość fizyczna była dla mnie tryumfem nad szeregiem współzawodników. Wciąż muszę to podkreślać: to było przede wszystkim ukojenie.

Nic to, że zanim Albertyna wróciła, wątpiłem o niej, wyobrażałem ją sobie w pokoju w Montjouvain; kiedy siadła w peniuarze na wprost mego fotela lub kiedy, najczęściej, wyciągnąłem się na łóżku, składałem moje wątpienia w niej, oddawałem jej ją, aby mnie od nich uwolniła, z poddaniem wierzącego człowieka, który odmawia pacierz. Przez cały wieczór mogła, zwinięta psotnie w kłębek na łóżku, bawić się ze mną niby duża kotka;

⁶⁰*ex voto* (łac.) — jako wotum, tj. jako symboliczny przedmiot, umieszczony w kościele w wyniku uroczystego zobowiązania, w ramach dziękczynienia lub ofiary przebłagalnej. [przypis edytorski]

różowy nosek, który kurczyła jeszcze zalotnym spojrzeniem, filuternym, jak bywa u tłuścioszek, dawał jej mince coś kapryśnego, podnieconego; kiedy strząsnęła pukiel długich czarnych włosów na policzek niby z różowego wosku i kiedy, przymknąwszy oczy, rozkładając ramiona, mówiła spojrzeniem: „Rób ze mną, co zechcesz”; kiedy w chwili gdy miała mnie opuścić, zbliżała się, aby mi rzec dobranoc, całowałem rodziną niemal słodcz tych policzków po obu stronach jej pełnej szyi, która wówczas nigdy nie wydawała mi się dość ciemna ani dość gładka, jak gdyby te materialne przymioty miały u Albertyny związek z lojalnością i dobrocią.

Teraz z kolei Albertyna mówiła mi dobranoc. Całowała mnie z dwóch stron w szyję, przy czym włosy jej pieściły mnie jak skrzydło o ostrych i miękkich piórach. Mimo iż te dwa pocałunki pokoju — matki i Albertyny — były od siebie tak różne, kiedy Albertyna wsuwała język w moje usta — czyniąc mi dar ze swego języka, niby dar Ducha Świętego — dawała mi jakby wiatyk⁶¹, zostawiała mi zapas spokoju, prawie równie słodki, jak kiedy matka kładła wieczorem w Combray wargi na moim czole.

— Czy wybierzesz się z nami jutro, złośniku? — pytała przed rozstaniem.

— Dokąd jedziecie?

— To będzie zależało od pogody i od ciebie. Czy napisałeś bodaj coś dzisiaj, kochanie? Nie? No, w takim razie, czy warto było wyrzekać się spaceru! Powiedz, prawda, kiedy wróciłam, poznałeś moje kroki, domyśliłeś się, że to ja?

— Naturalnie. Czy można by się omylić, czy można by nie poznać, wśród tysiąca, kroków swojej kuropatewki? Niech mi pozwoli rozruc się, zanim się położy, to mi sprawi taką przyjemność. Jesteś taka milusia i taka różowa w tej bieli koronek.

Taka była moja odpowiedź: pośród zwrotów zmysłowych łatwo poznać inne, właściwe matce i babce, bo stopniowo stawałem się podobny do wszystkich krewnych, do ojca, który — wprawdzie na inny sposób, bo jeżeli się pewne rzeczy powtarzają, to z wielkimi odmianami — tak bardzo się interesował pogodą danego dnia; i nie tylko do ojca, ale coraz więcej do cioci Leonii. Inaczej Albertyna mogłaby być dla mnie jedynie racją do spacerów, dla tego aby jej nie puszczać samej, bez kontroli. Z zamarynowaną w dewocji ciocią Leonią nie miałem w swoim mniemaniu ani jednego punktu wspólnego, ja, tak spragniony rozkoszy, diametralnie różny na pozór od tej maniaczki, niezdolnej zaznać żadnej przyjemności i odmawiającej przez cały dzień różaniec; ja, tak gryzący się tym, że nie mogę zostać literatem, podczas gdy ona była jedyną osobą w rodzinie niezdolną jeszcze zrozumieć, że czytać to jest coś innego niż spędzać czas „na zabawie”; dzięki czemu nawet około Wielkiej Nocy lektura była dozwolona w niedzielę, kiedy wszelkie poważne zajęcia jest wzbronione, iżby ten dzień był całkowicie poświęcony modlitwą. Otóż mimo iż co dzień czerpałem racje w specjalnym niedomaganiu, które mnie tak często więziło w łóżku, jakaś istota, nie Albertyna, nie osoba, którą kochałem, ale jakaś istota mająca nadę mną większą władzę od istoty kochanej, przeniosła się we mnie, tak despotyczna, że czasem kazała zmilknąć moim zazdrośnym podejrzeniom lub bodaj wzbraniała mi sprawdzić, w jakim stopniu są usprawiedliwione; a istotą tą była ciocia Leonia. I nie tylko stawałem się przesadnie podobny do ojca, tak dalece, że nie poprzestawałem jak on na sprawdzaniu barometru, ale sam się stawałem żywym barometrem; nie tylko ciocia Leonia zmuszała mnie do obserwowania pogody z pokoju lub nawet z łóżka; oto teraz mówiłem do Albertyny czasem jak dziecko, jakim byłem w Combray, mówiąc do matki, to znów tak, jak mówiła do mnie babka.

Kiedyśmy przekroczyli pewien wiek, dusza dziecka, którym byliśmy niegdyś, i dusza zmarłych, z których się wiemy, rzucają nam garściami swoje bogactwa i swoje złe uroki, pragnąc mieć udział w naszych nowych uczuciach, w które, zacierając dawny obraz, przetapiamy wszystko tamto. I tak cała moja przeszłość od najdawniejszych lat i poprzez owe lata przeszłość rodziców wlewały w moją nieczystą miłość do Albertyny słodcz synowskiej i macierzyńskiej zarazem czułości. Począwszy od pewnej godziny, przeznaczone nam jest przyjmować wszystkich naszych krewnych, przybyłych z tak daleka i skupionych dokoła nas.

⁶¹wiatyk — w chrześcijaństwie (zwł. w katolicyzmie) komunია podawana choremu na łożu śmierci. [przypis edytorski]

Zanim mnie Albertyna usłuchała i pozwoliła mi zdjąć sobie trzewiki, rozchyliłem jej koszulę. Dwie drobne, wysoko osadzone piersi były tak okrągłe, że robiły nie tyle wrażenie integralnej części jej ciała, ile dojrzewających w tym miejscu owoców; a jej brzuch (kryjąc miejsce, które mężczyzną szpeci niby hacel⁶² tkwiący jeszcze w odpakowanym posągu) zamykał się u spojenia ud dwiema bruzdami o krzywiznie łagodnej, kojącej i zacisznej, niby linia horyzontu, gdy słońce znikło.

Zdejmowała buciki i kładła się koło mnie.

O, wzniosłe gesty Mężczyzny i Kobiety, w których to, co Stwórca rozdzielił, sili się połączyć w niewinności pierwszych dni i z pokorą gliny; Ewa zdziwiona i uległa wobec Mężczyzny, przy którego boku się budzi, jak on sam, jeszcze samotny, zdziwiony i uległy był wobec Boga, który go ulepił. Albertyna zaplatała ręce za czarnymi włosami, wyprężając biodro, opuszczając nogę podobną do łabędziej szyi, gdy się wyciąga i wygina. Jedynie kiedy leżała całkiem na boku, widać było pewien profil jej twarzy (tak dobrej i ładnej *en face*); profil, którego nie mogłem znieść, haczykowaty jak na pewnych karykaturach Leonarda, wyrażających jak gdyby złość, chciwość, chytryść szpiega, którego obecność w domu przejęłaby mnie zgrozą, a który demaskował się niejako w tym profilu. Natychmiast ujmowałem twarz Albertyny w dłonie i ustalałem ją *en face*.

— Bądź dobry, przyrzeknij mi, że jeśli nie pojedziesz jutro, będziesz pracował — mówiła, zdejmując koszulę.

— Tak, ale nie kładź jeszcze peniuaru.

Czasami zasypiałem w końcu koło niej. Pokój wyziął, trzeba było drzewa. Próbowaliśmy znaleźć dzwonek za plecami, nie mogłem znaleźć, obmacywałem wszystkie pręty mosiężne, między którymi nie było dzwonka, i mówiłem do Albertyny, która wyskakiwała, nie chcąc, żeby Franciszka widziała nas razem w łóżku:

— Nie, wróć jeszcze trochę, nie mogę znaleźć dzwonka.

Słodkie, wesołe, niewinne na pozór chwile, w których gromadzi się jednak niepodejrzewana w nas możliwość nieszczęścia, co sprawia, iż życie miłosne najwięcej mieści kontrastów; nieprzewidywany deszcz siarki i smoły spada w nim po najpogodniejszych momentach, po czym, niezdolni wyciągnąć nauki z nieszczęścia, wnet odbudowujemy się na stokach krateru, z którego może wyjść jedynie katastrofa. Miałem bez troskę ludzi, co wierzą w trwałość swojego szczęścia. Ta słodycz potrzebna jest, aby zrodzić cierpienie; i wróci zresztą, aby koić je od czasu do czasu. I dlatego człowiek może być szczery z drugimi, nawet z samym sobą, kiedy się szczyci miłością danej kobiety, mimo że, razem wzięwszy, w ich stosunku stale krąży bolesny niepokój — krąży tajemnie, niewyznany nikomu lub zdradzony mimo woli pytaniami, śledztwem, bolesnym niepokojem. Że jednak niepokój ten nie mógłby się zrodzić bez uprzedniej słodyczy, że nawet potem chwilowa słodycz potrzebna jest, aby pozwolić znieść mękę i zapobiec zerwaniu, skrywanie tajemnego piekła, jakim jest pożycie z tą kobietą, komedia posuwająca się aż do popisu rzekomą harmonią, zawierają coś prawdy, pewien związek między przyczyną a skutkiem, jeden z warunków umożliwiających produkcję cierpienia.

Nie dziwiłem się już, że Albertyna jest tutaj i że ma jutro wyjść jedynie ze mną lub pod opieką Anny. Te nawyki wspólnego życia, te wielkie linie ograniczające moją egzystencję, nieprzebyte dla nikogo poza Albertyną, a także (w przyszłym, nieznanym mi jeszcze planie mego późniejszego życia, niby wykreślony przez architekta plan budowli, które powstaną dopiero znacznie później) dalekie, równoległe do nich i obszerniejsze linie szkicujące we mnie, niby samotną pustynię, sztywną i monotonną nieco formułę moich przyszłych miłości — to wszystko wykreśliła w istocie owa noc w Balbec, kiedy w kolejce, skoro mi Albertyna wyznała, kto ją wychował, zapragnąłem ją za wszelką cenę uchronić od pewnych wpływów i nie puszczać jej od siebie przez kilka dni. Dni następowały po dniach, przyzwyczajenia te stały się machinalne; ale na podobieństwo owych obrzędów, których sens próbuje odczytać historia, komuś, kto by mnie spytał, co znaczy to odludne życie, w którym zamykałem się do tego stopnia, żem przestał chodzić nawet do teatru, mógłbym (a nie chciałbym) powiedzieć, że zrodziło się ono z trwogi jednego wieczoru i z potrzeby dowiedzenia samemu sobie (w dniach, które nastąpiły po owym wieczorze), że ta, której

⁶²*hacel* — hak wkręcany w tylną część podkowy, by zapobiec ślizganiu się konia; tu ogólnie: hak. [przypis edytorski]

opłakane dzieciństwo poznałem, nie miałyby możliwości narażenia się na dawne pokusy — w razie gdyby chciała to uczynić. Dość rzadko już myślałem o tych możliwościach; mimo to musiały one wciąż żyć mglisto w mojej świadomości. Fakt niszczenia ich dzień po dniu lub próby w tej mierze stały się z pewnością przyczyną, czemu lubił całować te policzki, nie piękniejsze od wielu innych; pod wszelką głębszą nieco fizyczną rozkoszą istnieje ciągle niebezpieczeństwo.

*

Przyrzekłem Albertynie, że o ile z nią się nie wybiorę, wezmę się do pracy. Ale naza-jutrz, jak gdyby korzystając z naszego snu, dom w cudowny sposób odbył podróż, budzi-łem się w odmienną pogodę w innym klimacie. Nie sposób pracować, w chwili gdy się łąduje w nowym kraju, do którego warunków trzeba się dostosować. Otóż każdy dzień był dla mnie odmiennym krajem. Jakimż cudem poznałbym nawet swoje lenistwo w jego wciąż nowych formach?

Czasami w dni beznadziejnie słotne (jak twierdzono) już samo siedzenie w domu, zanurzonym w równym i ciągłym deszczu, posiadało gładką słodycz, kojącą ciszę, urok morskiej podróży; innym razem, w pogodny dzień, leżąc nieruchomo w łóżku, pozwala-łem się kręcić ceniom dokoła siebie niby dokoła pnia drzewa.

Kiedy indziej znów, przy pierwszych dzwonach bliskiego klasztoru, nielicznych jak poranne dewotki, poznawałem jeden z owych burzliwych, nerwowych i słodkich dni, ledwie bielących ciemne niebo mokrym szronem, roztopianym i rozpraszanym przez ciepły wiatr, kiedy dachy zwilżone ulewą, którą suszy podmuch wiatru lub promień słońca, z gruchaniem pozwalają ściekać kroplom deszczu i czekając, aż wiatr znów się zerwie, gładzą swoje dachówki mieniące się w błysku słońca jak gardziolko gołębia; jeden z dni wypełnionych tyloma odmianami pogody, powietrznych zdarzeń, burz, dni niestraconych dla leniucha ożywionego energią, jaką za niego, poniekąd w jego zastępstwie, rozwinęła atmosfera; dni podobne dniom rozruchów lub wojny, które nie wydają się puste ucznia-kowi wymykającemu się z klasy, ponieważ wałęsając się koło Pałacu Sprawiedliwości⁶³ lub czytając dzienniki, ma złudzenie, że w wydarzeniach, które się działy, w miejsce zadań, których nie odrobił, znalazł korzyść dla swojej inteligencji i wymówkę dla próżniactwa; dni dające się porównać z tymi, w których się spełnia w naszym życiu jakiś wyjątkowy przełom, dając komuś, kto nigdy nic nie robił, złudzenie, że jeżeli się skończy szczęśli-wie, zaszczerpi w nim skłonność do pracy. Na przykład rano, kiedy człowiek wychodzi z domu na pojedynek o szczególnie niebezpiecznych warunkach; wówczas, w chwili gdy może stracić życie, objawia mu się nagle cena życia, z którego mógł być skorzystać, aby podjąć jakieś dzieło lub bodaj kosztować przyjemności, a z którego nie umiał wydobyć nic. „Gdybym nie zginął — powiada sobie — jakżebym się zaraz zabrał do pracy! I jak-by się bawił!”. Życie nabrało nagle w jego oczach większej wartości, ponieważ wkłada w nie wszystko, co mu się zdaje, że ono może dać, a nie to niewiele, które ma z niego za-zwyczaj. Widzi je wedle swoich pragnień, nie zaś takim, jakim — wie to z doświadczenia — umie je uczynić, to znaczy tak miernym! Życie to wypełniło się w jednej chwili pra-cami, podróżami, wycieczkami w góry, wszystkimi pięknymi rzeczami, które (powiada sobie) nieszczęśliwy wynik pojedynku może unicestwić; podczas gdy, zanim jeszcze była mowa o pojedynku, wszystko unicestwiały jego złe nawyki, które nawet bez pojedynku trwałyby nadal. Wraca do domu, nawet nie ranny, ale odnajduje te same przeszkody dla przyjemności, dla wycieczek, podróży, dla wszystkiego tego, z czego wiekuistym wuzu-ciem groziła mu przez chwilę śmierć: wystarcza na to życie. Co się tyczy pracy, daje sobie urlop, ile że wyjątkowe okoliczności podsycają w człowieku to, co w nim już istniało: w pracowitym pracę, a w próżniaku lenistwo.

Robiłem tak jak ów człowiek i tak, jak zawsze robiłem od czasu dawnych postano-wień, żeby się wziąć do pisania. Postanowienie to powziąłem niegdyś, ale zdawało mi się nie dawniejsze niż wczoraj, bo każdy z kolei dzień stawał się dla mnie niebyły. Tak samo poczytałem sobie i z tym dniem, pozwalając beczynnemu mijać jego ulewom i przebły-skom pogody, obiecując sobie pracować jutro. Ale stawałem się inny pod niebem bez

⁶³Pałac Sprawiedliwości — zespół budynków na paryskiej wyspie Île de la Cité, stanowiący siedzibę najważ-niejszych organów wymiaru sprawiedliwości we Francji. [przypis edytorski]

chmurki; złożony dźwięk dzwonów zawierał nie tylko — jak miód — światło, ale wrazenie światła, a także mdły smak konfitur (ponieważ w Combray wałęsał się często jak osa po sprzątniętym stole). W taki słoneczny dzień lenić się z zamkniętymi oczami to była rzecz dozwolona, praktykowana, zbawienna, miła, właściwa tak jak zamknąć żaluzje od upału.

W taki to czas w początkach drugiego pobytu w Balbec usłyszałem smyczki orkiestry pośród sinych fal przypywu. O ileż więcej posiadałem Albertynę dziś! Były dni, kiedy dzwon bijący godzinę miał na kręgu swojej dźwięczności tarczę tak świeżą, tak mocno nasyconą wilgocią lub światłem, że stawała się jak gdyby transpozycją dla ślepych, lub jeśli kto woli, muzycznym przekładem uroków deszczu lub czaru słońca. Tak iż w tej chwili, leżąc z zamkniętymi oczami w łóżku, powiadałem sobie, że wszystko da się przetransponować i że wszechświat jedynie słyszalny mógłby być równie urozmaicony. Płynąc leniwo z powrotem od dnia do dnia, niby na łodzi, i widząc jawiące się przede mną wciąż nowe zaczarowane wspomnienia, niewybrane przeze mnie, niewidzialne na chwilę przedtem i ukazywane mi przez pamięć kolejno, bez możliwości wyboru, ciągnąłem leniwo po tych równych przestrzeniach przechadzkę w słońcu.

Te ранne koncerty w Balbec nie były zbyt dawne. A jednak w owej bliskiej stosunkowo chwili niewiele dbałem o Albertynę. W pierwszych dniach po przybyciu nie wiedziałem nawet o jej obecności w Balbec. Kto to mi o tym powiedział? A, prawda, Aimé. Było piękne słońce, jak dziś. Był rad, że mnie widzi. Ale nie lubił Albertyny. Wszyscy nie mogą jej lubić. Tak, to Aimé oznajmił mi, że ona jest w Balbec. Skąd on to wiedział? A, spotkał ją, wydała mu się w wątpliwym guście. W tej chwili, ujmując opowiadanie Aimégo z innej strony, niż to było w jego intencjach, myśl moja, dotąd żeglująca z uśmiechem po tych błogosławionych wodach, pękła nagle, jak gdyby się natknęła na niewidzialną, a niebezpieczną minę, zdradliwie założoną w tym punkcie mojej pamięci. Aimé oznajmił mi, że ją spotkał, że mu się wydała w wątpliwym guście. Co on chciał powiedzieć przez ten „wątpliwym gust”? Zrozumiałem „gust pospolity”, gdyż aby temu zaprzeczyć, oświadczyłem z punktu, że Albertyna jest dystygnowana. Ale może on chciał powiedzieć „w guście gomorejskim”? Była z przyjaciółką; może się obejmowały, może się przyglądały innym kobietom, może miały w istocie wzięcie⁶⁴, którego nigdy nie miała wprzód Albertyna w mojej obecności. Kto to była ta przyjaciółka, gdzie spotkał Aimé tę wstrętną Albertynę?

Starałem się przypomnieć sobie ściśle to, co mi Aimé powiedział, sprawdzić, czy się to może odnosić do tego, com sobie wyobrażał, lub czy on miał na myśli jedynie pospolitość manier. Ale daremnie zastanawiałem się nad tym: osoba zadająca sobie pytanie i osoba zdolna dostarczyć wspomnień były niestety tylko jedną i tą samą osobą, mną; rozdawałem się chwilowo, ale niczym nie pomnażając siebie. Pytałem, ale odpowiadałem sam, nie dowiedziałem się niczego więcej. Nie myślałem już o pannie Vinteuil. Zrodzony z nowego podejrzenia, mój atak zazdrości był również nowy lub raczej był tylko przedłużeniem, rozszerzeniem tego podejrzenia; sceną jego nie było już Montjouvain, ale droga, gdzie Aimé spotkał Albertynę, a przedmiotem kilka przyjaciółek, z których jedna mogła towarzyszyć owego dnia Albertynie. Może niejaka Elżbieta, a może raczej owe dwie młode dziewczyny, którym Albertyna przyglądała się w lustrze w kasynie, nie zdradzając się z tym, że je widzi. Utrzymywała może stosunki z nimi, a także z Esterą, kuzynką Blocha. Gdyby mi takie stosunki zdradził ktoś trzeci, wystarczyłyby niemal, aby mnie zabić; ale ponieważ to ja sam wyobrażałem je sobie, bezwiednie przydałem im tyle niepewności, ile było trzeba dla stępienia bólu.

Pod postacią podejrzeń dochodzi człowiek do codziennego wchłaniania olbrzymich dawek myśli, że jest zdradzany; słaba jej dawka mogłaby być śmiertelna, gdyby ją w nas wprowadził zastrzyk morderczego słowa. Oto przejaw instynktu samozachowawczego: zazdrośnik nie waha się powziąć okrutnych podejrzeń z powodu niewinnych faktów, ale w obliczu pierwszego dowodu, jakiego mu ktoś dostarczy, nie podda się oczywistości. Zresztą miłość jest chorobą nieuleczalną, jak owe skazy, w których reumatyzm folguje jedynie po to, aby ustąpić miejsca migrenom epileptoidalnym⁶⁵. Kiedy moje zazdrosne podejrzenia się uspokoiły, miałem żal do Albertyny, że nie była serdeczna, że może sobie

⁶⁴wzięcie (daw.) — sposób zachowania. [przypis edytorski]

⁶⁵epileptoidalny — typowy dla epileptoidii, zaburzenia cechującego się zmianami temperamentu i charakteru spotykanymi u części chorych na padaczkę (epilepsję). [przypis edytorski]

drwiła ze mnie z Anną. Myślałem ze zgrozą o tym, co ona musi myśleć o mnie, jeśli jej Anna powtórzyła wszystkie nasze rozmowy; przyszłość przedstawiała mi się strasznie. Smutki te opuszczały mnie jedynie wówczas, gdy nowe podejrzenie wtrąciło mnie w inne domysły lub gdy, przeciwnie, czułość Albertyny odebrała wartość memu szczęściu. Co to mogła być za młoda dziewczyna? Muszę napisać do Aimégo, postarać się z nim zobaczyć; a potem sprawdzilibym jego zeznania w rozmowie z Albertyną, wyciągając ją na słówka. Na razie, przekonany, że to musiała być kuzynka Blocha, poprosiłem Blocha (nierozumiejącego zgoła w jakim celu), żeby mi bodaj pokazał jej fotografię lub mnie ewentualnie z nią zetknął.

Ileż osób, miast, dróg pragniemy w ten sposób poznać pod wpływem zazdrości? Zazdrość jest żądzą wiedzy, dzięki której zdobywamy w końcu wszystkie możliwe wiadomości co do poszczególnych punktów, z wyjątkiem tych, których byśmy pragnęli. Nie wiadomo nigdy, czy się nie zrodzi podejrzenie, bo nagle przypominamy sobie jakieś niejasne zdanie, alibi stworzone może nie bez intencji. Prawda, od tego czasu nie widzieliśmy danej osoby, ale istnieje zazdrość wsteczna, zbudzona dopiero po rozstaniu się, „*jalousie de l'escalier*”. Przyzwyczailem się kryć w sobie niektóre pożądanía, pożądanía młodej panny z towarzystwa (w rodzaju tych, które widziałem z okna przechodzące z guwernantką), a osobliwie tej z domu schadzek, o której wspominał Saint-Loup; pragnienie pięknych pokojówek, w szczególności pokojówki pani Putbus; pragnienie wsi z początkiem wiosny, żądzą oglądania głogów, kwitnących jabłoni, burz; pragnienie Wenecji, pragnienie wzięcia się do pracy, pragnienie życia takiego jak wszyscy; może ten nawyk przechowywania w sobie wszystkich tych niezaspokojonych pragnień — przy czym poprzestawałem na obietnicy czynionej samemu sobie, że nie zapomnę zaspokoić ich kiedyś — może ów tyloletni nawyk tego, co pan de Charlus piętnował mianem prokrastynacji — „dojutrowania” — stał się we mnie tak uniwersalny, że rozciągał się i ma moją zazdrość? Notując w myśli, że nie omieszkać kiedyś rozmówić się z Albertyną w sprawie młodej dziewczyny — może młodych dziewczyn (ta część opowiadania była w mojej pamięci mętna, zamazana, można rzec, nie do przebycia) — z którą (lub z którymi) Aimé ją spotkał, odwlekałem te wyjaśnienia. W każdym razie nie mówiłbym o tym z Albertyną tego wieczora, aby się nie narażać na to, że się zdradzę ze swoją zazdrością i że ją pogniewam.

Jednakże kiedy nazajutrz Bloch przysłał mi fotografię swojej kuzynki Estery, czym prędzej przesłałem ją Aimému. I równocześnie przypomniałem sobie, że Albertyna odmówiła mi rano przyjemności, która mogłaby ją w istocie zmęczyć. Czyżby dlatego, żeby zachować tę przyjemność dla kogo innego? Po południu może? Dla kogo?

W ten sposób zazdrość jest nieskończona. Nawet jeśli ukochana istota (kiedy umrze, na przykład) nie może już jej wywoływać uczynkami, wspomnienia późniejsze od wszelkich wydarzeń mogą się nagle stać w naszej pamięci również wydarzeniami; wspomnienia, których nie oświetliliśmy dotąd, które się nam zdawały nieznaczące, a którym wystarczy nasze zastanowienie się nad nimi, bez żadnego faktu z zewnątrz, aby nabrały nowego i strasznego znaczenia. Nie potrzeba być we dwoje, wystarczy być samemu w pokoju i myśleć, aby zaszły nowe fakty zdrad kochanki, choćby ona sama umarła. Toteż w miłości, nie tak jak w zwyczajnym życiu, trzeba się bać nie tylko przyszłości, ale nawet przeszłości, która często realizuje się dla nas aż po przyszłości; a nie mówię tu jedynie o przeszłości, której się dowiadujemy po czasie, ale o tej, którą przechowujemy w sobie od dawna i w której nagle nauczymy się czytać.

Ale i tak pod wieczór czułem się bardzo szczęśliwy, że się zbliża godzina, kiedy będę mógł od obecności Albertyny zażądać potrzebnego mi ukojenia. Na nieszczęście wieczór, który nadszedł, był jednym z tych, kiedy to ukojenie nie było mi dane; kiedy pocałunek Albertyny na rozstanie, bardzo odmienny od jej zwykłego pocałunku, nie uspokoiłby mnie, tak samo jak pocałunek matki w dni, kiedy się gniewała i kiedy nie śmiałem jej wolać, czując jednak, że nie zdołałem zasnąć. To były teraz te wieczory, kiedy Albertyna ułożyła na jutro jakiś projekt w sekrecie przede mną. Gdyby mi była zwierzyła ów projekt, pomógłbym jej w jego ziszczeniu z zapalem, jakim nikt prócz Albertyny nie zdołałby mnie natchnąć. Ale nie mówiła nic i nie potrzebowała zresztą nic mówić; z chwilą gdy weszła, jeszcze w drzwiach mego pokoju, kiedym ją ujrzał w kapeluszu lub toczku na głowie, widziałam już nieznane, uparte, zaciekle, niezwalczone pragnienie. I były to często

wieczory, kiedy oczekiwałem jej powrotu z najtkliwszymi myślami, kiedy chciałem się jej rzucić na szyję z największą czułością.

Niestety, nieporozumienia, jakie często miewałem z rodzicami, gdy trafiałem na ich chłód lub gniew, w chwili gdy podbiegałem do nich, dławiąc się czułością, niczym są w porównaniu z rozdźwiękiem między kochankami! Cierpienie jest tu o wiele mniej powierzchowne, o wiele trudniejsze do zniesienia, tkwi w o wiele głębszej warstwie serca.

Tego wieczora Albertyna musiała mi jednak wspomnieć o swoim projekcie. Zrozumiałem natychmiast, że się wybiera jutro do pani Verdurin. W zasadzie nie miałbym nic przeciw tej wizycie. Ale z pewnością chciała tam iść po to, aby kogoś spotkać, aby ukartować jakąś przyjemność. Inaczej nie zależałoby jej tak na tej wizycie, czyli nie byłaby powtarzała, że jej na tym nie zależy. Posuwałem się w swojej egzystencji drogą odwrotną do drogi ludów dochodzących do pisma fonetycznego dopiero po przebyciu fazy liter jako szeregu symboli; ja, który tyle lat szukałem prawdziwego życia i myśli ludzi jedynie w tym, co mi po prostu i dobrowolnie mówili, z ich winy doszedłem do tego, że przywiązywałem już wagę jedynie do świadectw niebędących racjonalnym i analitycznym wyrazem prawdy; słowa nawet miały dla mnie znaczenie jedynie o tyle, o ile je sobie tłumaczył tak jak na przykład rumieniec zmieszanej osoby lub nagłe milczenie.

Jakiś przysłówek użyty na przykład przez pana de Cambremer, kiedy sądził, że jestem „pisarzem” i kiedy nie rzekłszy jeszcze nic, opowiadając o swojej wizycie u Verdurinów, obrócił się do mnie, mówiąc: „Był tam właśnie de Borelli”, przysłówek wynikły z mimowolnego, czasem ryzykownego zbliżenia dwóch myśli, niewyrażonych przez interlokutora, z którego to zbliżenia mogłem dzięki jakiejś metodzie analizy lub elektrolizy, wydobyć te myśli — taki przysłówek powiadał mi więcej niż cała rozprawa.

Albertynie zdarzało się czasem w jej odezvaniach się uronić jakiś szacowny amalgamat⁶⁶, który czym prędzej starałem się poddać działaniu odczynników, aby go przeobrazić w jasną myśl. To jest zresztą jedna z najokropniejszych rzeczy dla zakochanego, że o ile poszczególne fakty są trudne do odkrycia (dałoby się je odkryć wśród tylu możliwości jedynie doświadczeniem, szpiegowaniem), w zamian za to prawdę jest tak łatwo przeniknąć lub bodaj przeczuć.

Często widziałem w Balbec Albertynę, jak wpija w przechodzące młode dziewczyny nagle i długie spojrzenie mające coś z dotyku, po czym, o ile znałem te dziewczęta, mówiła: „Gdyby je ściągnąć? Z przyjemnością nagadałabym im impertynencji”. A od jakiegoś czasu (z pewnością od czasu, gdy mnie przeniknęła) — nic; żadnej propozycji zaproszenia kogoś, żadnego słowa, nawet żadnego umykania spojrzeń, które się stały bezprzedmiotowe, milczące i w swoim roztargnieniu i obojętności równie rewelacyjne, jak niegdyś była ich magnetyczność. Otóż niepodobna mi było robić Albertynie wymówek lub zadawać jej pytań z powodu jakichś drobiazgów tak błahych, tak nieznaczących, zauważonych przeze mnie chyba dla przyjemności „rozszczepiania włosa na czworo”. Dość już trudno jest powiedzieć: „Czemuś spojrzała na tę kobietę?”, ale o wiele trudniej: „czemu na nią nie spojrzałaś?”. A jednak wiedziałem lub bodaj byłbym wiedział czemu, gdybym nie wołał wierzyć raczej twierdzeniom Albertyny niż wszystkim owym „nic” zawartym w jej spojrzeniu, dowiedzionym przez to spojrzenie i przez jakąś sprzeczność jej słów, sprzeczność, którą często spostrzegałem doiero po dłuższym czasie po rozstaniu się z nią, sprzeczność, która mnie dręczyła całą noc, o której nie śmiałem już mówić, ale która niemniej zaszczycała moją pamięć periodycznymi wizytami.

Często z powodu tych przelotnych lub ukradkowych spojrzeń na plaży w Balbec lub na ulicy w Paryżu mogłem rozważać, czy osoba, która je wywołuje, jest tylko doraźnym celem pożądania? Może to dawna znajoma lub ktoś, kogo Albertyna zna tylko ze słyszenia. I kiedyś się o tym dowiedział, zdumiony byłem, że słyszała o niej, tak bardzo osoba ta znajdowała się poza kręgiem „możliwych” znajomości Albertyny. Ale nowoczesna Gomora to są puzzle złożone z kawałków najniespodzianego pochodzenia. I tak widziałem raz w Rivebelle wielki obiad, którego co najmniej dziesięć uczestniczek znałem przypadkowo z nazwiska; uczestniczek możliwie najróżnorodniejszych, ale wybornie zharmonizowanych, tak że nie widziałem obiadu równie jednolitego, mimo iż tak mieszane.

⁶⁶amalgamat — stop metalu z rtęcią; przelen. mieszanina. [przypis edytorski]

Aby wrócić do owych spacerujących, faktem jest, że nigdy Albertyna nie patrzyła na żadną wiekową damę ani na starca wzrokiem tak martwym, tak obojętnym, jak na te młode osoby: wręcz jakby nie widziała. Oszukani mężowie, którzy nie wiedzą nic, i tak wiedzą wszystko. Ale aby wszcząć scenę zazdrości, trzeba konkretniejszych dowodów. Zresztą, jeżeli zazdrość pomaga nam odkryć u kochanki niejaką skłonność do kłamstwa, zazdrość nasza zestokrotnia tę skłonność, o ile kobieta odkryła, że jesteśmy zazdrośni. Kłamie (w stopniu, w jakim nigdy nie kłamała przedtem) z litości lub ze strachu lub wymyka się instynktownie za pomocą symetrycznej ucieczki naszemu śledztwu. Z pewnością istnieją stosunki, w których kobieta lekka narzuciła od początku oczom zakochanego mężczyzny wiarę w swoją cnotę. Ale jakże często stosunek miłosny zawiera dwa okresy stanowiące doskonały kontrast. W pierwszym kobieta mówi prawie swobodnie, jedynie z pewnymi złagodzeniami, o swoich zmysłach, o życiu, do jakiego ją popchnęły, aby później przeczyć wszystkiemu temu z całą energią wobec tego samego człowieka, z chwilą gdy uczuła, że jest o nią zazdrosny i że ją śledzi. Mężczyzna żałuje wręcz niekiedy czasów owych pierwszych zwierzeń, mimo że ich wspomnienie go dręczy. Gdyby kobieta jeszcze mu się tak zwierzała, sama niemal zdradziłaby przed nim tajemnicę błędów, za którą on się upędza co dnia nadaremnie. I jakiejż szczerości byłoby to dowodem, jakiej ufności, przyjaźni! Jeżeli nie może go nie zdradzać, zdradzałaby go bodaj po przyjacielsku, zwierając mu swoje rozkosze, dzieląc się nimi. I mężczyzna żałuje takiego życia, które początek ich miłości zdawał się szkicować, które dalszy ciąg uniemożliwił, czyniąc z tej miłości coś okrutnie bolesnego, coś co uczyni zerwanie — rozmaicie — albo nieuniknionym, albo niemożliwym.

Czasami pismo, w którym odcyfrowywałem kłamstwa Albertyny, nie będąc niczym ideograficznym, wymagało jedynie tego, aby je czytać na wspak. W ten sposób owego wieczora rzuciła mi niedbale słowa przeznaczone na to, aby przeszły prawie niepostrzeżone: „Możliwe jest, że jutro zajdę do Verdurinów; ale wcale nie jestem pewna, nie mam zbytnej ochoty”. Był to naiwny anagram tego wyznania: „Pójdę jutro do Verdurinów, pójdę niezawodnie, bo mi bardzo na tym zależy”. Ten pozór wahania oznaczał zdecydowaną wolę i miał na celu zmniejszyć wagę wizyty przy równoczesnym oznajmieniu mi o niej. Albertyna używała zawsze tonu powątpiewania dla nieodwołalnych postanowień. Moja decyzja była nie mniej stanowcza: postarałem się, aby wizyta u Verdurinów nie doszła do skutku. Zazdrość bywa często jedynie niespokojną potrzebą tyranii zastosowaną do spraw miłości. Odziedziczyłem zapewne po ojcu tę nagłą tyrańską ochotę dosięgania najdroższych mi istot w nadziejach, których kruchości chciałem im dowieść; kiedym widział, że Albertyna skombinowała bez mojej wiedzy, w sekrecie, rozrywkę, którą byłbym jej ułatwił i umilił z całego serca, gdyby mi się z nią zwierzyła, oświadczyłem niedbale, dla pogębienia jej, że zamierzam gdzieś się z nią wybrać tego właśnie dnia.

Zacząłem podsuwać Albertynie jakieś spaceru, które by uniemożliwiły wizytę u Verdurinów; czyniłem to z udaną obojętnością, pod którą starałem się ukryć moje zdenerwowanie. Ale ona wyczuła je. Spotykało się u Albertyny z elektryczną siłą przeciwnej woli, która odpychała je żywo; widziałem iskry tryskające z jej oczu. Zresztą po co mówić o tym, co wyrażały w tej chwili jej źrenice? Jak mogłem nie zauważyć od dawna, że oczy Albertyny są z rodziny tych, które nawet u przeciętnej istoty zdają się sporządzone z wielu kawałków, z powodu wszystkich miejsc, w których ta istota chce się znaleźć danego dnia i ukryć, że się chce tam znaleźć. Oczy, na skutek kłamstwa wciąż nieruchome i bierne, ale dynamiczne, wymierne ilością metrów lub kilometrów koniecznych do przebycia, aby się znaleźć na pożądaną, nieubłaganie pożądaną schadzce; oczy mniej jeszcze uśmiechające się do wabiącej je rozkoszy, ile przelśnione smutkiem i zniechęceniem, że wyłoni się może jakaś przeszkoda. Nawet będąc w naszych rękach, istoty te są nieujęte. Aby zrozumieć wzruszenia, które nam dają, a których nie dają inne, nawet piękniejsze, trzeba brać w rachubę, że one nie są nieruchome, ale w ruchu, i trzeba dodać do ich osoby znak oznaczający w fizyce szybkość. Jeżeli zamącisz ich program, wyznają ci rozrywkę, którą przed tobą tały. „Tak chciałam być na podwieczorku u kogoś, kogo bardzo lubię”. Otóż jeżeli po pół roku zdołasz poznać ową osobę, dowiesz się, że nigdy twoja przyjaciółka, której projekty niegdyś zmaciłeś, która zaskoczona, chcąc uzyskać swobodę ruchu, przyznała ci się, że co dzień w porze, w którejś jej nie widywał, wyprawiają sobie z tą ulubioną osobą podwieczorek we dwójkę, dowiesz się, że w istocie nigdy u niej nie była i że mówiła jej,

iz jest bardzo zaakaparowana⁶⁷ — przez ciebie. Tak więc, osoba, u której niby to, jak się przyznała sama, bywała na podwieczorku — i błagała cię, żebyś jej pozwolił iść do niej — ta osoba, ten powód wyznany z musu, to była nie ta, to była inna, to było jeszcze coś innego! Coś innego, ale co? Inna, ale kto?

Niestety, te cząstkowe oczy, biegnące w dal i smutne, pozwoliłyby może zmierzyć odległość, ale nie wskazują kierunku. Rozpościera się nieskończone pole możliwości, a gdyby przypadkowo zjawiała się przed nami istotna rzeczywistość, byłaby czymś tak poza wszelkimi możliwościami, że padlibyśmy na wznak, oszołomieni, uderzając głową o wyrastającą ścianę. Nie jest nawet konieczne stwierdzenie ruchu i ucieczki, wystarczy, że je wywnioskujemy. Przyrzekła nam list, byliśmy spokojni, nie kochaliśmy już. List nie przyszedł, nie przychodzi, co się dzieje? — odradza się niepokój i miłość. Takie istoty zwłaszcza budzą w nas miłość na nasze nieszczęście. Bo każdy nowy niepokój, jaki odczuwamy przez nie, ujmuje w naszych oczach coś z ich osobowości. Byliśmy zrezygnowani na cierpienie, sądząc, że kochamy kogoś z zewnątrz nas; i oto spostrzegamy, że miłość nasza jest funkcją naszego smutku, że jest może po prostu naszym smutkiem i że przedmiotem jej jest jedynie w skromnej mierze czarnowłosa dziewczyna. Ale cóż, zwłaszcza takie istoty budzą miłość.

Najczęściej przedmiotem miłości nie jest ciało, chyba że się w nim stopi wzruszenie, obawa stracenia go, niepewność posiadania. Otóż ten rodzaj niepokoju czepia się zwłaszcza ciała. Przydaje mu coś, co jest więcej niż piękność; oto jedna z przyczyn, dla której mężczyźni obojętni na najpiękniejsze kobiety mogą namiętnie kochać inne, dla nas brzydkie. Tym właśnie istotom wymykającym się natura ich, nasz niepokój, przyprowadzają skrzydła. I nawet gdy są przy nas, spojrzenie ich zdaje się mówić, że ulecą. Dowodem tej nadpiękności, której używają skrzydła, jest fakt, że często ta sama istota jest dla nas na przemian bez skrzydeł i skrzydlata. Kiedy boimy się ją stracić, zapominamy o wszystkich innych. Kiedy jesteśmy pewni jej posiadania, porównujemy ją z owymi innymi, dając im natychmiast pierwszeństwo. Że zaś te wzruszenia i ten spokój mogą się zmieniać z tygodnia na tydzień, możemy dla tej istoty poświęcić w danym tygodniu wszystko, co nam było mile, a w następnym tygodniu poświęcić ją samą, i tak dalej, przez bardzo długi czas. To byłoby niepojęte, gdybyśmy nie wiedzieli z doświadczenia (jak każdy mężczyzna, który w życiu bodaj raz przestał kochać, zapomniał), jak mało czym jest taka istota sama w sobie, kiedy nie jest już lub nie jest jeszcze przepuszczalna dla naszych wzruszeń. I oczywiście, jeżeli mówimy: „istoty wymykające się”, odnosi się to tak samo do istot w więzieniu, do kobiet niewolnych, o których posiadaniu zwątpimy. Toteż mężczyźni nienawidzą rajfurek⁶⁸, bo one ułatwiają ucieczkę, migocą pokusą; kochając natomiast kobietę zamkniętą, uciekają się chętnie do rajfurek, aby taką kobietę wyrwały z więzienia i przywiodły ku nam. I jeżeli związki z kobietami wykradzionymi są mniej trwałe od innych, to dlatego że niepewność zdobycia ich lub obawa ich ucieczki stanowi całą naszą miłość i że skoro je raz zabierzemy mężowi, wyrwiemy je z ich teatru, skoro je wyleczymy z pokusy rzucenia nas, słowem, skoro je wyodrębnimy od jakiegokolwiek naszego wzruszenia, pozostają tylko sobą, to znaczy prawie niczym. I szybko rzuci je ten, który ich tak długo pragnął, który się tak bardzo bał, że one go rzucą.

Powiedziałem: „Jak mogłem nie zgadnąć?”. Ale czyż ja nie zgadłem tego w Balbec od pierwszego dnia? Czyż nie odgadłem w Albertynie jednej z owych dziewczyn, pod których cielesną powłoką pulsuje więcej ukrytych istot — może nie więcej niż w nierozpieczętowanej jeszcze talii kart, niż w jakiejś katedrze lub w teatrze, zanim się do nich wejdzie, ale więcej niż w olbrzymim i wciąż nowym tłumie. Nie tylko tyle istot, ale pragnienie, rozkoszna pamięć, niespokojne szukanie tyłu istot. W Balbec nie byłem wzruszony, bom nie przypuszczał nawet, iż pewnego dnia znajdę się na tropie, choćby fałszywym. Ale i tak dało to Albertynie wobec mnie pełnię istoty wypełnionej do dna warstwami tyłu istot, pragnień, tyłu wspomnień rozkoszy. I teraz kiedy pewnego dnia powiedziała mi: „Panna Vinteuil”, byłbym chciał nie zerwać suknię, aby ujrzeć jej ciało, ale poprzez ciało ujrzeć cały ów notatnik jej wspomnień i jej bliskich i namiętnych schadzek.

⁶⁷zaakaparować (daw., z fr.) — przywłaszczyć sobie; zająć kogoś wyłącznie swoją osobą. [przypis edytorski]

⁶⁸rajfurka (daw.) — pośredniczka prostytucji; stręczycielka. [przypis edytorski]

Jak dalece rzeczy zapewne najblihsze nabierają nagle nadzwyczajnej wartości, kiedy istota, którą kochamy (lub której brakowało jedynie tej dwulicowości, abyśmy ją pokochali), ukrywa je nam! Samo w sobie cierpienie niekoniecznie rodzi w nas uczucia miłości lub nienawiści dla osoby, która je powoduje; chirurg zadający ból pozostaje nam obojętny. Ale kiedy kobieta mówiła nam jakiś czas, że jesteśmy dla niej wszystkim, przy czym ona sama nie była wszystkim dla nas; kobieta, którą lubimy widzieć, całować, trzymać na kolanach, wówczas dziwimy się, czując po nagłym oporze, że nie rozporządzamy nią do woli. Zawód budzi w nas wówczas czasami zapomniane uczucie dawnego niepokoju, o którym jednak wiemy, że go zbudziła nie ta kobieta, lecz inne, których zdrady piętrzą się w naszej przeszłości; zresztą jak mieć odwagę, aby żyć, jak zrobić ruch, aby się uchronić od śmierci w świecie, gdzie miłość rodzi się tylko z kłamstwa, a polega tylko na potrzebie ukojenia naszych cierpień przez istotę, która nam je zadała? Na to, aby wyjść z przygnębienia, jakie w nas budzi odkrycie tego kłamstwa i tego oporu, smutnym lekarstwem jest starać się oddziaływać na tę, co się nam opiera i która nam kłamie; oddziaływać na nią mimo jej woli, za pomocą istot więcej, czujemy to, zajmujących miejsca w jej życiu niż my sami; kłamać, kręcić, zozydzić się w jej oczach. Ale męka takiej miłości jest z tych, które sprawiają nieodparcie, że chory w zmianie pozycji szuka złudnej poprawy.

Na tych sposobach działania nie zbywa nam, niestety! I okropność takiej miłości, zrodzonej jedynie z niepokoju, płynie stąd, że bez przerwy rozważamy i obracamy w klatce nieznaczące słowa; co więcej, istoty budzące w nas tę miłość bardzo rzadko podobają się nam fizycznie w złożony sposób: wyboru dokonuje nie nasz świadomy smak, ale przypadkowa minuta niepokoju, minuta nieograniczenie przedłużona słabością naszego charakteru, powtarzającą co wieczór próby i zniżającą się do środków uśmierających.

Bez wątpienia miłość moja do Albertyny nie była najuboższa wśród tych, do których z braku woli można się osunąć, bo nie była całkowicie platoniczna; Albertyna dawała mi rozkosz fizyczną, a przy tym była inteligentna. Ale wszystko to było tylko nadpłodnienie. Zaprzętała mnie nie jej inteligencja, ale jakieś słówko rzucające nagle dwuznaczny cień na jej postępkę; próbowałem sobie przypomnieć, czy ona powiedziała to czy owo, jakim tonem, w jakiej chwili, w odpowiedzi na jakie słowa; sililem się odtworzyć sobie cały dialog; kiedy ściśle objawiła chęć wizyty u Verdurinów i które z moich słów sprawiło, że się zachmurzyła. Gdyby chodziło o najważniejszy fakt, nie zadałbym sobie tyle trudu, aby ustalić jego autentyczność, odtworzyć jego atmosferę i barwę. Bez wątpienia takie niepokoje, osiągnąwszy stopień, w którym stają się czymś nie do zniesienia, dadzą się niekiedy całkowicie uśmierzyć na jeden wieczór. Zaproszono i nas na zabawę, na którą nasza ukochana wybiera się i nad której prawdziwym sensem głowiliśmy się od wielu dni; kochanka uśmiecha się tylko do nas, rozmawia tylko z nami; odprowadzamy ją do domu i wówczas, zbywszy się obaw, kosztujemy spokoju równie kompletnego i krzepiącego, jak ten, którego zażywamy czasem w głębokim śnie po długim spacerze. I bez wątpienia taki spokój wart jest, aby go opłacić drogo. Ale czy nie byłoby prostsze nie kupować sobie dobrowolnie, i to jeszcze drożej, owych lęków? Zresztą wiemy, że choćby te chwilowe odprężenia były najgłębsze, niepokój i tak weźmie górę. Czasami nawet odnawia go jakieś zdanie, którego celem było przynieść nam spokój. Ale najczęściej zmieniamy jedynie niepokój. Któreś słowo z tego zdania, które miało nas uspokoić, pcha nasze podejrzenia na inny tor. Zazdrość nasza i ślepotą większe są, niż mogła przypuszczać ta, którą kochamy.

Kiedy ona nam przysięga samorzutnie, że dany mężczyzna jest dla niej tylko przyjacielem, przyprawia nas o wstrząs, przynajmniej, czegośmy nie podejrzewali, że był dla niej przyjacielem. Kiedy nam opowiada, chcąc dowieść swojej szczeroci, jak pili razem herbatę jeszcze tego popołudnia, za każdym jej słowem obleka się nam w kształt coś niewidzialnego, nieodejrzewanego. Wyznaje, że on ją prosił, aby mu się oddała, a my cierpimy męki, że ona mogła słuchać tych propozycji. Odrzuciła je, powiada. Ale za chwilę, przypominając sobie jej opowiadanie, zastanawiamy się, czy ono jest całkiem szczerem; między rozmaitymi szczegółami brak nam owego logicznego i koniecznego węzła, który bardziej od faktów jest znamieniem prawdy. A przy tym ta jej okropna, wzgardliwa intonacja: „Powiedziałam mu, że nie, kategorycznie”, którą ma kobieta wszystkich klas — kiedy kłamie. I trzeba jej jeszcze dziękować za to, że odmówiła; dobrocią swoją zachęcać ją na przyszłość do ponowienia tak okrutnych zwierzeń. Co najwyżej czynimy uwagę: „Ale jeżeli ci już robił takie propozycje, czemu zgodziłaś się iść z nim na herbatę?” —

„Żeby nie miał do mnie pretensji i nie mógł mówić, że nie jestem dobra dla niego”. A my nie śmiemy odpowiedzieć, że odmawiając, byłaby może lepsza dla nas...

Zresztą Albertyna przerażała mnie, powiadając, że dobrze robię, kiedy aby jej nie szkodzić, mówię, że nie jestem jej kochankiem. „Ostatecznie — dodawała — to szczerą prawdą, nie jesteś”. Istotnie, nie byłem może całkowicie, ale czyż w takim razie miałem sądzić, że wszystko to, cośmy robili z sobą, ona robi z każdym, o którym mi przysięga, że nigdy nie był jej kochankiem? Jakie to dziwne, wszystko poświęcać dlatego, aby za wszelką cenę dowiedzieć się, co Albertyna myśli, kogo widuje, kogo kocha, skoro niegdyś wobec Gilberty doznawałem tej samej potrzeby wiedzenia imion, faktów tak mi dziś obojętnych. Zdawałem sobie sprawę, że same w sobie postęпки Albertyny nie więcej mają wagi. Ciekawe jest, że o ile pierwsze uczucie, rozpulchniając niejako nasze serce, toruje drogę następnym miłościom, nie daje nam — mimo tożsamości objawów i cierpień — sposobu uleczenia ich.

Zresztą, czy potrzeba znać jakiś fakt? Czy nie poznaje się od razu w nieuchwytny sposób kłamstwa, a nawet dyskrecji kobiet, które coś ukrywają? Czy tu jest możliwość omyłki? Milczą uparcie wówczas, gdy my byśmy je tak chcieli pociągnąć za język. I czujemy, że swojemu współnikowi powiedziały: „Nie mówię nigdy nic. Ode mnie z pewnością nikt się nie dowie niczego; nie mówię nigdy nic”. Dajemy swój majątek, życie za jakąś istotę, a przecież wiemy, że za dziesięć lat, trochę wcześniej lub później, odmówilibyśmy jej tego majątku, wolelibyśmy zachować życie. Bo wówczas ta istota byłaby oderwana od nas, sama, to znaczy żadna.

Z daną istotą wiążą nas owe tysiączne korzenie, niezliczone nici usnute ze wspomnień wczorajszego wieczora, nadziei jutrzejszego ranka, nieprzerwana sieć nawyków, z której nie możemy się wyplątać. Tak samo jak są skąpcy, którzy gromadzą przez szczodrość, tak my jesteśmy rozrzutnicy, którzy wydają przez skąpstwo; poświęcamy życie nie tyle jakiejś istocie, ile wszystkiemu temu, co ona zdołała osnuć dokoła siebie z naszych godzin, z naszych dni; temu, przy czym życie jeszcze nie przeżyte, życie stosunkowo przyszłe, wydaje się nam czymś dalszym, bardziej oderwanym, mniej użytecznym, mniej naszym. Trzeba by się nam wyzwolić z tych więzów, o ileż ważniejszych niż sama osoba, przez to iż stwarzają w nas wobec niej chwilowe obowiązki. Obowiązki te sprawiają, że nie śmiemy jej opuścić z obawy stracenia w jej oczach, podczas gdy później nie wahałoby się tego uczynić, bo osoba ta odłączona od nas nie byłaby już nami, w istocie zaś jedynie wobec siebie samych stwarzamy sobie obowiązki — choćby przez pozorną sprzeczność miały nas przywieść w końcu do samobójstwa.

Jeżeli nie kochałem Albertyny (czego nie byłem pewny), miejsce jej w moim życiu nie było niczym nadzwyczajnym: żyjemy jedynie z istotami, których nie kochamy, które sprzegliśmy z sobą wyłącznie po to, aby zabić nieznośną miłość, czy chodzi o kobietę, czy o krainę, czy wreszcie o kobietę zawierającą jakąś krainę. Balibyśmy się nawet, że zaczniemy znów ją kochać w razie nowej rozłąki. Nie doszedłem z Albertyną do tego punktu. Jej kłamstwa, jej wyznania zmuszały mnie do dalszych poszukiwań prawdy: kłamstwa jej tak liczne dlatego, że nie poprzestawała na kłamaniu jak wszelka istota, która się czuje kochaną, ale że z natury była kłamliwa, a przy tym tak zmienna, że nawet mówiąc za każdym razem prawdę (na przykład, co myśli o ludziach), powiedziała mi za każdym razem coś innego; wyznania jej przez to, że tak rzadkie, tak hamowane, zostawiały między sobą — w tym, co tyczyło przeszłości — wielkie białe luki, na których przestrzeni trzeba mi było wykreślić jej życie, a w tym celu najpierw trzeba by je poznać.

Co się tyczy teraźniejszości (o ile mogłem interpretować sybilińskie⁶⁹ słowa Franciszki), Albertyna okłamywała mnie już nie w poszczególnych punktach, ale w całości: „Ujrzę pewnego pięknego dnia wszystko”, co Franciszka rzekomo wiedziała, czego nie chciała mi powiedzieć, o co nie śmiałem jej pytać. Zresztą, z pewnością przez tę samą zazdrość, jaką niegdyś ścigała Eulalię, Franciszka mówiła rzeczy najmniej prawdopodobne, tak mętne, że można w nich było co najwyżej odgadnąć jakąś niewiarygodną insynuację, że na przykład biedna branka (amatorka kobiet) miała na oku jakieś małżeństwo, ale z kimś, kto niekoniecznie musiał być mną. Gdyby tak było, skąd Franciszka, mimo

⁶⁹sybiliński — proroczy, wieszcz; *Sybilla* (mit. rzym.): wieszczka, autorka ksiąg, w których były zapisane proroctwa przyszłych losów Rzymu, przechowywanych w świątyni Jowisza Kapitońskiego, interpretowanych na żądanie senatu przez specjalne kolegium kapłańskie. [przypis edytorski]

swojej radiotelepatii, wiedziałyby o tym? Oczywiście, opowiadania Albertyny nie mogą rozstrzygnąć tej zagadki, bo były co dnia tak sprzeczne jak kolory bąka kończącego się kręcić. Widoczne zresztą było, że to nienawiść przemawia przez Franciszkę. Nie było dnia, żeby mi nie mówiła czegoś w tym sensie i żebym w nieobecności matki nie znosił takich na przykład aluzji:

„Nie ma co, panicz jest poczciwy, nie zapomnę nigdy wdzięczności, jaką paniczowi jestem winna — Franciszka mówiła tak zapewne po to, żeby mnie zachęcić do kupienia sobie praw do tej wdzięczności — ale dom jest zapowietrzony od czasu, jak dobroć pańska wpuściła tutaj łajdactwo, jak sama inteligencja popiera osobę najgłupszą, jaką w świecie widziano; jak rozum, maniery, dowcip, godność, mina i charakter prawdziwego ksiązątka dają nad sobą przewodzić najplugawszemu i najpospolitszemu łajdactwu, pozwalają sobie kolki ciosać na głowie i upokarzać mnie, mnie, co jestem od czterdziestu lat w rodzinie...”

Franciszka była wściekła na Albertynę, zwłaszcza o to, że jej, Franciszce, ma rozkazywać ktoś poza jej państwem; także o nadwyżkę domowej roboty, o zmęczenie, od którego cierpiało zdrowie naszej starej służącej. Mimo to nie chciała przyjąć żadnej pomocy; „Nie jest — mówiła — do niczego”. Wystarczyłoby to, aby wytłumaczyć jej zdenerwowanie, wybuchy nienawiści. Z pewnością pragnęłaby wygnania Albertyny-Estery. To było życzenie Franciszki. Ta pociecha byłaby już dla starej służącej odpoczynkiem. Ale moim zdaniem grało tu rolę nie tylko to. Taka nienawiść mogła się zrodzić jedynie w przemęczonym ciele. I bardziej jeszcze niż względów Franciszka potrzebowała snu.

Albertyna poszła się rozebrać, ja zaś, aby coś przedsięwziąć, spróbowałem zatelefonować do Anny; chwyciłem słuchawkę, wezwałem nieubłagane bóstwa, ale jedynie podnieciłem ich wściekłość, wyrażającą się słowem: „Zajęte”. W istocie, Anna rozmawiała z kimś. Czekaając, aż skończy, zastanawiałem się, jak to się dzieje (gdy tyłu malarzy stara się wskrziesić portrety kobiece z XVIII wieku, gdzie pomysłowe *mise en scène*⁷⁰ jest pretekstem do miniek oczekiwania, dąsu, ciekawości, marzenia), że żaden z naszych nowoczesnych Boucherów⁷¹ lub Fragonardów⁷² nie odmalował zamiast „listu”, „klawikordu” itd. sceny, która mogłaby się nazywać: „Przy telefonie” i w której na wargach słuchającej zakwitłby bezwiednie uśmiech tym prawdziwszy, że niewidziany.

Wreszcie Anna usłyszała mnie: „Czy wstąpisz po Albertynę jutro?” — rzekłem; przy czym wymawiając imię Albertyny, przypomniałem sobie zazdrość, jaką wzbudził we mnie Swann, mówiąc swego czasu na owym rauciu u księżnej Marii: „Niech pan zajdzie do Odety”. Pomyślałem wówczas, ile siły tkwi mimo wszystko w imieniu, które w oczach całego świata i samej Odety miało jedynie w ustach Swanna ów sens absolutnie „dzierzawczy”.

Jakże takie — streszczone w jednym wyrazie — położenie ręki na całej egzystencji wydawało mi się słodkie za każdym razem, kiedy byłem zakochany! Ale w rzeczywistości, kiedy można to uczynić, albo się to już stało obojętne, albo też przyzwyczajenie, nie nieważąc czułości, zmieniło jej słodczye w cierpienia. Kłamstwo to drobiazg, żyjemy pośród niego, uśmiechając się zeń tylko; uprawiamy je bez poczucia wyrządzonej komukolwiek krzywdy; ale zazdrość cierpi od kłamstwa i widzi więcej niż ono ukrywa (często kochanka odmawia spędzenia z nami wieczoru i idzie sama do teatru po prostu dlatego, żebyśmy nie widzieli, że źle wygląda). Jak często zazdrość pozostaje ślepa na to, co kryje prawda! Ale nie może nic uzyskać, bo te, co przysięgają, że nie kłamią, wzdragałyby się wyznać prawdy, bodaj pod gilotyną. Wiedziałem, że ja jeden, mówiąc do Anny, mogę powiedzieć w ten sposób: „Albertyna”. A przecież czułem, że jestem niczym dla Albertyny, dla Anny, dla siebie samego. I rozumiałem niemożliwość, o jaką się obja miłość.

Wyobrażamy sobie, że jej przedmiotem jest istota, która może leżeć koło nas, zamknięta w ciele. Niestety! Miłość jest rozpostarciem tej istoty na wszystkie punkty przestrzeni i czasu, jakie ta istota zajmowała i zajmować będzie. Jeżeli nie posiadamy jej kontaktu z danym miejscem, z daną godziną, nie posiadamy jej samej. Otóż nie możemy dosięgnąć wszystkich tych punktów. Gdybyż jeszcze ktoś nam je wskazał, zdołalibyśmy może dociągnąć się do nich. Ale szukamy po omacku, nie znajdując ich. Stąd nieufność,

⁷⁰*mise en scène* (fr. dosł.: umieszczanie na scenie) — scenografia i kompozycja wizualna. [przypis edytorski]

⁷¹*Boucher, François* (1703–1770) — francuski malarz, grafik i dekorator, jeden z najbardziej znanych przedstawicieli rokoka. [przypis edytorski]

⁷²*Fragonard, Jean-Honoré* (1732–1804) — francuski malarz rokokowy, portrecista, autor lekkich, często frywolnych scen rodzajowych, jeden z jeden z najbardziej płodnych artystów swojego okresu. [przypis edytorski]

zazdrość, prześladowania. Tracimy drogi czas na niedorzecznym tropie i przechodzimy obok prawdy, nie domyślając się jej.

Ale już jedno z gniewliwych bóstw, rozkazujących zawrotnie zwinnym służebnikom, pognewało się już nie o to, że rozmawiam, ale że nic nie mówię. „Proszę pana, numer jest wolny, już od dawna ma pan połączenie, rozłączę pana”. Ale nie zrobiła tego i wywołując obecność Anny, spowiła ją — jak wielki poeta, którym zawsze jest telefonistka — atmosferą swoistą dla mieszkania, dzielnicy, nawet dla życia Anny.

— To ty? — rzekła Anna, której głos rzuciła mi zawrotnie szybko bogini mająca władzę dawania dźwiękom chyżości błyskawicy.

— Słuchaj — odparłem — jedźcie, gdzie chcecie, mniejsza o to gdzie, wyjąwszy do pani Verdurin. Trzeba za wszelką cenę odciągnąć Albertynę.

— Ale... bo ona właśnie wybiera się tam jutro.

— A!

Ale musiałem przerwać na chwilę i wykonać groźne gesty, bo o ile Franciszka wciąż — tak jakby to było coś równie przykrego jak szczepienie ospy i równie niebezpiecznego jak samolot — wzdragała się nauczyć telefonować, co by nas uwolniło od trudu połączeń (mogłaby je doskonale załatwiać), w zamian za to wchodziła natychmiast do mego pokoju, ilekroć miałem poufną rozmowę, którą specjalnie chciałem przed nią utaić. Wyszła wreszcie, długo zabawiając się zbieraniem rozmaitych przedmiotów, które leżały od wczoraj i mogły bezpiecznie zostać jeszcze godzinę, i dorzucając do ognia polano, bardzo zbyteczne wobec gorąca, jakim mnie przenikała obecność intruza i obawa, że mnie telefonistka rozłączy.

— Daruj — rzekłem do Anny — ktoś mi przeszkodził. Czy to całkiem pewne, że ona się wybiera jutro do Verdurinów?

— Absolutnie pewne, ale mogę jej powiedzieć, że sobie tego nie życzysz.

— Nie, przeciwnie, możebne jest, że ja się wybiorę z wami.

— A! — rzekła Anna z wyraźnym niezadowoleniem i jakby przestraszona moją odwagą, w której mnie zresztą tylko umocniła.

— Zatem do widzenia, przepraszam, że cię na próżno trudziłem.

— Ależ nie — rzekła Anna i dodała (w miarę rozpowszechnienia telefonu rozwinął się dokoła niego ornament specjalnych frazesów, jak niegdyś koło „herbaty”): — Bardzo mi było miło usłyszeć twój głos.

Mogłem powiedzieć to samo, i szczerzej niż Anna, bo od jakiegoś czasu byłem nader czuły na jej głos, nie zauważywszy wprzód, że jest tak różny od innych. Wówczas przypomniałem sobie jeszcze inne głosy, głosy kobiet zwłaszcza, jedne zwolnione precyzją pytania i napięciem uwagi, drugie zdyszane, nawet przerywane liryczną falą opowiadania; przypomniałem sobie kolejno głosy każdej ze znajomych dziewcząt w Balbec; potem głos Gilberty, potem głos babki, potem pani de Guermantes; wydały mi się wszystkie odmienne, zestrojone z językiem każdej, grające na odmiennym instrumencie; i pomyślałem, jaki chudy koncertik muszą dawać w niebie trzy lub cztery muzykujące anioły z obrazów dawnych mistrzów, kiedy widział wznoszące się do Boga dziesiątkami, setkami, tysiącami, harmonijne i wielodźwięczne pozdrowienie wszystkich Głosów. Zanim opuściłem telefon, podziękowałem w paru dobranych słowach tej, co włada chyżością dźwięków, iż zechciała użyć na rzecz moich skromnych słów władzy czyniącej je sto razy szybszymi od grzmotu; ale moje dzięki nie doczekały się innej odpowiedzi niż przerwanie połączenia.

Kiedy Albertyna wróciła, miała na sobie czarną atlasową suknię, która podkreśliła jeszcze jej błądź, czyniąc z niej chlorotyczną⁷³ i zgorączkowaną paryżankę, wypompowaną brakiem powietrza, atmosferą tłumów i może nalogiem grzechu. Oczy jej zdawały się bardziej niespokojne, bo ich nie poweselała różowość policzków.

— Zgadnij — rzekłem — do kogo telefonowałem. Do Anny.

— Do Anny! — wykrzyknęła Albertyna, zdziwiona, podniecona, tonem nieharmonizującym z tak prostą wiadomością. — Mam nadzieję, iż nie zapomniała ci powiedzieć, żeśmy spotkały kiedyś panią Verdurin.

⁷³chlorotyczny — błąd lub poślizg, charakterystyczny dla chlorozy, stanu chorobowego roślin, w którym liście wytwarzają niewystarczającą ilość chlorofilu. [przypis edytorski]

— Panią Verdurin? Nie przypominam sobie — odparłem z miną taką, jakbym myślał o czym innym, chcąc się okazać obojętny na to spotkanie i nie zdradzić Anny, że się wygadała z tym, dokąd Albertyna wybiera się jutro.

Ale kto wie, czy Anna mnie nie zdradza? Może jutro opowie Albertynie, że ją prosił, aby jej nie puściła za żadną cenę do Verdurinów? Kto wie, może jej już wyznała, że to nie było pierwsze podobne zlecenie z mojej strony. Zaręczała mi, że niczego nie powtarza nigdy, ale zakłęciu temu przeczył fakt, że od jakiegoś czasu z twarzy Albertyny znikła ufność, jaką mnie darzyła tak długo.

Ciekawe jest, że już na kilka dni przed tym niezrozumieniem miałem z Albertyną inną sprzeczkę, ale w obecności Anny. Otóż Anna, dając dobre rady Albertynie, zawsze robiła wrażenie, że jej podsuwa złe myśli. „Słuchaj, nie mów w ten sposób, przestań” — mówiła, jakby upojona szczęściem. Twarz jej przybierała suchy malinowy odcień, typowy dla gospodyń-dewotek, wygryzających kolejno wszystkie służące. Podczas gdy ja obsypywałem Albertynę pożałowania godnymi wymówkami, Anna robiła wrażenie, że sse z rozkoszą cukier lodowaty. W końcu nie mogła powstrzymać tkliwego śmiechu. „Chodź, Titinko, do mnie. Ty wiesz, że ja jestem twoja kochana siostrzyczka”. Nie tylko mnie drażniło to słodkawe lepienie się, ale zastanawiałem się, czy Anna ma naprawdę dla Albertyny przyjaźń, o której tyle mówi. Ponieważ Albertyna, która znała Annę gruntownie ode mnie, stale wzruszała ramionami, kiedym pytał, czy jest pewna uczuć Anny, i odpowiadała zawsze, że nikt na świecie tak jej nie kocha, pewien jestem jeszcze teraz, że przywiązanie Anny było szczere. Może w jej zamożnej, ale prowincjonalnej rodzinie znalazłoby się odpowiednik tego w pewnych sklepach na Placu Biskupim, gdzie niektóre słodczyce uchodzą za „co tylko może być najlepszego”. Ale co do mnie (mimo iż zawsze dochodziłem do przeciwnej konkluzji), tak dalece miałem wrażenie, iż Anna stara się upokorzyć przyjaciółkę, że natychmiast brałem w duchu stronę Albertyny i gniew mój opadał.

Cierpienie w miłości ustaje chwilami, ale po to, aby się zacząć na nowo inaczej. Bojęmy, widząc, że ukochana nie ma już dla nas owych wybuchów sympatii, miłosnych zrywów, jakie miała z początku; bardziej jeszcze nas boli, że straciwszy je wobec nas, odzyskuje je dla innych; potem od tego cierpienia odrywa nas nowa, okrutniejsza męka: podejrzenie, że nas okłamała co do wczorajszego wieczoru, że nas z pewnością zdradziła. To podejrzenie również się rozprasza; czułość kochanki uspokaja nas, ale wówczas wraca jakieś zapomniane słówko; powiedział nam ktoś, że ona ma „szalony temperament”, a myśmy ją znali raczej chłodną; próbujemy sobie wyobrazić, czym były owe szaty z innymi; czujemy, jak mało znaczymy dla niej, spostrzegamy wyraz nudy, nostalgii, smutku, jaki ma w naszym towarzystwie; zauważamy (na kształt pochmurnego nieba) nieświeże suknie, które kładzie dla nas, zachowując dla innych toalety, którymi w początkach chciała nas czarować. W zamian jeżeli jest czuła, co za radość! Ale widząc ten języczek wysuwający się niby wezwanie, myślimy o kobietach, do których to wezwanie zwracało się tak często... Może nawet kiedy jest ze mną i nie myśli o nich, gest ten — rezultat przyzwyczajenia — pozostał czymś machinalnym? I wraca uczucie, że ją nudzimy. Ale nagle cierpienie to staje się czymś bardzo drobnym na myśl o złowrogim sekrecie jej życia, o niezbadanych miejscach, w których była, w których jest może jeszcze w godzinach, gdy nie jest z nami, jeżeli nawet nie zamierza umknąć tam na stałe; o miejscach, gdzie jest daleka od nas, nie nasza, szczęśliwsza niż z nami. Na takim wolnym ogniu obraca nas zazdrość.

Zazdrość jest zarazem demonem, którego nie można zakłąć; wciąż wraca, wciąż wciela się w nową formę. Gdybyśmy zdołali wytepić je wszystkie, trzymać wciąż przy sobie kochaną istotę, Duch Złego przybrałby wówczas jeszcze inną, patetyczniejszą formę: rozpacz, żeśmy zdobyli jej wierność jedynie siłą, rozpacz bezwzajemności.

Między Albertyną a mną była często zaporą milczenia, utworzonego z pewnością z żalów, które tała, bo uważała je za beznadziejne. Mimo iż tak słodka w pewne wieczory, Albertyna nie miała już owych odruchów z Balbec, kiedy mówiła: „Jakiś ty milutki!” i kiedy serce jej zdawało się biec ku mnie bez zastrzeżeń i pretensji. Teraz kryła je, uważając je z pewnością za nieodwołalne, niepodobne do zapomnienia. Niewyznane, niemniej kładły one pomiędzy nami znaczącą ostrożność jej słów lub przestrzeń nieubłaganego milczenia.

— A czy można wiedzieć, po coś telefonował do Anny?

— Spytać się, czy nie ma nic przeciwko temu, żebym się wybrał z wami do Verdurinów z wizytą, którą im przyrzekam od czasów la Raspeliere.

— Jak zechcesz. Ale uprzedzam cię, że jest dziś straszliwa mgła i jutro z pewnością będzie także. Mówię ci to, bo nie chciałabym, żebyś sobie zaszkodził. Pojmujesz, ja bym wolala, żebyś poszedł z nami. Zresztą — dodała w zamyśleniu — ja zupełnie nie wiem, czy pójdę do Verdurinów. Byli dla mnie tak uprzejmi, że w istocie powinnabym... Po tobie to są ludzie, którzy jeszcze byli najlepsi dla mnie; ale są drobiazgi, które mnie u nich rażą. Muszę koniecznie wybrać się do Bon Marché albo do Trois-Quartiers kupić biały żabocik, bo ta suknia jest za czarna.

Pozwolić Albertynie iść samej do wielkiego magazynu, pełnego ludzi ocierających się o nią, mającego tyle wyjść, że można potem powiedzieć, iż wychodząc, nie odnalazło się wehikułu, który czekał trochę dalej — nie! byłem zdecydowany nie pozwolić na to, ale zwłaszcza byłem nieszczęśliwy. A jednak nie zdawałem sobie sprawy z tego, że już dawno powinien bym przestać widywać Albertynę, bo weszła dla mnie w ów żalony okres, kiedy istota rozpylona w czasie i w przestrzeni nie jest już dla nas kobietą, ale szeregiem niewyjaśnionych wydarzeń, szeregiem niepodobnych do rozwiązania zagadnień, morzem, które jak Kserkses próbujemy pocieszyć chłostać, aby je ukarać za to, co pochłonęło. Skoro się zacznie ten okres, klęska nasza jest nieuchronna. Szczęśliwi ci, co pojmą to dość wcześnie, aby nie przedłużać bezużytecznej i wyczerpującej walki ujętej ze wszystkich stron granicami wyobraźni; walki, w której zazdrość szamoce się tak haniebnie, że ten sam człowiek, który niegdyś za lada spojrzeniem pozostającej wciąż przy nim kobiety, skierowanym przez chwilę do innego, wietrzył miłość, cierpiał istne męki, znosi później, żeby wychodziła sama, bodaj z notorycznym kochankiem, wołając tę torturę, przynajmniej znaną, od czegoś niewiadomego! To rzecz nabycia rytmu, który zachowujemy potem z przyzwyczajenia. Nerwowcy, niezdolni opuścić jednego obiadu, odbywają potem trwające bez końca kuracje w sanatoriach; kobiety niedawno jeszcze lekkie, żyją pokutą. Zazdrośnik, który aby szpiegować ukochaną, pozbawił się snu, spoczynku, uczuwszy, że jej pragnienia, że szeroki i tajemniczy świat, że czas silniejsze są od niego, pozwala kobiecie wychodzić samej, potem podróżować — potem rozstają się. Zazdrość kończy się w ten sposób z braku pokarmu; trwała tak długo jedynie dlatego, że go wciąż żądała. Byłem daleki od tego stanu.

Mogłem teraz swobodnie, ile razy chciałem, odbywać spacer z Albertyną. Powstały dokoła Paryża hangary, będące dla samolotów tym, czym porty dla statków. Od dnia, kiedy w pobliżu la Raspeliere na wpół mitologiczne spotkanie pilota, którego lot spłoszył mego konia, stało się dla mnie niby obrazem wolności, lubiłem często, o schyłku dnia, obierać lotnisko za cel naszych spacerów. Albertyna, zapalona do wszystkich sportów, lubiła to. Pociągało nas owo nieustające życie odlotów i przylotów, dające tyle uroku spacerom po przystani lub bodaj po wybrzeżu, dla tych co kochają morze, oraz waleśaniu się po lotnisku dla tych, co kochają niebo. Co chwila pośród spoczynku bezwładnych i jakby zakotwiczonych aparatów widzieliśmy któryś, mozolnie ciągniony przez kilku mechaników, tak jak się ściera z piasku łódź dla amatora morskiej przejażdżki. Potem motor zaczynał warczeć, aparat biegł, brał rozmach, potem wznosił się z wolna prostopadle w zeszywniałej, jakby znieruchomiałej ekstazie, zmieniawszy nagle horyzontalną chyżość w majestatyczne i pionowe wniebowstąpienie.

Albertyna nie mogła powściągnąć radości, wypytywała mechaników, którzy teraz, kiedy aparat już uleciał, wracali. Tymczasem pasażer przebył całe kilometry; wielkie czółno, w które wciąż wlepialiśmy oczy, było już w lazurze ledwie dostrzegalnym punktem, który zresztą miał odzyskać stopniowo swoją materialność, wielkość, objętość, skoro z końcem przejażdżki nadejdzie moment powrotu. I w chwili gdy turysta wyskakiwał na ziemię, z zazdrością patrzyliśmy oboje na tego, co w tych samotnych horyzontach zakosztował spokoju i czystości wieczoru. Następnie bądź z lotniska, bądź — kiedy indziej — z jakiegoś muzeum lub kościoła, któregośmy wybrali się zwiedzić, wracaliśmy na obiad. Mimo to nie wracalem uspokojony, tak jak bywało w Balbec po owych rzadszych spacerach, trwających — co mnie przejmowało dumą — całe popołudnie; spacerach, które odcinały się dla mnie później niby klomby kwiatów na życiu Albertyny, niby na pustym niebie, w którego obliczu marzy się z łagodną bezmyślnością. Czas Albertyny nie należał

do mnie wówczas w tak wielkich ilościach jak dziś, ale zdawał się bardziej mój, bom liczył jedynie godziny jej życia ze mną, miłość moja cieszyła się nimi jak łaską; obecnie liczyłem tylko godziny, które ona spędzała beze mnie, przy czym zazdrość moja szukała w nich gorączkowo możliwości zdrady.

Otóż — jutro może — Albertyna zapagnie takich godzin! Trzeba by wybrać: przestać cierpieć albo przestać kochać. Bo miłość, jak w początkach rodzi się z pragnienia, tak później żyje wyłącznie bolesnym niepokojem. Czuję, że część życia Albertyny umyka mi się. Miłość w swojej bolesnej trwodze, jak w szczęściu pragnienia, jest żądaniem wszystkości. Rodzi się, istnieje tylko o tyle, o ile pozostaje coś do zdobywania. Kochamy jedynie to, czego nie posiadamy całkowicie.

Albertyna kłamała, mówiąc, że zapewne nie pójdzie do Verdurinów, jak ja kłamałem, mówiąc, że chciałem wybrać się do nich. Starła się jedynie zapobiec temu, abym jej towarzyszył; ja zaś nagłym oznajmieniem tego projektu, którego bynajmniej nie zamierzałem wykonać, starałem się zmacać w niej punkt, który mi się zdawał najczulszy, poczuć jej ukrywaną chęć i zmusić ją do wyznania, że moja jutrzejsza obecność nie pozwoliłaby jej zaspokoić tej chęci. Albertyna uczyniła to zresztą, tracąc nagle ochotę do wizyty u Verdurinów.

— Jeżeli nie chcesz iść do Verdurinów — rzekłem — jest w Trocadéro wspaniałe benefisowe przedstawienie.

Wysłuchała z boleściwą miną mojej rady. Zacząłem być dla niej przykry jak w Balbec w czasach mojej pierwszej zazdrości. Twarz Albertyny wyrażała zawód, ja zaś piętrzyłem argumenty, które tak często, kiedy byłem mały, przeciwstawiali mi rodzice i które wydawały się memu niezrozumianemu dziecięctwu tępe i okrutne.

— Nie, mimo twojej smutnej minki — powiadałem — nie mogę cię żalować; żalowałbym cię, gdybyś była chora, gdyby ci się zdarzyło nieszczęście, gdybyś straciła kogoś z rodziny, co by ci zresztą nie sprawiło może żadnej przykrości wobec nadmiaru fałszywej uczuciowości, który trwonisz dla niczego. Zresztą ja mam niewielkie pojęcie o sercu ludzi, którzy nas rzekomo kochają, a nie są zdolni oddać nam najłżejszej przysługi; ludzi mimo rzekomej ciągłej myśli o nas zdolnych zapomnieć listu, któryśmy im powierzyli, a od którego zależy nasza przyszłość.

Wszystkie te słowa (większość tego, co mówimy, jest tylko powtarzaniem!) słyszałem w ustach matki, tłumaczącej mi chętnie, że nie trzeba mieszać prawdziwej uczuciowości — tego, co Niemcy (których język bardzo podziwiała mimo wstrętu mego ojca do tego narodu) nazywają *Empfindung* — z czułościową *Empfinderei*. Raz, kiedy płakał, matka powiedziała mi wręcz, iż Neron⁷⁴ był może nerwowym, ale nie był przez to lepszy. W istocie, jak owe rośliny, które rozdwiają się, rosnąc, spoza wrażliwego dziecka, jakim niegdyś wyłącznie byłem, wyglądał teraz wręcz odmienny mężczyzna, rozsądny, surowy sędzia chorobliwej wrażliwości innych, człowiek podobny do tego, czym rodzice byli dla mnie. Widocznie każdy musi w sobie kontynuować życie swoich bliskich; zrównoważony i ironiczny jegomość, który nie istniał we mnie na początku, złał się z wrażliwcem; naturalne było, że się stałem z kolei takim, jakimi byli niegdyś moi rodzice.

Co więcej, w chwili gdy się tworzyło to nowe „ja”, znajdowało ono swój gotowy już język we wspomnieniu ironicznego i karcącego języka, którym do mnie mówiono niegdyś, a którym teraz ja miałem mówić do innych. Wychodził on całkiem naturalnie z moich ust, czy żem go wywoływał przez mimetyzm⁷⁵ i przez skojarzenie wspomnień, czy że delikatne i tajemnicze zakłęcia sił życiowych wyrysowały we mnie, bez mojej wiedzy, niby na liściu rośliny, te same intonacje, gesty, pozy, jakie mieli moi rodziciele. Bo czasami w rozmowie z Albertyną, w trakcie odgrywania rozsądnego człowieka, zdawało mi się, że słyszę babkę; czyż zresztą nie zdarzyło się matce myśleć czasem, że to ojciec wchodzi, tak dalece miałem ten sam sposób pukania; tajemne i nieświadome prądy władzały we mnie nawet drgnieniami palców, wprawionych w ten sam rytm, co palce rodziców.

Z drugiej strony złączenie sprzecznych czynników jest prawem życia, zasadą zapłodnienia i — jak się okaże — przyczyną wielu nieszczęść. Zazwyczaj nienawidzimy tego,

⁷⁴Neron, właśc. *Nero Claudius Caesar Augustus Germanicus* (37–68) — cesarz rzymski od 54, przedstawiany jako symbol okrucieństwa władzy; poeta i aktor, miłośnik kultury i sztuki greckiej; wg plotek obserwował pożar Rzymu z podziwem dla żywiołu, grając na lirze i śpiewając pieśń o spaleniu Troi. [przypis edytorski]

⁷⁵mimetyzm (z gr.) — naśladownictwo. [przypis edytorski]

co jest do nas podobne; własne wady, widziane z zewnątrz, drażnią nas. O ileż bardziej jeszcze ktoś, kto przekroczył wiek, gdy się swoje wady wyraża szczerze, kto na przykład w najpłomienniejszych chwilach obleka twarz z lodu, nienawidzi tych samych wad, jeżeli je wyraża ktoś inny, młodszy, naiwniejszy lub głupszy! Zdarzają się ludzie wrażliwi, dla których w oczach innych osób widok łez, które sami powstrzymują, jest nieznośny. Zbyt wielkie podobieństwo rodzi niesnaski w rodzinach — mimo wzajemnego przywiązania — a często tym bardziej, im przywiązanie jest większe.

Może u mnie i u wielu innych ów drugi człowiek, jakim się stałem, był po prostu jedną z fizjonomii pierwszego, egzaltowanego i wrażliwego w stosunku do siebie, roztropnego mentora dla drugich. Może tak samo było i z rodzicami, zależnie od tego, czy się ich brało w odniesieniu do mnie, czy samych w sobie. Co się tyczy babki i matki, aż nadto widoczne było, że ich surowość dla mnie była rozmyślna i nawet wiele je kosztowała; ale może i u ojca chłód był tylko zewnętrzną formą uczuciowości? Kiedy mówiąc o ojcu, powiadano: „Pod lodowatym chłodem kryje niezwykłą uczuciowość; główną jego cechą jest wstydlivość serca” — niegdyś zdawało mi się to równie fałszywe, jak banalne; otóż może ta formuła wyrażała ludzką prawdę tej podwójnej fizjonomii: życia wewnętrznego i stosunków społecznych. Czy w gruncie jego spokój nie krył nieustannych i tajemnych burz? Ten spokój, w potrzebie usiany sentencjami i refleksjami, ironią wobec chorobliwych przejawów uczuciowości? Ten spokój, właściwy ojcu, który ja teraz przybierałem wobec wszystkich, a zwłaszcza w pewnych okolicznościach w stosunku do Albertyny?

Sądzę, że naprawdę tego dnia miałem zdecydować nasze rozstanie i jechać do Wenecji. To, co mnie zakulało z powrotem, wiązało się z Normandią; nie iżby Albertyna objawiała jakąś chęć udania się w owe strony nasycone moją zazdrością (na szczęście bowiem nigdy projekty Albertyny nie dotyczyły bolesnych punktów mojego wspomnienia), ale dlatego że kiedym jej powiedział: „To mi przypomina ową przyjaciółkę ciotki, która mieszkała w Infreville”, Albertyna odpowiedziała gniewnie, szczęśliwa — jak każdy, kto się kłóci i kto stara się znaleźć możliwie najwięcej argumentów — że może pokazać, iż jestem w błędzie, a ona ma słuszość: „Ależ nigdy ciotka nie znała nikogo w Infreville i ja nigdy tam nie byłam”.

Zapomniała o bajeczce ukutej pewnego wieczora o drażliwej damie, do której musi koniecznie jechać na herbatę, choćby miała dla tej wizyty stracić moją przyjaźń i zadać sobie śmierć. Nie przypominałem jej tego kłamstwa. Ale przygnębiło mnie. I odłożyłem jeszcze zerwanie. Nie potrzeba być szczerą ani nawet zręcznie kłamać na to, aby być kochaną. Nazywam tu miłością wzajemną udrekę. Nie uważałem za naganne owego wieczora mówić do Albertyny tak jak babka, istota tak doskonała, mówiła niegdyś do mnie; ani też oznajmiając Albertynie, że jej będę towarzyszył do Verdurinów, nie zamierzałem naśladować szorstkości ojca, który oznajmiał nam swoje decyzje w sposób zdolny przyprowadzić o maksimum wzburzenia — bez proporcji z samą decyzją. W ten sposób łatwo mógł ojciec wytknąć naszą niedorzeczność w tym, że wpadamy w rozpacz dla takiej drobnostki, gdy w istocie rozpacz odnosiła się do wstrząsu, o jaki nas przyprowadził. Tak samo jak nieugięta mądrość babki, tak i te arbitralne decyzje ojca zwały się z moją wrażliwością, której były tak długo obce i którą przez całe dzieciństwo tyle nadręczały, że nabrałem bardzo ścisłego doświadczenia co do punktów, w które należało mi skutecznie mierzyć: nie ma lepszego szpiega niż dawny złodziej lub poddany narodu, który się zwalcza. W rodzinie kłamczuchów brat przybywający odwiedzić brata bez wyraźnego powodu i pytający go niedbale na odchodnym, w progę, o jakąś informację, której nawet nie bardzo słucha, zdradza tym samym, że owa informacja była celem jego wizyty; brat zna dobrze te obojętne miny, te słowa rzucone jakby nawiasem w ostatniej sekundzie, ile że sam się często nimi posługiwał. Otóż są także patologiczne rodziny, pokrewne psychiki, bratnie usposobienia, świadome tego cichego języka, dzięki któremu rodzina rozumie się bez słów. Któż może być bardziej denerwujący niż człowiek nerwowy?

A wreszcie moje postępowanie miało może w takich razach ogólniejszą i głębszą przyczynę. Bo w tych krótkich, lecz nieuniknionych chwilach, kiedy się nienawidzi kogoś, kogo się kocha — chwilach, trwających niekiedy całe życie z ludźmi, których się nie kocha — człowiek nie chce się wydać dobry, aby nie budzić współczucia; przeciwnie, chce się wydać zarazem najgorszy i możliwie najszcześniejszy, iżby szczęście nasze było naprawdę obmierzone i zraniło duszę przygodnego lub trwałego wroga. Wobec iluż ludzi

spotwarzałem się jedynie po to, aby się im moje „sukcesy” wydały niemoralne i bardziej ich drażniły! Godziłoby się raczej iść przeciwną drogą: okazywać bez dumy swoje dobre uczucia, zamiast się z nimi kryć tak bardzo. I to byłoby łatwe, gdybyśmy umieli nigdy nie nienawidzić, zawsze kochać. Bo wówczas dawaloby nam tyle rozkoszy mówić tylko rzeczy zdolne uszczęśliwić innych, wzruszyć ich, pozyskać ich miłość!

Niewątpliwie czułem nieco wyrzutów, że jestem tak niezdolny dla Albertyny. Powiedziałem sobie: „Gdybym jej nie kochał, byłaby mi wdzięczniejsza, bo nie byłbym dla niej zły; ale nie, to by się wyrównało, bo byłbym także mniej szczodry”. I mógłbym na swoje usprawiedliwienie powiedzieć jej, że ją kocham. Ale wyznanie tej miłości, poza tym, że nie byłoby dla Albertyny niczym nowym, ochłodziłoby ją w stosunku do mnie może bardziej niż brutalność i podstęp, których jedynym wytłumaczeniem była właśnie miłość. Być brutalnym i podstępnym wobec tej, którą się kocha, to takie naturalne! Jeżeli nasza życzliwość dla innych nie przeszkadza być z nimi łagodnym i ustępliwym, to dlatego że ta życzliwość jest kłamliwa. „Inny” jest nam obojętny, a obojętność nie pobudza do złości.

Wieczór mijał. Albertyna pójdzie się położyć; nie było wiele czasu do stracenia, gdybyśmy się chcieli pogodzić, zacząć się znów całować. Żadne z dwojga nie powzięło jeszcze inicjatywy. Czując, że Albertyna się na dobre gniewa, skorzystałem z tego, aby wspomnieć o Esterze Lévy.

— Bloch powiedział mi (co było nieprawdą), żeś ty dobrze znała jego kuzynkę Esterę.

— Nie poznałabym jej nawet — rzekła Albertyna mglisto.

— Widziałem jej fotografię — dodałem w gniewie.

Nie patrzyłem na Albertynę, mówiąc te słowa, tak że nie widziałem wyrazu jej twarzy, który byłby jedyną odpowiedzią, bo nie rzekła nic.

To, czegom doznawał przy Albertynie w takiej chwili, to już nie był kojący pocałunek matki w Combray, ale przeciwnie niepokój owych wieczorów, kiedy matka ledwo mi powiedziała dobranoc lub nawet nie zaszła do mojego pokoju, czy że gniewała się na mnie, czy że zatrzymali ją goście. Ten niepokój — nie tylko jego transpozycja na miłość — nie, sam ten niepokój, który się okresowo wyspecjalizował w miłości, a który wchodził w grę sam, wówczas gdy nastąpił podział, rozszczępienie uczuć, teraz rozciągał się znowu na nie wszystkie, znów niepodzielny jak w dzieciństwie. Jak gdyby wszystkie moje uczucia — drżąc, że nie zdołają zatrzymać Albertyny przy moim łóżku równocześnie jako kochanki, jako siostry, jako córki, jako matki także, której codziennego „dobranoc” zaczynałem znów odczuwać dzieciinną potrzebę — zaczęły się skupiać, jednoczyć w przedwczesnym wieczorze mojego życia; zapowiadało się ono tak krótkie jak dzień zimowy! Ale o ile wracał ów niepokój mojego dzieciństwa, zmiana osoby, która go budziła, różnica uczuć, przeobrażenie wreszcie mojego charakteru, czyniły mi niepodobieństwem żądać ukojenia od Albertyny, jak niegdyś od matki.

Nie umiałem już powiedzieć: „Jestem smutny”. Ograniczałem się z rozpaczą w duszy do mówienia o rzeczach obojętnych, niezblizających mnie w niczym do szczęśliwego rozwiązania. Dreptałem w miejscu w bolesnych banalnościach. I z owym intelektualnym egoizmem, który kiedy błaha prawda odnosi się do naszej miłości, każe nam przyznawać zasługę temu, co ją odkrył — może równie przypadkowo jak kabalarka, która nam oznajmiła fakt banalny, ale później spełniony — skłonny byłem uważać Franciszkę za istotę wyższą od Bergotte’a i Elstira, bo powiedziała w Balbec: „Ta dziewczyna sprawi paniczowi same jeno zmartwienia”.

Każda minuta zbliżała mnie do owego „dobranoc”, które mi Albertyna powiedziała w końcu. Ale tego wieczora pocałunek jej, w którym ona była nieobecna, a który do mnie nie trafiał, zostawił mi tyle niepokoju, że z drgającym sercem przeprowadziłem ją wzrokiem do drzwi, myśląc: „Jeżeli mam znaleźć jakiś pretekst, aby ją odwołać, zatrzymać, pogodzić się z nią, trzeba się spieszyć, ma już tylko kilka kroków do drzwi, już tylko dwa, tylko jeden, naciska klamkę; otwiera, za późno, zamknęła drzwi!”.

Może jeszcze jednak nie za późno. Jak niegdyś w Combray, wówczas gdy matka wyszła, nie ukoivszy mnie pocałunkiem, chciałem biec w ślad Albertyny, czułem, że nie zaznam spokoju, aż ją ujrzę, że to ujście jej stanie się czymś olbrzymim, czym nie było jeszcze dotąd, i że gdybym się nie zdołał sam uwolnić od tego smutku, nabrałbym może haniebnego zwyczaju zebrania o to u Albertyny. Wyskakiwałem z łóżka, kiedy ona była już u siebie, błędziłem po korytarzu w nadziei, że wyjdzie i zawoła mnie. Stałem nieru-

chomy pod drzwiami w obawie, że mógłbym nie dosłyszeć słabego wołania; wracałem na chwilę do pokoju, aby sprawdzić, czy Albertyna nie zostawiła szczęśliwie jakiejś chustki, woreczka, czegośkolwiek: mógłbym wówczas, niby to bojąc się, że jej to może być potrzebne, mieć pretekst pójścia do niej. Nie, nic. Wracałem czatować pod drzwiami, ale przez szczelinę już nie było widać światła. Albertyna zgasiła, położyła się, ja tkwiłem nieruchomy, spodziewając się czegoś — nie wiadomo czego — co nie przychodziło, i w długi czas potem, przemarznięty, wracałem, aby się wsunąć pod kołdrę, i płakałem całą noc.

Czasami uciekałem się do podstępny, którym zyskiwałem pocałunek Albertyny. Wiedząc, jak szybko zasypia, kiedy się położy (ona wiedziała także, bo instynktownie, z chwilą gdy się miała wyciągnąć, zdejmowała pantofelki — prezent ode mnie — i pierścione, który kładła obok, jak robiła w swoim pokoju przed spaniem), wiedząc, jak głęboko śpi i jak tkliwe ma przebudzenie, niby to szedłem poszukać czegoś i kładłem ją na swoim łóżku. Kiedy wracałem, już spała: miałem przed sobą ową inną kobietę, którą stawała się Albertyna oglądana wprost, *en face*. Ale zmieniała szybko osobowość, kiedy się wyciągnął koło niej, znów mając ją z profilu. Mogłem włożyć dłoń w jej rękę, kłaść dłoń na jej ramieniu, na policzku; wciąż spała.

Mogłem brać jej głowę, przechylać ją, położyć ją na swoich wargach, otoczyć sobie szyję jej ramionami; dalej spała, tak jak zegarek wciąż idzie, jak zwierzę żyje dalej bez względu na nadaną mu pozycję, jak pnąca się roślina, powój, dalej wypuszcza gałązki, zaczepiwszy się o cokolwiek. Jedynie oddech jej zmieniał się od każdego dotknięcia, tak jakby była instrumentem, na którym bym wykonywał modulacje, wydobywając odmienne nuty to z tej, to z innej struny. Zazdrość moja opadała: czułem, że Albertyna stała się stworzeniem, które oddycha, które nie jest niczym innym. Świadczył o tym regularny oddech, wyrażający ową czysto fizjologiczną funkcję, która, na wskroś płynna, nie posiada gęstości ani słowa, ani milczenia; oddech jej, nieświadomy niczego złego, wydobywający się raczej z pustej trzciny niż z ludzkiej istoty, był naprawdę rajski, był dla mnie niby czysty śpiew aniołów. W takich chwilach odczuwałem Albertynę jako istotę wyzwoloną ze wszystkiego, nie tylko materialnie, ale moralnie. A jednak — powiadałem sobie nagle — musi w tym oddechu igrać wiele imion podszeptanych przez pamięć. Czasem nawet do tej muzyki dołączał się głos ludzki. Albertyna wymawiała jakieś słowa. Jakżebym chciał pochwycić ich sens! Zdarzało się, że imię osoby, o którejśmy mówili i o którą byłem zazdrosny, zjawiało się na wargach Albertyny, ale nie zadając mi bólu, bo wspomnienie, które sprowadziło tam owo imię, zdawało się jedynie echem naszej rozmowy. Mimo to pewnego wieczora, z zamkniętymi oczami, na wpół rozbudzona, rzekła, zwracając się do mnie: „Anna”. Ukryłem wzruszenie. „Ty śniesz, ja nie jestem Anna” — rzekłem, śmiejąc się. Uśmiechnęła się także: „Ależ nie, chciałam spytać, co mówiła Anna”. — „Raczej myślałbym, żeś ty czasem tak leżała koło niej”. — „Ale nie, nigdy” — rzekła. Ale zanim to wyrzekła, ukryła na chwilę twarz w dłoniach. Milczenie Albertyny było wtedy tylko zasłoną; powierzchowna jej czułość kryła w głębi tysiąc wspomnień, które by mnie rozdarły; życie jej pełne było owych faktów, których żartobliwa opowieść wypełnia wesołą plotką codzienne nasze gawędy na temat innych osób, obojętnych. Ale dopóki jakaś istota tkwi w naszym sercu, wszystko to zdaje się nam tak cennym oświetleniem jej życia, że aby poznać ten podziemny świat, oddalibyśmy chętnie nasze. Wówczas sen Albertyny wydawał mi się cudownym i magicznym światem, gdzie chwilami z głębi ledwie że przejrzystego żywiołu wznosi się wyznanie niepojętej tajemnicy.

Ale zazwyczaj, kiedy Albertyna spała, zdawała się odzyskiwać niewinność. W pozie, którą jej nadałem, ale którą jej sen szybko sobie przyswoił, wyglądała tak pełna ufności! Twarz jej straciła wszelką chytrą lub pospolitą; wyciągała ku mnie ramię, opierała na mnie rękę, zdawało się, że istnieje między nami zupełna harmonia, nierozzerwalne przywiązanie. Sen jej zresztą nie odłączał jej ode mnie i zostawiał w niej poczucie naszej czułości; raczej unicestwiał wszystko inne; całowałem ją, mówiłem, że się pójde trochę przejść, ona rozchyłała oczy, mówiła zdziwiona — i w istocie, była już noc: „Ale gdzie ty teraz idziesz, kochanie”, nazywając mnie po imieniu, i natychmiast zasypiała na nowo. Sen jej był tylko jak gdyby wymazaniem reszty życia, gładkim milczeniem, z którego zrywały się od czasu do czasu poufale i czule słowa. Składając te słowa, stworzyłyby się

rozmowę bez obcego aliażu⁷⁶, sekretne współzycie czystej miłości. Ten spokojny sen czarował mnie tak, jak czaruje matkę dobry sen dziecka. I sen Albertyny był w istocie snem dziecka. Przebudzenie również tak naturalne, tak czule — zanim nawet spostrzegła się, gdzie jest — że czasami zadawałem sobie z przestachem pytanie, czy ona, nim zamieszkała u mnie, przywykła nie sypiać sama i otwierając oczy, znajdować kogoś przy swoim boku. Ale jej dziecinny wdzięk przeważał. I znów jak matka byłem zachwycony, że się budzi zawsze taka wesoła. Po chwili odzyskiwała świadomość, znajdowała urocze i bezładne słówka, istny świergot. Niby przez kompensatę szyja jej, zazwyczaj podrzędna, teraz prawie za piękna, nabrała olbrzymiej ważności, którą oczy jej, zamknięte przez sen, straciły: jej oczy, moi stali partnerzy rozmowy, do których nie mogłem się już zwracać z chwilą opadnięcia powiek. Tak samo jak zamknięte oczy dają twarzy niewinną i poważną urodę, usuwając wszystko to, co aż nadto wyrażają spojrzenia, tak samo w słowach — znaczących, ale przerywanych milczeniem — jakie Albertyna znajdowała, budząc się, była czysta piękność, nie skalana co chwilę, jak rozmowa, gotowymi zwrotami, oklepankami, błędami. Zresztą kiedyś się decydowałem obudzić Albertynę, mogłem to uczynić bez obawy, wiedziałem, że jej przebudzenie nie miało by związku ze spędzonym dopiero co przez nas wieczorem, ale wstałoby z jej snu, jak z nocy wstaje rano. Z chwilą gdy z uśmiechem rozchyliła powieki, poddawała mi usta: zanim jeszcze coś powiedziała, kosztowałem ich świeżości, kojącej jak świeżość ogrodu, cichego jeszcze przed wschodem słońca.

Nazajutrz po owym wieczorze, kiedy Albertyna powiedziała, że może pójdzie, a potem, że nie pójdzie do Verdurinów, obudziłem się wcześniej: jeszcze byłem na wpół uspiomy, kiedy radość moja okazała mi, że nawiedził nas — w pełni zimy — dzień wiosenny. Na dworze popularne melodie subtelnie napisane na rozmaite instrumenty, od rogu sklejacza porcelany lub trąbki wyplatacza krzesel aż do fujarki koziarza, który w ten piękny dzień podobny był do sycylijskiego pasterza, lekko instrumentowały rano w „uwerturę na dzień świąteczny”. Słuch, ten rozkoszny zmysł, przynosi nam towarzystwo ulicy, odtwarzając wszystkie jej linie, rysując przesuwane kształty, ukazując nam ich kolor. Żelazne stopy piekarza, mleczarza, zapuszczane wieczorem na wszystkie możliwości kobiecego szczęścia, podnosiły się teraz niby lekkie dźwigi statku, który gotuje się odpłynąć i prując przezroczyste morze, pomknie po marzeniu młodych pracowników. Ten łoskot podnoszonej żaluzji byłby może w innej dzielnicy jedyną moją przyjemnością. Ale w tej cieszyło mnie sto innych odgłosów; nie chciałem, aby przydługi sen pozbawił mnie bodaj jednego. Czar starych arystokratycznych dzielnic polega na tym, że są równocześnie ludowe. Jak niegdyś różne rzemiosła gnieździły się koło katedr w pobliżu ich portalu (który zachował niekiedy nawet ich nazwę, np. portal katedry w Rouen zwie się Portalem Księgarzy, wystawiających koło niego, pod gołym niebem, swoje towary), tak i tutaj wszystkie rzemiosła — ale domokrężne — przeciągały koło szlachtetnego pałacu Guermantes, przywołując chwilami na myśl dawną eklezjastyczną⁷⁷ Francję. Bo apel ich, zwrócony do sąsiednich domków, nie miał — z rzadkimi wyjątkami — nic z piosenki. Różnił się od niej tak, jak ledwie zabarwione modulacjami parlando⁷⁸ *Borysa Godunowa* lub *Peleasa*⁷⁹; ale z drugiej strony przypominał psalmodie⁸⁰ księży w czasie nabożeństwa, którego te uliczne sceny są jedynie naiwnym, jarmarczonym, a jednak na wpół liturgicznym odpowiednikiem.

Nigdy nie znajdowałem w nich tyle przyjemności co od czasu, gdy Albertyna mieszkała ze mną; zdawały mi się niby radosny sygnał jej przebudzenia; wciągając mnie w życie ulicy, lepiej dawały mi czuć kojącą władzę drogiej obecności, tak stałej, jak tego pragnąłem. Niektóre wykrzykiwane przysmaki, których ja nie cierpiałem, lubiła Albertyna; po czym Franciszka posyłała po nie lokajczyka, może trochę upokorzonego, że się musi mieszać z plebem. Krzyki te, bardzo wyraźne w spokojnej dzielnicy (gdzie nie były już źródłem smutku dla Franciszki, a stały się źródłem słodyczy dla mnie), dochodziły mnie

⁷⁶ aliaż (daw., z fr.) — stop metali; tu: domieszka. [przypis edytorski]

⁷⁷ eklezjastyczny — związany z Kościołem, kościelny. [przypis edytorski]

⁷⁸ parlando (wł., muz.) — rodzaj melodeklamacji, wykonanie utworu zbliżone do mowy z zachowaniem wysokości określonych w kompozycji dźwięków. [przypis edytorski]

⁷⁹ *Borys Godunow*, *Peleas* — *Borys Godunow*: opera Modesta Musorgskiego z librettem Aleksandra Puszkina, powstała w latach 1868–1872; *Peleas i Melisanda*: operowy dramat liryczny Claude’a Debussy’ego z 1902 do własnego libretta wg dramatu Maurice’a Maeterlincka. [przypis edytorski]

⁸⁰ psalmodia — śpiewanie i intonowanie psalmów. [przypis edytorski]

każdy ze swoją odmienną modulacją; recitatywy skandowane przez tych prostych ludzi tak, jakby były frazowane w tak popularnej muzyce *Borysa*, gdzie początkową intonacją ledwo zmienia infleksja⁸¹ nuty pochyłającej się ku innej — muzyka tłumy, raczej mowa niż muzyka. Było to: „Hej, hej, tutki, dwa sou⁸² za tutkę!”, sprawiające, że się rzucano do tutek z owymi okropnymi drobnymi mięczakami, które gdyby nie Albertyna, brzydkiłyby mnie, nie mniej zresztą niż ślimaki, które wykrzykiwano o tej samej porze. Tu również przekupień przywodził na myśl ledwie że zabarwiony śpiewem recitatyw *Musorgskiego*, ale nie tylko to. Bo oznajmiwszy niemal *parlando*: „Ślimaki, świeże piękne ślimaki”, przekupień przechodził w zamglony smutek *Maeterlincka*, przełożony na muzykę *Debussy’ego* w jednym z owych bolesnych finałów, w których autor *Peleasa* zbliża się do *Rameau*⁸³: „Jeśli mam ulec, tobież przysłało być moim zwyczajcą?”, i dodawał ze śpiewną melancholią: „Sześć sou za tuzin...”.

Zawsze mi było trudno pojąć, czemu te tak konkretne słowa były „westchnięte” na tonie tak rozbieżnym z treścią, tajemniczym jak sekret sprawiający, że wszyscy mają smutne miny w starym pałacu, w który *Melisanda*⁸⁴ nie zdołała wnieść radości; na tonie głębokim jak myśl starego *Arkela*, który stara się w najprostszych słowach zawrzeć całą mądrość i cały los. Ten same nuty, na których wznosi się z rosnącą słodyczą głos starego króla *Allemonde* lub głos *Golauda*, aby powiedzieć: „Nie wiadomo, co się tutaj dzieje; może się to wydawać dziwne, nie ma może bezcelowych zdarzeń” lub: „Nie trzeba się bać; to tylko biedne tajemnicze stworzonko, jak wszyscy...”, pozwalały handlarzowi ślimaków powtórzyć w mglistej kantylenie⁸⁵: „Sześć sou, sześć sou za tuzin...”. Ale ten metafizyczny lament nie miał czasu zamrzeć na krawędzi nieskończoności: przerywała go energiczna trąbka. Tym razem nie chodziło o rzeczy jadalne; libretto brzmiało: „Strzyże psy, trzebi koty, obcina uszy i ogony...”.

Niewątpliwie fantazja, dowcip każdego przekupnia lub przekupki wprowadzały często warianty w tekst wszystkich tych melodii, które słyszałem z łóżka. Mimo to uświęcona pauza dzieląca w połowie słowo, zwłaszcza kiedy się powtarzało dwa razy, nieuchronnie budziła wspomnienie starych kościołów. W wózek swoim zaprzężonym w oślicę, którą zatrzymywał przed każdym domem, aby wejść w podwórze, handlarz starzyzny, uzbrojony w bat, psalmodiował: „Ubrania, kupuję ubrania, ubra...a...nia”, z tą samą pauzą między dwiema ostatnimi zgłoskami ubrania, co gdyby intonował „*Per omnia saecula saeculo...rum*”⁸⁶ lub „*Requiescat in pa...ce*”⁸⁷, mimo że nie wierzył zapewne w wieki-istość swoich ubrań, ani nie ofiarowywał ich jako całun na ostatni spoczynek. I tak samo, ponieważ od tej rannej godziny motywy zaczynały się krzyżować, handlarka jarzyn, popychając wózek, używała w swojej litanii gregoriańskiego podziału:

Jarzyna, jarzyna zielona,
Piękne, duże karczochy,
Kar...czochy...

mimo iż z pewnością nie wiedziała nic o antyfonariuszu⁸⁸ i o siedmiu tonach, z których cztery symbolizują wiedzę *quadrivium*, a trzy *trivium*⁸⁹.

⁸¹ *infleksja* (z łac.) — załamywanie się. [przypis edytorski]

⁸² *sou* — dawna drobna moneta francuska (dwudziesta część franka). [przypis edytorski]

⁸³ *Rameau, Jean-Philippe* (1683–1764) — kompozytor i teoretyk muzyki okresu baroku, autor oper, baletów i utworów klawesynowych. [przypis edytorski]

⁸⁴ *Melisanda, Arkel, Golaud* — postacie z opery *Peleas i Melisanda* Claude’a *Debussy’ego*, której akcja rozgrywa się mitycznym królestwie *Allemonde* w okresie wczesnego średniowiecza. [przypis edytorski]

⁸⁵ *kantylena* (muz.) — rodzaj śpiewnej melodii, utrzymanej w łagodnym, lirycznym stylu. [przypis edytorski]

⁸⁶ *Per omnia saecula saeculo...rum* (łac.) — Przez wszystkie wieki...ków. [przypis edytorski]

⁸⁷ *Requiescat in pa...ce* (łac.) — Niech spoczywa w poko...ju. [przypis edytorski]

⁸⁸ *antyfonariusz* a. *antyfonarz* — księga zawierająca zbiór *antyfon*, tj. krótkich, najczęściej jednozdaniowych, tekstów modlitewnych liturgii chrześcijańskiej, przeplatających hymny, psalmy lub litanie wykonywane naprzemiennie przez dwa chóry lub przez przewodnika i chór. [przypis edytorski]

⁸⁹ *quadrivium i trivium* (łac.) — tradycyjne łacińskie nazwy grup dziedzin wiedzy obejmujących łącznie tzw. siedem sztuk wyzwolonych, stanowiących podstawę kształcenia w średniowiecznej Europie; na *trivium*, nauczone na poziomie niższym, składały się trzy przedmioty humanistyczne (gramatyka, retoryka i dialektyka), natomiast *quadrivium*, wykładane na poziomie wyższym, obejmowało cztery przedmioty matematyczne (arytmetyka, geometria, astronomia oraz muzyka). [przypis edytorski]

Dobytą z fujarki, z kobzy melodie Południa, którego blask harmonizował z dziesiątą pogodą, człowiek w bluzie, w baskijskim berecie, trzymając w ręku bykowiec, przystawał pod domem. Był to koziały z dwoma psami, przed nim stado kóz. Ponieważ przybywał z daleka, zjawiał się w naszej dzielnicy późno; i kobiety cisnęły się kubkami po mleko, które miało dać siłę ich malcom. Ale z pirenejskimi melodiami dobroczynnego pastucha mieszał się już dzwonek szlifierza, który krzyczał: „Noże, nożyczki, brzytwy”. Nie mógł z nim konkurować majster ostrzący piły; pozbawiony instrumentu, poprzestawał na wywoływaniu: „Kto ma piły do ostrzenia, ostrzę piły, ostrzę”, podczas gdy weselszy pobiela, wyliczywszy kociołki, garnki, wszystko, co pobiela, intonował refren: „Tam-tam-tam — pobiela — od dołu do góry — zatykam wszystkie dziury — dziury, dziury”; a małe Włoszeta, obnosząc czerwono malowane blaszane pudła, gdzie były oznaczone wygrywane i przegrywane numery i tarczając grzechotką, proponowały: „Panie, paniusie, zabawa — zabawa dla pań”.

Franciszka przyniosła „Figaro”. Jeden rzut oka pozwolił mi zdać sobie sprawę, że mój artykuł wciąż nie poszedł. Oznajmiła, że Albertyna pytała, czy może wejść; kazała na wszelki wypadek powiedzieć, że poniechała wizyty u Verdurinów i wybiera się, jak jej radziłem, na *matinée*⁹⁰ do Trocadéro — to, co nazwano by dzisiaj, ale na mniejszą skalę, „galową popołudniówką”. Przedtem chce się konno przejechać z Anną. Teraz, kiedy wiedziałem, że Albertyna wyrzekła się intencji, może grzesznej, odwiedzenia pani Verdurin, oświadczyłem, śmiejąc się: „Niech przyjdzie” i pomyślałem, że może iść gdzie chce i że mi to jest obojętne. Wiedziałem, że pod wieczór, kiedy zapadnie zmierzch, będę zapewne innym człowiekiem, smutnym, przywiązanym do najmniejszych kroków Albertyny wagę, której o tej rannej godzinie i w tak piękny czas były pozbawione. Bo obojętności mojej towarzyszyła jasna świadomość przyczyny; towarzyszyła — ale nie zmieniała jej.

— Franciszka zapewniła mnie, że nie śpisz i że ci nie przeszkodzi — rzekła Albertyna, wchodząc. Że zaś, obok obawy przeziębienia mnie przez niewczesne otwarcie okna, największą obawą Albertyny było wejść do mnie, kiedy drzemał, dodała: — Mam nadzieję, że nie weszłam nie w porę. Bałam się, żebyś mi nie powiedział: Któryż hardy śmiertelnik szuka tutaj zgonu?

I rozśmiała się owym śmiechem, który mnie tak wzruszał. Odpowiedziałem, podejmując żart:
Czyż dla ciebie ten rozkaz surowy wydano?

I z obawy, aby go kiedyś nie przekroczyła, dodałem: — Chociaż byłbym wściekły, gdybyś mnie obudziła.

— Wiem, wiem, nie bój się — rzekła Albertyna.

Dla złagodzenia dodałem, wciąż kontynuując scenę z *Estery* (podczas gdy na ulicy trwały wciąż krzyki, zupełnie zmaćcone naszą rozmową):

Jedynie w tobie widzę uroków tak dużo,
że mnie czarują zawsze, a nigdy nie nużą,

(przy czym pomyślałem w duchu: „Owszem, nużą mnie często”). I przypominając sobie to, co Albertyna powiedziała w wilię⁹¹, dziękując przesadnie, że się wyrzekła Verdurinów (po to, aby mnie innym razem tak samo usłuchała w tej czy innej sprawie), rzekłem:

— Albertyno, nie masz zaufania do mnie, który cię kocham, a masz je do tych, co cię nie kochają. — (Jakby to nie było naturalne strzec się tych, co nas kochają, jedynych mających interes w tym, aby nas okłamać dla dowiedzenia się czegoś, dla zapobieżenia czemuś!). I dodałem te kłamliwe słowa: — Nie wierzysz w gruncie, że cię kocham; to zabawne. W istocie, nie ubóstwiam cię.

Albertyna skłamała z kolei, powiadając, że ufa tylko mnie, a potem zapewniała mnie szczerze, że wie, iż ją kocham. Ale te słowa nie wykluczały przeświadczenia, że kłamię i że ją szpieguję. Przebaczała mi to widocznie, tak jakby w tym widziała uprzykrzony skutek wielkiej miłości lub jakby sama bardziej się poczuwała do winy.

⁹⁰*matinée* (fr.) — tu: spotkanie, które odbywa się przed obiadem, po południu. [przypis edytorski]

⁹¹*wilia* (daw.) a. *wigilia* — dzień poprzedzający jakieś wydarzenie, przeddzień. [przypis edytorski]

— Proszę cię, kochanie — rzekłem — żadnych wołyżów⁹², jak kiedyś. Pomyśl, Albertyno, gdyby ci się zdarzył wypadek!

Nie życzyłem jej oczywiście nic złego. Ale cóż za radość, gdyby razem ze swoimi końmi wpadła na szczęśliwą myśl pojechania licha wie gdzie, gdzie się jej podoba, i gdyby już nigdy nie wróciła! Jakby to uprościło wszystko, gdyby zechciała żyć sobie szczęśliwie gdzie indziej; nie chciałbym nawet wiedzieć gdzie!

— Och, ja wiem — rzekła Albertyna — że ty byś mnie nie przeżył ani o dwa dni, że byś się zabił.

W ten sposób wymienialiśmy kłamiwe słowa. Ale prawda głębsza niż ta, którą byśmy sobie powiedzieli, gdybyśmy byli szczerzy, może czasami wyrazić się inną drogą niż droga szczerości.

— Czy ci nie przeszkadzają wszystkie te uliczne hałasy? — spytała. — Ja je ubóstwiam. Ale ty masz sen tak lekki!

Miałem, przeciwnie, czasem sen bardzo głęboki (wspominałem już o tym, ale wypadek, który nastąpi, każe mi przypomnieć tę okoliczność), zwłaszcza kiedy zasnął dopiero rano. Ponieważ taki sen był przeciętnie cztery razy bardziej krzepiący, wydaje się on śpiącemu cztery razy dłuższy, wówczas gdy był cztery razy krótszy. Wspaniała omyłka pomnożenia przez 16, która daje przebudzeniu tyle uroku i wnosi w nasze życie istną odnowę, podobną do owych wielkich zmian rytmu sprawiających w muzyce, że w *andante*⁹³ ósemka trwa tak długo jak cała nuta w *prestissimo*⁹⁴ — zmian nieznanym w stanie jawy. Życie na jawie jest prawie zawsze jednakie — stąd rozczarowania podróży. Zdaje się wprawdzie, że marzenie senne wytwarza się z najgrubszego materiału życiowego, ale ta materia jest w nim przerobiona, ugnieciona, rozpostarta tak, że żadna z obowiązujących na jawie granic czasu nie przeszkadza jej wyciągnąć się do wysokości tak olbrzymich, że się jej nie poznaje. W pewne poranki, kiedy mi się zdarzyło to szczęście, kiedy gąbka snu starła z mojego mózgu znaki codziennych zajęć wypisane w nim niby na czarnej tablicy, trzeba mi było zbudzić do życia moją pamięć; wysiłkiem woli można się nauczyć na nowo tego, co amnezja snu lub apoplektycznego udaru pogrzyła w zapomnieniu i co się odradza stopniowo, w miarę jak się oczy otwierają lub paraliż ustępuje. Przeżyłem w kilka minut tyle godzin, że zawoławszy Franciszkę i chcąc przemówić do niej językiem zgodnym z rzeczywistością i dostosowanym do godziny, musiałem wprawić w ruch wszystkie wewnętrzne hamulce, aby nie rzec: „I co, Franciszko, już piąta, a ja Franciszki nie widziałem od wczoraj po południu”. I aby zdławić swoje marzenia senne, na wspak im i samemu sobie, mówiłem bezwstydnie, zmuszając się do milczenia, coś wręcz przeciwnego: „Franciszko, już dziesiąta!”. Nie mówiłem nawet dziesiąta rano, ale po prostu dziesiąta, iżby ta niewiarygodna dziesiąta zabrzmiała najnaturalniej w świecie. Ale powiedzenie tych słów w miejsce tych, które nadal myślałem ledwie zbudzony ze snu, wymagało ode mnie wysiłku takiego, z jakim ktoś, wysiadając z idącego pociągu i biegnąc chwilę wzdłuż toru, stara się nie upaść. Biegnie chwilę, bo środowisko, które opuścił, było ożywione wielką chyżością w przeciwieństwie do bezwładnego gruntu, z którym stopy jego oswajają się z trudem.

Z tego, że świat snu nie jest światem jawy, nie wynika, aby świat jawy mniej był prawdziwy; przeciwnie. W świecie snu percepcje nasze są tak przeładowane, każda tak pogrubiona warstwą, która ją zdwaja, która ją oślepia bezużytecznie, że nie umiemy wręcz rozróżnić tego, co się dzieje w zamęcie przebudzenia; czy to Franciszka przyszła, czy też ja, znużony wołaniem, poszedłem do niej? Milczenie było w tej chwili jedynym sposobem zamaskowania się, jak w chwili, kiedy nas uwięzi sędzia znający okoliczności dotyczące nas, ale w które nas nie wtajemniczono.

Czy to Franciszka przyszła, czy ja ją zawołałem? Może po prostu Franciszka spała, a ja ją obudziłem? Co więcej, czy Franciszka nie mieści się w mojej piersi, ile że odrębność osób i wzajemny ich stosunek zaledwie że istnieją w tym ciemnym mroku, gdzie realność równie mało jest przejrzysta co w ciele jeżozwierza i gdzie percepcja niemal równa zeru może dać pojęcie o percepcji pewnych zwierząt? Zresztą jeżeli nawet promienne drobiny

⁹²wołyż (daw.) — wołyżerka, popisowa akrobatyczna jazda na koniu. [przypis edytorski]

⁹³*andante* (muz., wł.) — umiarkowanie wolne tempo utworu; także: utwór lub część w takim tempie. [przypis edytorski]

⁹⁴*prestissimo* (muz., wł.) — tempo w muzyce: bardzo szybko. [przypis edytorski]

rozsądku bujają w przejrzystym szaleństwie poprzedzającym owe zbyt ciężkie sny, jeżeli nazwiska Taine'a⁹⁵, George Eliot⁹⁶ nie są tam nieznanne, niemniej świat jawy zachowuje tę wyższość, że go można co rano snuć dalej, nie można zaś co wieczór snuć dalej snu. Ale może istnieją inne światy, realniejsze niż świat jawy? A i tu widzieliśmy, że nawet ten świat jawy zmienia się od każdego przewrotu w sztuce, a co więcej zmienia się równocześnie stopień zdolności i kultury różniący artystę od ciemnego głupca.

I często jedna godzina snu za dużo jest atakiem paraliżu, po którym trzeba odzyskiwać władzę w członkach, uczyć się mówić. Wola nie osiągnęłaby tego. Za wiele się spało, nie istnieje się już. Obudzenie ledwie odczuwamy mechanicznie, bez świadomości, jak rura może odczuć zamknięcie kranu. Następuje po nim życie mniej aktywne niż życie meduzy, w którym równie dobrze uwierzyłoby się, że się wypłynęło z głębi morza lub wróciło z galer, gdyby się w ogóle mogło coś myśleć. Ale wówczas z wysokości niebios pochyła się bogini Mnemotechnia⁹⁷ i w nawyku zażądania białej kawy podaje nam nadzieję zmartwychwstania. A i ten nagły dar pamięci nie zawsze jest tak prosty. Często w pierwszych minutach, w których się osuwamy ku przebudzeniu, mamy tuż koło siebie prawdę rozmaitych realności, w których skłonni jesteśmy wybierać niby w talii kart.

Jest piątek rano i wraca się ze spaceru albo jest pora herbaty nad morzem. Pojęcie snu i tego, że się leży w nocnej koszuli, jest często ostatnim, które się nam następuje.

Zmartwychwstanie nie przychodzi od razu; myślimy, żeśmy zadzwonili, nie zrobiliśmy tego, mieliśmy niedorzeczne słowa. Dopiero ruch przywraca myśl i kiedy się rzeczywiście nacisnęło dzwonek, można rzec powoli, ale wyraźnie: „Już dziesiąta, Franciszko, proszę kawę”. O cudzie! Franciszka nie mogła podejrzewać oceanu nierealności, który mnie opływał jeszcze całego i poprzez który zdolny byłem rzucić to dziwne pytanie. Odpowiadała w istocie: „Jest dziesięć po dziesiątej”. To mi dawało pozór rozsądku i pozwalało nie zdradzić dziwnych rozmów kołyszących mnie bez końca w dni, kiedy mnie nie oddzieliła od życia góra nicości. Wysiłkiem woli wracałem w rzeczywistość. Cieszyłem się jeszcze szczątkami snu, to znaczy jedynej inwencji, jedynej odnowy, jakie istnieją w sposobie opowiadania, ile że opowieści ze stanu jawy, choćby upiękzone przez literaturę, nie zawierają owych tajemniczych różnic będących źródłem piękna. Łatwo mówić o pięknie zrodzonym z opium⁹⁸. Ale dla człowieka nawykłego sypiać jedynie przy pomocy narkotyków, nieoczekiwana godzina naturalnego snu odsłoni poranny ogrom równie tajemniczego, a świeższego krajobrazu. Odmieniając godzinę, miejsce, w którym zasypiamy, sprowadzając sen sztucznie lub przeciwnie, wracając na jeden dzień do snu naturalnego — najdziwniejszego ze wszystkich dla kogoś, kto przywykł do środków nasennych — uzyskujemy w końcu odmiany snu tysiąc razy liczniejsze od odmian goździków i róż wyhodowanych przez ogrodnika. Ogrodnicy stwarzają kwiaty będące niby rozkosznym marzeniem, inne znów podobne do koszmarów. Kiedym zasypiał w pewien sposób, budziłem się, dygocąc, myśląc, że mam odrę, lub — rzecz o wiele bolesniejsza — że babka (o której nie myślałem już nigdy) gryzie się, że ja drwiłem z niej owego dnia w Balbec, kiedy myśląc, iż wnet umrze, chciała, żebym miał jej fotografię. Mimo iż nie spałem, czym prędzej chciałem biec, aby jej tłumaczyć, że mnie źle zrozumiała. Ale już rozgrzałem się, diagnoza odry odpadła, a babka była tak daleko, że myśl o niej nie ścisnęła mi serca. Czasem na te rozmaite stany waliła się nagle ciemność. Czulem lęk, zapuszczając się w czarną aleję, gdzieś słyszał snujących się włóczędzów. Naraz wszczyniała się sprzeczka między policjantem a jedną z dorożkarek, które bierze się z daleka za młodego stangreta. W ciemnościach nie widziałem jej na koźle, ale słyszałem głos, z głosu czulem ładną twarz i młode ciało. Szedłem ku niej w ciemności, aby zanim odjedzie, wsiąść do wehikułu. To było daleko. Szczęściem sprzeczka z policjantem przedłużała się. Dogoniłem pojazd, który jeszcze stał. Ta część alei była oświetlona, widać było woźnicę. Była to w istocie kobieta,

⁹⁵Taine, Hippolyte Adolphe (1828–1893) — francuski filozof, historyk, krytyk i teoretyk kultury; jeden z głównych przedstawicieli pozytywizmu. [przypis edytorski]

⁹⁶George Eliot (pseud.), właśc. Mary Ann Evans (1819–1880) — angielska pisarka należąca do czołowych twórców epoki wiktoriańskiej, autorka powieści cechujących się realizmem i przenikliwością psychologiczną. [przypis edytorski]

⁹⁷mnemotechnia (fr. mnemotechnie) — dziś popr.: mnemotechnika, sztuka zapamiętywania, ogólna nazwa sposobów ułatwiających zapamiętanie, przechowywanie i przypominanie sobie informacji. [przypis edytorski]

⁹⁸opium — wysuszony sok makówek, szeroko stosowany w XIX w. w Europie i USA jako substancja przeciwbólowa, uspokajająca i odurzająca. [przypis edytorski]

ale stara, duża i silna, z siwymi włosami wymykającymi się spod kaszkietu i z czerwoną, trędowną twarzą. Oddaliłem się, myśląc: „Czy to jest los młodości kobiet? Więc jeżeli nagle zapagniemy ujrzeć kobiety niegdyś spotkane, już są stare? Czy upagniona przez nas kobieta jest jak figura w teatrze, gdzie wskutek zasłabnięcia aktorki trzeba przekazać rolę nowej? Ale wówczas to już nie jest ta sama”.

Potem ogarniał mnie smutek. W ten sposób mamy we śnie liczne Litości, niby renesansowe piety⁹⁹, ale nie w marmurze — owszem, nietrwale. Ale mają swoją rację bytu, przypominają nam pewną fizjonomię rzeczy, tkliwszą, bardziej ludzką, której nazbyt jesteśmy skłonni zapominać w zimnym, czasami wrogim rozsądku jawy. I tak przypomniało mi się postanowienie uczynione w Balbec, aby zawsze być miłosiernym dla Franciszki. I bodaj przez cały ów ranek umiałbym się zmusić, aby się nie irytować jej klótniami z kamerdynierem, aby być łagodnym dla Franciszki, której świat tak mało okazał dobroci. Tylko przez ten ranek, a trzeba by sobie stworzyć kodeks nieco stalszy; jak ludy bowiem niedługo rządzą się czystym uczuciem, tak ludzie nie rządzą się wspomnieniem snów. Już ten sen zaczynał się ulatniać. Starając się go sobie przypomnieć, odmalować, ploszyłem go tym bardziej. Powieki nie zamykały już tak szczelnie moich oczu. Gdybym próbował odtworzyć swój sen, otworzyłyby się całkiem. Wciąż trzeba wybierać między zdrowiem i rozsądkiem a rozkoszami ducha. Zawsze miałem tę małoduszność, aby wybierać pierwsze. Zresztą niebezpieczna władza, której się wyrzekałem, była jeszcze niebezpieczniejsza, niż się mniema. Litość, marzenie nie ulatują same. Kiedy tak zmieniamy warunki, w jakich zasypiamy, nie tylko same sny pierzchają, ale ginie również na długie dni, czasem na lata, zdolność nie tylko snienia, ale zaśnięcia. Sen jest boski, ale niestały; lada co go ploszy. Lubi nawyki; stalsze od niego, zatrzymują go co wieczór w poświęconym miejscu, chronią go od wszelkiego wstrząsu; ale kiedy go przemieścimy, kiedy nie jest związany z miejscem, rozwiewa się jak mgła. Podobny jest do młodości i do miłości — nie sposób go już odnaleźć.

W tych rozmaitych snach — wciąż jak w muzyce — piękno rodziło się ze zwiększenia lub zmniejszenia interwału. Cieszyłem się nim, ale w zamian straciłem w tym śnie, mimo iż krótkim, sporo wołań, w których dochodzi do nas krążące życie rzemiosł i wiktuałów paryskich. Toteż zazwyczaj, aby nie tracić nic z tych wołań, siliłem się budzić wcześniej, nie przewidując niestety dramatu, który takie późne przebudzenia się oraz moje drakońsko-perskie prawa rasynowego Assuerusa miały na mnie niebawem sprowadzić.

Oprócz przyjemności, że Albertyna lubiła te krzyki i że niejako ja sam, mimo iż leżąc w łóżku, brałem udział w życiu ulicy, słyszałem w nich jak gdyby symbol atmosfery; symbol niebezpiecznego ruchliwego życia, w którym pozwalałem Albertynie krążyć jedynie pod moją opieką, w rozszerzonej strefie jej niewoli, przerywanej o dowolnej porze po to, aby ją ściągnąć z powrotem do mnie. Toteż najszczerzej mogłem odpowiedzieć Albertynie:

— Przeciwnie, lubię te krzyki, bo wiem, że ty je lubisz!

„Ostrygi, prosto z morza, ostrygi!”

— Och, ostrygi, taką miałam na nie ochotę!

Szczęściem Albertyna przez zmienność lub przez uległość zapomniała szybko swoich pragnień i zanim miałem czas jej powiedzieć, że znajdzie lepsze ostrygi u Pruniera, chciała kolejno wszystkiego, co oznajmiały wykrzykiwania handlarki ryb.

„Krewetki, dobre krewetki, mam raje¹⁰⁰ żywe, żywe raje. Merlany¹⁰¹ do smażenia, do smażenia. Przyszły makrele, makrele świeże, świe-e-że. Makrele dla pań, piękne makrele. Mule¹⁰² świeże, dobre, mule!”

Mimo woli, wołanie: „Przyszły makrele” przejęło mnie dreszczem. Makreła, makrot... Ale ponieważ ta reklama nie mogła się odnosić do naszego szofera, myślałem tylko o rybie (której nie cierpiałem) i niepokój mój nie trwał długo.

— Och, mule! — mówiła Albertyna. — Mam ochotę na mule.

⁹⁹ *pieta* (z wł. *pietà*: miłosierdzie, litość) — w sztukach plastycznych: przedstawienie Matki Boskiej trzymającej na kolanach martwego Jezusa Chrystusa. [przypis edytorski]

¹⁰⁰ *raja* — rodzaj płaszczyki: spłaszczona ryba morska z wąskim ogonem, prowadząca przydenny tryb życia. [przypis edytorski]

¹⁰¹ *merlan* — witlinek, morska ryba podobna do dorsza. [przypis edytorski]

¹⁰² *mule* — zwyczajowa nazwa jadalnych małży (omułków). [przypis edytorski]

— Kochanie, to było dobre w Balbec, ale tutaj to nic nie warte! Zresztą, proszę cię, przypomnij sobie, co Cottard mówił o mulach.

Ale moja uwaga była tym bardziej niewczesna, że już następna przekupka oznajmiała coś, czego Cottard jeszcze surowiej zabraniał: „Sałata rzymska, sałata!”

Ale Albertyna darowała mi rzymską sałatę, byłem jej przyrzekł kupić za kilka dni produkt handlarki wykrzykującej: „Piękne szparagi arzańskie, piękne szparagi”. Tajemniczy głos, po którym spodziewałoby się dziwniejszych propozycji, poddawał: „Beczki pobijać, beczki pobijać!”. Trzeba było się pogodzić z faktem, że chodzi tylko o beczki, bo ten wyraz był prawie całkowicie pokryty krzykiem: „Szyby, szkła-a-rz, szyby stłuczone, do szklarza, szkła-a-rza!” — rozżew gregoriański mniej mi jednak przypominający liturgię niż wołanie szmaciarza, bezwiednie powtarzającego owo nagłe złączenie melodii pośród modlitwy, dość częste w rytuale kościelnym: „*Praeceptis salutaribus moniti et divina institutione formati audemus dicere*”¹⁰³ — powiada ksiądz, zrywając żywo „*dicere*”. Bez obrazy — jak w średniowieczu lud wprost na posadzce kościoła odgrywał farsy i *soties*¹⁰⁴ — owo „*dicere*” przywodził na myśl szmaciarz, kiedy skandując wyrazy, wyrzekł ostatnią sylabę z przyspieszeniem godnym akcentu uświęconego przez wielkiego papieża z VII wieku¹⁰⁵: „Szmaty, żelastwo na sprzedaż” (wszystko to psalmodiowane powoli, zarówno jak sylaby, które następują, gdy dwie ostatnie kończyły się żywiej niż „*dicere*”), „królicze skórki”. — „Walencje, piękne Walencje, świeże pomarańcze”. Nawet skromne pory: „Piękne pory, kupujcie”; cebule: „osiem sou wianuszek, cebule, cebule”, rozpryskiwały się o moje uszy niby echo fal, w których, gdyby była wolna, Albertyna mogłaby się zgubić, i przybierały słodycz jakiegoś: „*Suave mari magno*”¹⁰⁶. „Marchewka, marchewka, dwa sou za pęczek”.

— Och! — wykrzyknęła Albertyna — kapusta, marchewka, pomarańcze! Wszystko chcę! Powiedz Franciszce, żeby to kupiła. Przyrządzi nam marchewkę ze śmietanką. To będzie takie milusie, jeść to wszystko we dwoje, wszystkie te wywoływania wcielić w dobre śniadanko. Och, proszę cię, powiedz lepiej Franciszce, niech usmaży raje na rumianym maśle. To takie dobre.

— Kochanie, już się stało, ale nie siedź już przy oknie, inaczej naprzesz się wszystkim, co obnoszą przekupki.

— Już, już, idę, ale odtąd nie chcę już na obiad nic, tylko to, co będziemy słysze-
li. To takie zabawne. Pomyśleć, że jeszcze trzeba czekać dwa miesiące, nim usłyszymy: „Groszek zielony, słodki, groszek, groszek zielony”. Jak to ładnie powiedziane: „słodki groszek”, wiesz, że ja lubię taki delikatny, delikatny groszek, skąpany w winegrecie; nie ma się uczucia, że się je, takie to świeże jak rosa poranna. Och, albo te śmietankowe serduszka, to jeszcze bardzo daleko: „Dobre serki śmietankowe, śmietankowe serki dobre”. A winogrona z Fontainebleau: „Wino, wino, winogrona”.

A ja myślałem że zgrozą o czasie, który trzeba mi będzie wytrwać z Albertyną aż do pory winogron!

— Słuchaj, powiadam ci, że chcę już jeść tylko to, co usłyszymy, ale robię oczywiście wyjątki. Toteż zastanawiam się, czyby nie zająć do Rebatteta zamówić lody dla nas. Powiesz mi, że to jeszcze nie pora, ale mam taką ochotę!

Wstrząsnęło mną nazwisko „Rebattet”, tym niezawodniej podejrzanego dla mnie z racji tych słów: „zastanawiam się”. Był to dzień, w którym Verdurinowie przyjmowali, od czasu zaś jak Swann nauczył ich, że Rebattet to jest najlepsza cukiernia, tam zamawiali lody i ptifury¹⁰⁷.

¹⁰³*Praeceptis salutaribus moniti et divina institutione formati audemus dicere* (łac.) — formuła mszalna poprzedzająca modlitwę *Ojcze nasz*, we współczesnej wersji polskiej: „Wezwani zbawiennym nakazem i oświeceni pouczeniem Bożym ośmielamy się mówić”. [przypis edytorski]

¹⁰⁴*sotie* (Im: *soties*) — odmiana francuskiej średniowiecznej farsy ludowej, wykonywanej przez zawodowych błaznów, wysławiającej stosunki społeczne i obyczajowe. [przypis edytorski]

¹⁰⁵*akcentu uświęconego przez wielkiego papieża z VII wieku* — papieżowi Grzegorzowi I Wielkiemu, łac. *Gregorius Magnus* (ok. 540–604) tradycja przypisuje uporządkowanie i usystematyzowanie śpiewu liturgicznego, znanego później od jego imienia jako chorał gregoriański. [przypis edytorski]

¹⁰⁶*Suave mari magno* (łac.) — „Miło wielkie morze” (wzburzone wichrem obserwować z brzegu, patrząc na trudy żeglarza), cytat z poematu Lukrecjusza *O naturze wszechrzeczy* (*De rerum natura*) II, 1–2. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*ptifury* (z fr.) — małe ciasteczka deserowe, serwowane do kawy a. herbaty. [przypis edytorski]

— Nie mam nic przeciwko lodom, Albertynko droga, ale pozwól, żebym ja sam zamówił, nie wiem jeszcze, czy to będzie Poiré-Blanche, Rebattet, Ritz; słowem, zobaczę.

— Więc ty wychodzisz? — rzekła nieufnie. (Twierdziła zawsze, że byłaby zachwycona, gdybym więcej wychodził, ale kiedy jakieś moje odezwanie się mogło zwiastować, że nie zostanę w domu, niespokojna mina Albertyny pozwoliła wnosić, iż radość, jaką bym jej rzekomo sprawił, wychodząc jak najczęściej, nie była może zbyt szczerą).

— Może wyjdę, może nie, wiesz, że nigdy nie robię planów. W każdym razie lody to nie jest coś, co obwołują, co obnoszą po ulicy; skąd ci przyszła na nie ochota?

Odpowiedź Albertyny dowiodła mi, ile inteligencji i utajonego smaku rozwinęło się w niej nagle od czasu Balbec. Twierdziła, że zawdzięcza ten dobór słów jedynie mojemu wpływowi, mieszkaniu ze mną, jednakże ja bym tego nigdy nie powiedział, tak jakby mi wyższa siła zabroniła używać kiedykolwiek w rozmowie zwrotów literackich. Może przyszłość Albertyny miała być inna, a moja inna. Miałem niemal przecucie tego, widząc, jak ona się sili używać w mowie obrazów tak „książkowych”, zastrzeżonych, wedle mojego poczucia, na inny użytek, świętszy i jeszcze mi nieznany. Mimo wszystko bardzo mnie to wzruszyło, bo myślałem: „To pewne, że nie powiedziałbym tak jak ona, ale jednak beze mnie nie mówiła by w ten sposób, uległa zatem głęboko mojemu wpływowi, nie może tedy mnie nie kochać, jest moim dziełem”. Mówiła tak:

— W tych wiktuałach wykrzykiwanych na ulicy lubię zwłaszcza to, że coś słyszanego niby fraza muzyczna odmienia przy stole charakter i apeluje do mojego podniebienia. Co się tyczy lodów, mam nadzieję, że je zamówisz w owych niemodnych formach, mających wszystkie możebne kształty architektury: kiedy jem te świątynie, kościoły, obeliski, skały, zawsze oglądam je wprzód niby malowniczą geografę, a potem zmieniam jej malinowe lub waniliowe budowle w chłód na swoim podniebieniu. — Uważałem, że to jest trochę za dobrze powiedziane, ale Albertyna uczuła, iż ja uważam, że to jest dobrze powiedziane, i ciągnęła dalej, zatrzymując się na chwilę przy udatnym porównaniu, aby się wreszcie rozśmiać swoim pięknym śmiechem, który mi był tak okrutny, bo tak rozkoszny. — Mój Boże, boję się, że u Ritza znajdziesz „kolumny Vendôme”¹⁰⁸ z lodów czekoladowych lub malinowych; w takim razie trzeba by ich więcej, aby to wyglądało na kolumny wotywno lub na słupy wzniesione w jakiejś alei na chwałę Chłodu. Robią tam także malinowe obeliski, które będą sterczały w pałacej pustyni mego pragnienia; stopię ich różowy granit w mojej paszczy, którą orzeźwią niczym oaza — i tu buchnął głęboki śmiech, czy to z satysfakcji, że się tak pięknie wysławia, czy przez drwiny z samej siebie, że się posługuje tak konsekwentnym obrazowaniem, czy niestety z fizycznej rozkoszy, że smakuje coś tak dobrego, świeżego, dającego jej jakby namiastkę rozkoszy. — Te lodowate cyple od Ritza — ciągnęła — wyglądają czasem niby jakieś Monte Rosa¹⁰⁹... a nawet przy cytrynowych wolę, żeby nie były monumentalne, raczej nieregularne, urwiste jak góra u Elstira. I nie powinny być zbyt białe, ale trochę żółtawe z tym elstirowskim odcieniem brudnego i bladego śniegu. Choćby nie było ich zbyt dużo, pół porcji, jeżeli chcesz, te cytrynowe lody to są i tak góry sprowadzone do maleńkiej skali, ale wyobraźnia przywraca proporcje, jak dla tych japońskich karłowatych drzewek, w których czuje się i tak, że to są cedry, dęby, jabłuszniki, tak iż posadziwszy je w skrzynie w twoim pokoju, miałabym olbrzymi las schodzący ku rzece, gdzie by się zgubiły małe dzieci. Tak samo u stóp mojej porcji żółtawych cytrynowych lodów dostrzegam wybornie pocztylionów, podróżnych, karetki pocztowe, na które język mój podejmuje się staczać lodowe lawiny, mające je pochłonać — okrutna rozkosz, z jaką to powiedziała, podnieciła moją zazdrość. — Tak samo — dodała — jak podejmuję się tymi wargami zniszczyć, filar po filarze, wenecki kościół z truskawkowego porfiru i zwalić na wiernych to, co ocaleje. Tak, wszystkie te budowle przejdą ze swego kamiennego placu do moich wnętrzności, gdzie ich topniejący chłód już drga. Ale wiesz, nawet bez lodów, nic tak nie podnieca i nie budzi pragnienia, jak anonse jakichś cieplic. W Montjouvain u panny Vinteuil nie było w pobliżu dobrych lodów, ale odbywałyśmy w ogrodzie podróż dokoła Francji, pijąc co dzień inną wodę gazową.

¹⁰⁸kolumna Vendôme — pomnik w formie kolumny wzniesiony na Place Vendôme w Paryżu na rozkaz Napoleona I dla upamiętnienia bitwy pod Austerlitz. [przypis edytorski]

¹⁰⁹Monte Rosa — masyw górski w Alpach Pennińskich, na pograniczu włosko-szwajcarskim, drugi co do wysokości w Alpach; jego nazwa pochodzi od regionalnego słowa *rouése* oznaczającego lodowiec. [przypis edytorski]

Na przykład Vichy, kiedy się ją nalewa, wznosi się z dna białym obłokiem, niksącym i rozplywającym się, gdy się nie pije dość szybko... — Ale słyszeć w ustach Albertyny o Montjouvain było mi zbyt ciężko; przerwałem jej. — Nudzę cię kochanie, no, bądź zdrów...

Co za zmiana od czasu Balbec! Wzywam samego Elstira, czy zdołałby odgadnąć w Albertynie te bogactwa poezji, mimo iż mniej osobliwej i mniej osobistej niż na przykład u Celesty Albaret. Nigdy Albertyna nie zdobyłaby się na styl Celesty; ale miłość, nawet kiedy się na pozór kończy, jest stronnicza. Wolałem malowniczą geografię sorbetów, której dość łatwy wdzięk zdawał mi się racją do kochania Albertyny oraz dowodem, że mam nad nią władzę, że ona mnie kocha.

Kiedy Albertyna wyszła wreszcie, uczułem, jak męcząca była dla mnie ta ustawiczna obecność, niesyta ruchu i życia. Mąciła swoim niepokojem mój sen, przyprawiała mnie o ciągłe przeziębienie, zostawiając otwarte drzwi, kazała mi rozwijać za każdym razem chytrych Szeherazyd¹¹⁰, aby usprawiedliwić to, że jej nie towarzyszę (nie wydając się mimo to zbyt chorym), a z drugiej strony, aby jej narzucić jakieś towarzystwo. Taką pomysłowością perska opowiadaczka bajek opóźniła swoją śmierć, ale ja niestety przyspieszałem swoją. Są w życiu sytuacje, które nie wszystkie rodzą się, jak moja, z zazdrości i ze słabego zdrowia, niepozwalającego dzielić życia czynnej i młodej istoty, ale w których i tak problem dalszej wspólnej egzystencji lub powrotu do dawniejszego oddzielnego życia następuje w sposób niemal lekarski: któremu z dwóch rodzajów spoczynku trzeba zrobić ofiarę (bądź nadal znosząc codzienne przemęczenie, bądź wracając do mąk rozłąki) — spoczynkowi mózgu czy serca?

Byłem w każdym razie bardzo rad, że Anna towarzyszy Albertynie do Trocadéro, bo świeże, bardzo drobne zresztą wydarzenia sprawiały, iż oczywiście wciąż przy tej samej mojej wierze w uczciwość szofera, czujność jego lub bodaj przenikliwość nie wydawały mi się równie zadowalające jak dawniej. Niedawno posłałem z nim Albertynę samą do Wersalu; powiedziała, że jadła śniadanie w „Réservoirs”, szofer natomiast wspomniał o Vatelu. W dniu, kiedy spostrzegłem tę sprzeczność, znalazłem jakiś pretekst, aby — podczas gdy się Albertyna ubierała — pomówić z szoferem (zawsze tym samym, znanym nam z Balbec).

— Wspominał pan, żeście jedli śniadanie u Vatela, a panna Albertyna mówi o „Réservoirs”. Jak to rozumieć?

Szofer odparł:

— Powiedziałem, że jadłem u Vatela, ale nie mogę wiedzieć, gdzie panienka jadła. Opuściła mnie, przybywszy do Wersalu, aby wziąć fiakra; mówi, że woli tak, kiedy nie chodzi o pośpiech.

Wściekałem się już na tę myśl, że Albertyna została sama; ale ostatecznie tylko tyle, ile trzeba, aby zjeść śniadanie.

— Mógł pan przecie — rzekłem pojednawczo, bo nie chciałem okazać wprost, że każę pilnować Albertyny, co byłoby upokarzające dla mnie, i to podwójnie, bo znaczyłoby, że się kryje przede mną — mógł pan przecie zjeść śniadanie, nie mówię z panienką, ale w tej samej restauracji.

— Kiedy panienka zamówiła mnie dopiero na szóstą na Place d'Armes. Nie kazała po siebie zajechać po śniadaniu.

— A! — rzekłem, starając się pokryć przygnębienie. I wróciłem na górę. Zatem więcej niż siedem godzin Albertyna była sama, swobodna. Wiedziałem co prawda, że fiaker nie był jedynie pretekstem, aby się pozbyć nadzoru szofera. W mieście Albertyna wolała jeździć fiakrem, mówiła, że lepszy widok, że cieplej. Bądź jak bądź, spędziła siedem godzin, o których nie dowiem się nigdy nic. I nie śmiałem myśleć o sposobie, w jaki musiała ich użyć. Uważałem, że szofer był bardzo nieogłębny, ale odtąd ufność moja w niego stała się zupełna. Bo gdyby był bodaj trochę w „sitwie” z Albertyną, nie przyznałby się nigdy, że jej zostawił swobodę od jedenastej rano do szóstej wieczór. Mogło być jedno tylko wytłumaczenie tych zwierzeń szofera, ale niedorzeczne. Mianowicie, że jakaś sprzeczka między nim a Albertyną obudziła w nim chęć pokazania jej — za pomocą tej drobnej

¹¹⁰Szeherazada — bohaterka *Księgi tysiąca i jednej nocy*, żona sultana, która co noc opowiadała mężowi kolejną historię, przerywając opowieść w najciekawszym momencie, aby odwlec niezasłużoną karę śmierci. [przypis edytorski]

rewelacji — że potrafi mówić i że po tym łagodnym ostrzeżeniu, o ile nie będzie tańczyła tak, jak on zagra, potrafi jej dać szkołę. Ale to był absurd; trzeba by najpierw przyjąć jakąś nieistniejącą zwadę między nim a Albertyną, a następnie zrobić szantażystę z tego pięknego szofera, który zawsze był taki uprzejmy i tak na miejscu. W dwa dni później przekonałem się zresztą, że umie czuć nad Albertyną dyskretnie i inteligentnie, bardziej niż przypuszczałem przez chwilę w szale podejrzeń. Bo zdoławszy go odciągnąć na stronę i nawiązać do owego epizodu w Wersalu, rzekłem przyjaźnie i swobodnie:

— Pańskie zachowanie się w Wersalu, tak jak mi pan wszystko opowiedział przedwczoraj, było idealne; był pan bez zarzutu, jak zawsze. Ale coś panu powiem, zresztą bez znaczenia. Otóż od czasu jak pani Bontemps powierzyła mi siostrzenicę, czuję się tak odpowiedzialny, tak boję się wypadków, tak sobie wyrzucam, że jej nie towarzyszę, iż wolę, żeby pan wszędzie sam woził Albertynę, pan taki pewny, tak wytrawny, z którym nic się nie może zdarzyć. W ten sposób o nic się nie boję.

Uroczy apostołski szofer uśmiechnął się subtelnie, z ręką spoczywającą na kierownicy w kształcie krzyża. Potem (wypędzając z mojego serca niepokój, którego miejsce zajęła natychmiast radość), rzekł coś, co mnie natchnęło ochotą rzucenia mu się na szyję.

— Niech się pan nie obawia. Nie może się panience nic zdarzyć; kiedy nie siedzi w moim aucie, oko moje biegnie za nią wszędzie. W Wersalu, nic nie pokazując po sobie, zwiedziłem miasto, aby tak rzec, razem z panienką. Z „Réservoirs” udała się do pałacu, z pałacu do Trianon¹¹¹, a ja wciąż jechałem za nią, niby to nie widząc, a co lepsze, że ona mnie nie widziała. Och, gdyby nawet widziała, nie byłoby nieszczęścia. To takie naturalne, że mając cały dzień przed sobą, a nic do roboty, zwiedzam także pałac. Tym bardziej że panienka musiała zauważyć, że ja mam oczytanie i że się interesuję starożytnościami. — Była to prawda, zdziwiłbym się nawet, gdybym wiedział, że on jest w przyjaźni z Morelem, tak dalece przewyższał skrzypka finezją i smakiem. — Ale koniec końców, nie widziała mnie.

— Musiała zresztą spotkać jakieś przyjaciółki, ma ich kilka w Wersalu.

— Nie, cały czas była sama.

— Musiano jej się przyglądać w takim razie, taka efektowna panna, i sama.

— Juścić, że patrzą na nią, ale ona jakby nic nie wiedziała o tym; cały czas wypatruje oczy w przewodniku, a potem na obrazy.

Opowiadanie szofera wydawało mi się tym ściślejsze, że w istocie pocztówki, które Albertyna przesała mi owego dnia z Wersalu, przedstawiały jedną pałac, a druga Trianon. Bacność, z jaką sympatyczny szofer śledził każdy jej krok, wzruszyła mnie bardzo. Jak mógłbym przypuszczać, że to sprostowanie — w formie obszernego postscriptum¹¹² do przedwczorajszych zwierzeń — wynikało stąd, że w ciągu tych dwóch dni Albertyna, zaniepokojona niedyskrecją szofera, skapitulowała i pogodziła się z nim. To mi nie przyszło nawet na myśl. Faktem jest, że opowiadanie szofera, niweczając wszelką obawę, iż Albertyna mogła mnie zdradzić, ostudziło mnie tym samym w stosunku do niej i zmniejszyło moje zainteresowanie jej dniem w Wersalu. Ale sądzę, że wyjaśnienia szofera, który oczyszczając Albertynę, uczynił mi ją tym nudniejszą, nie wystarczyłyby może, aby mnie tak szybko uspokoić. Dwa pryszczki, które przez kilka dni Albertyna miała na czole, może lepiej jeszcze zdołały zmienić moje serdeczne uczucia.

W końcu uczucia te odwróciły się od niej jeszcze skuteczniej (tak dalece, że przypomniałem sobie o istnieniu Albertyny jedynie wtedy, kiedy ją widziałem) pod wpływem osobliwego zwierzenia, jakie mi uczyniła pokojówka Gilberty, spotkana przypadkiem. Dowiedziałem się, że kiedyś bywał u Gilberty co dzień, Gilberta kochała się w pewnym młodym człowieku, z którym widywała się o wiele częściej niż ze mną. Podejrzywałem to przez chwilę wówczas i nawet brałem na spytki tę pokojówkę. Ponieważ wiedziała, że się kocham w Gilbertce, zaprzeczyła wtedy; przysięgała, że nigdy panna Swann nie widuje tego młodego człowieka. Ale teraz, wiedząc, że moja miłość wygasła już od tak dawna, że od lat zostawiłem wszystkie listy Gilberty bez odpowiedzi — a może i dlatego, że nie była już w służbie u niej — sama z siebie opowiedziała mi obszernie epizod, którego nie znałem. To się jej wydawało całkiem naturalne. Sądziłem, przypominając sobie jej ówczesne

¹¹¹ *Trianon* — dawna wioska na przedmieściach Paryża, zamieniona na część parku wersalskiego, w której znajdują się dwa pałace: *Petit Trianon* (Mały Trianon) oraz *Grand Trianon* (Duży Trianon). [przypis edytorski]

¹¹² *postscriptum* (łac.) — dopisek do listu. [przypis edytorski]

zaklęcia, że nie była w tajemnicy. Ależ tak, to ona sama, z rozkazu pani Swann, biegła uprzedzić młodego człowieka, z chwilą gdy ta, którą kochałem, była sama. Którą kochałem wówczas... Ale zastanawiałem się, czy moja ówczesna miłość jest już tak martwa, jak mniemałem, bo to opowiadanie było mi przykre. Ponieważ nie sądzę, aby zazdrość mogła zbudzić miłość umarłą, przypuszczałem, że moje smutne wrażenie wynikało, przynajmniej w części, ze zranionej miłości własnej, wiele bowiem osób, których nie lubiłem i które w tej epoce, a nawet trochę później — bardzo się to zmieniło od owego czasu — zachowywały się w stosunku do mnie wzgardliwie, wiedziało doskonale, że Gilberta robiła ze mnie dudka¹¹³. I to mi nawet kazało zastanawiać się wstecz, czy w mojej miłości do Gilberty nie grała roli miłość własna, skoro tak cierpiałem obecnie, widząc, że wszystkie tkliwe chwile, które mi dawały tyle szczęścia, były w oczach niesympatycznych dla mnie ludzi prostą komedią ze strony Gilberty. W każdym razie, czy to była miłość czy ambicja, Gilberta była prawie umarła we mnie, ale nie całkiem, i ta przykreść tym bardziej nie pozwoliła mi się zbyt troszczyć o Albertynę, zajmującą tak mało miejsca w moim sercu.

Mimo to — aby wrócić do niej (po tak długim nawiasie) i do jej podejrzanego spaceru — odczuwałem pewną przykreść za każdym razem, kiedy przy porządkowaniu papierów oczy moje padały na pocztówki z Wersalu. Zatem można mieć serce równocześnie rozdarte dwiema zazdrościami krzyżującymi się z sobą, każdą w stosunku do innej osoby? I przyszło mi na myśl, że gdyby szofer nie był tak porządnym człowiekiem, zgodność jego drugiej wersji z pocztówkami Albertyny niewiele by znaczyła, bo cóż się wysyła z Wersalu, jeśli nie pałac i nie Trianon, o ile pocztówek nie wybierał esteta zakochany w jakimś posągu lub głupiec, wybierający jako „widok” stację konnego tramwaju lub dworzec kolei. A i to niesłusznie mówię „głupiec”, bo takie pocztówki nie zawsze kupuje jakiś głupiec, ot na chybił trafił, jako dokument bytności w Wersalu. Przez dwa lata ludzie inteligentni, artyści uważali, że Sienna, Wenecja, Grenada to jest piła, i mówili o najlichszym omnibusie¹¹⁴, o lada wagonie: „O, to jest piękne!”. Potem ten gust minął jak inne. Nie wiem nawet, czy nie wrócono do pojęcia „świętokradztwa, jakim jest niszczenie szlachetnych zabytków przeszłości”. W każdym razie, wagon pierwszej klasy przestał być uważany *a priori* za coś piękniejszego od św. Marka¹¹⁵ w Wenecji. Mówiono wprawdzie: „W tym jest życie, oglądać się wstecz to jest rzecz sztuczna”; ale nie wyciągano z tego zdecydowanych wniosków.

Na wszelki wypadek, dając pełnym zaufaniem szofera i chcąc, by Albertyna nie mogła go posiać w drodze (przy czym on nie ważyłby się odmówić, aby nie uchodzić za szpiega), nie pozwalałem jej już jeździć na spacer inaczej niż pod opieką Anny, podczas gdy przez jakiś czas sam szofer mi wystarczał. Pozwoliłem jej nawet owego czasu (czego bym się nie odważył zrobić później) wybrać się na trzy dni samej z szoferem do Balbec, tak bardzo miała ochotę odbyć tę drogę na samym podwoziu, z maksymalną szybkością. Trzy dni, przez które byłem bardzo spokojny, mimo iż deszcz pocztówek, które mi przesyłała, doszedł mnie, z powodu fatalnego funkcjonowania poczt bretońskich (dobrych w lecie, ale widocznie kulejących w zimie), dopiero w tydzień po powrocie Albertyny i szofera, tak wytrzymałych, że jeszcze rano po powrocie odbyli, jakby nigdy nic, codzienny spacer.

Byłem zachwycony, że Albertyna idzie dziś do Trocadéro na ten „galowy” poranek, a zwłaszcza uspokojony tym, że towarzyszy jej Anna.

Porzucając te myśli teraz, kiedy Albertyna wyszła, stanąłem chwilę w oknie. Zrazu była cisza, w której gwizdek przekupnia flaków i trąbka tramwajowa wstrząsnęły powietrze w różnych oktawach, niby ślepy stroiciel fortepianu. Stopniowo mogłem rozróżnić krzyżujące się motywy, do których dołączały się nowe. Był i nowy gwizdek, sygnał jakiegoś przekupnia (nigdy nie zgadłem, co on sprzedawał), gwizdek ściśle podobny do gwizdka tramwaju, że zaś nie unosiła go szybkość, zdawało się, że to jest jakiś jeden tramwaj nieobdarzony ruchem lub wykolejony, unieruchomiony, krzyczący raz po raz

¹¹³dudek (daw., pot.) — głupiec. [przypis edytorski]

¹¹⁴omnibus (łac. dosł.: dla wszystkich) — dawny środek komunikacji (XVII–XIX w.), duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, kursujący w miastach lub między miastami. [przypis edytorski]

¹¹⁵św. Marek w Wenecji — plac św. Marka ze znajdującą się przy nim bazyliką św. Marka i będącą symbolem miasta dzwonnica św. Marka (*Campanile di San Marco*), najbardziej znane miejsce Wenecji, otoczone cennymi zabytkami architektury. [przypis edytorski]

niby zwierzę, które umiera. I miałem wrażenie, że gdybym miał kiedyś opuścić tę arystokratyczną dzielnicę — o ile bym jej nie zamienił na całkiem ludową — ulice i bulwary w centrum (gdzie handel owoców, ryb itd., skupione w wielkich sklepach spożywczych, czyniły czymś zbędnym wywoływania przekupniów, których by się zresztą nie słyszało) zdawałyby mi się bardziej martwe, niemieszkalne, odarte, odcedzone ze wszystkich tych litanii drobnych przemysłów i wędrownych traktierni¹¹⁶, pozbawione orkiestry czarującej mniej od rana.

Przechodziła trotuarem kobieta niezbyt elegancka (lub zeszpecona modą), zbyt jasna w swoim sakpalcie¹¹⁷ z koziej sierści; ale nie, to nie była kobieta, to był szofer, który opatulony w kozią skórę szedł do garażu. Wyrwawszy się z wielkich hoteli, skrzydlaci strzelcy, mieniący się barwami, co tchu pędzili na rowerach ku dworcom, aby złapać podróżnych przybyłych rannymi pociągami. Chrypliwe skrzypce znaczyły czasem przejazd samochodu, a czasem to, że nie dość nałalem wody do elektrycznego imbryka. W pełni symfonii detonowała jakaś niemodna melodia: luzując sprzedawczynię cukierków, która zazwyczaj akompaniowała sobie na grzechotce, handlarz zabawek, do którego trąbki przy-mocowany był pajac fikający na wszystkie strony, obnosił inne pajace i nie troszcząc się o rytualny zaśpiew Grzegorza Wielkiego, o zreformowaną kadencję¹¹⁸ Palestriny¹¹⁹ i liryczną frazę współczesną, intonował pełnym głosem, niby zapóźniony zwolennik czystej melodii: „Chodźcie tatusie, chodźcie mamusie, ucieszcie wasze dzieci, patrzcie, jak leci, jeden drugi trzeci. Tra- la-la-la. Tra-la-la-laire, tra-lala-la-la-la. Dalej, dzieci, tutaj!”. Małe Włoszeta w beretach nie próbowały walczyć z tą *aria vivace*¹²⁰ i w milczeniu ofiarowały swoje statuetki. Ale nagle piszczałka zmuszała do odwrotu handlarza zabawek, przy czym śpiewał coraz mętniej, mimo że *presto*¹²¹: „Chodźcie, tatusie, chodźcie mamusie”. Czy owa piszczałka to był jeden z dragonów, których słyszałem co rano w Doncières? Nie, bo potem następowały słowa: „Naprawiam fajans, porcelanę. Naprawiam szkło, marmur, kryształ, kość słoniową i starożytności. Naprawiam!” U rzeźnika, gdzie na lewo lśniła aureola słońca, a na prawo wisiał cały wół, czeladnik rzeźnicki, bardzo wysoki i szczupły, z włosami blond, z szyją wychylającą się z błękitnego kołnierza, układał z zawrotną szybkością i zbożną sumiennością po jednej stronie wspaniałe filety wołowe, po drugiej zrazówkę najgorszej jakości, i kładł je na lśniących szalach uwieńczonych krzyżem, z którego spływały zgrabne łańcuszki. Mimo iż później rozkładał już tylko na wystawie nerki, polędwice, rozbratle, wyglądał w istocie raczej na pięknego anioła, który będzie w Dniu Sądu skuteczniał w usługach Boga podział dobrych i złych wedle jakości oraz ważenie dusz. I na nowo wzbijała się ostra i cienka piszczałka, zwiastując już nie zniszczenie, którego się bała Franciszka, patrząc na defiladę pułku kawalerii, ale „reparacje”, oznajmiane przez naiwnego lub jowialnego antykwarza, który w każdym razie bardzo eklektyczny¹²², daleki od specjalizacji, obejmował swoją sztuką najróżniejsze materiały. Piekareczki spieszenie ładowały do koszyków długie bułki chleba przeznaczone na jakieś „proszone śniadanie”, a mleczarki wieszały żywo u haczyków bańki mleka. Czy nasycony tęsknotą obraz tych dziewczątek mogłem uważać za bardzo wierny? Czy nie byłby inny, gdybym mógł utrzymać nieruchomo przez kilka chwil przy sobie jedną z istot, które z wysokości okna widziałem jedynie w sklepie lub pomykające ulicą? Aby oszacować stratę, której wrażenie dawała mi moja klauzura, to znaczy bogactwo, jakie mi nastęczał dzień, trzeba by mi pochwyć na rozległym i żywym fryzie jakąś dziewczuszkę niosącą bieliznę lub mleko, przenieść ją, niby sylwetę z ruchomej dekoracji, w ramę moich drzwi i przyglądać się jej długo, nie bez uzyskania od niej jakiejś informacji, która by mi pozwoliła odnaleźć ją kiedyś; owej fiszki rozpoznawczej, którą ornitolog lub ichtiolog umocowują pod brzuchem ptaków lub ryb, aby wróciwszy im wolność, móc śledzić ich wędrówki.

¹¹⁶traktiernia (daw.) — jadalnia. [przypis edytorski]

¹¹⁷sakpalto (daw.) — lekki płaszcz męski, noszony głównie wiosną lub latem. [przypis edytorski]

¹¹⁸kadencja — w muzyce: sekwencja dźwięków stanowiąca zakończenie utworu lub jego części; w mowie: intonacja opadająca, podkreślająca koniec frazy. [przypis edytorski]

¹¹⁹Palestrina, Giovanni Pierluigi da (1525–1594) — włoski kompozytor muzyki religijnej, autor kompozycji chóralnych *a cappella*; wywarł długotrwały wpływ na rozwój muzyki kościelnej i świeckiej w Europie, zwłaszcza na rozwój kontrapunktu; stworzył polifoniczny styl zwany palestrinowskim. [przypis edytorski]

¹²⁰aria vivace (muz., wł.) — aria w żywym, żwawym tempie. [przypis edytorski]

¹²¹presto (muz., wł.) — tempo w muzyce: spieszenie, szybko. [przypis edytorski]

¹²²eklektyczny — łączący elementy różnych stylów. [przypis edytorski]

Toteż powiedziałem Franciszce, że mam jakieś zlecenie na mieście i żeby mi przysłała jedną z dziewcząt, które wpadały do nas co chwila, zabierając lub odnosząc bieliznę, chleb lub bańki z mlekiem, i przez które Franciszka często coś załatwiała. Postępowałem w tym jak Elstir, który zmuszony siedzieć w pracowni w wiosenny dzień, kiedy świadomość, że lasy pełne są fiołków, rozpieła go chęcią ujrzenia tych kwiatów, posyłał czasem odzwiertną, aby mu kupiła bukietek fiołków. Miał wrażenie, że widzi nie stół, na którym postawił mały roślinny model, ale całe poszycie, gdzie widywał niegdyś tysiącami giętkie łodygi uginające się pod dzióbkami lila; zdawało mu się wręcz, że widzi imaginacyjną strefę, którą zakreślał w jego pracowni przejrzysty zapach czarodziejskiego kwiatu.

Co się tyczy praczek, w niedzielę nie było ani marzenia o tym, żeby przyszła któraś! Dziewczyna z piekarni zadzwoniła niestety w porze, kiedy Franciszki nie było, zostawiła chleb w sieni i poszła. Owocarka miała przyjść dopiero znacznie później. Wszedłem raz do mlecarni po ser i pośród młodych sklepówek zauważyłem jedną, istne szaleństwo blond, wysoką, mimo że bardzo dziewczęcą, która pośród innych dziewcząt zdawała się marzyć w postawie dosyć hardej. Widziałem ją tylko z daleka, przechodząc tak szybko, że nie mógłbym powiedzieć, jak wygląda, chyba to, że musiała rósć za prędko i że głowę jej stroiło runo robiące wrażenie nie tyle uwłosienia, ile stylizowanych w rzeźbie równoległych fal śniegu na lodowcu. Oto wszystko, com zauważył, zarówno jak bardzo wyrazisty nos (rzecz rzadka u dziecka) na szczupłej twarzy, przypominającej dziób młodych sępiąt. Zresztą nie tylko obecność zasłaniających ją koleżanek przeszkodziła mi ją dobrze widzieć, ale i nieświadomość uczuć, jakie mogłem u niej (z pierwszego wejrzenia i później) budzić; czy to byłyby uczucia surowej dumy, ironii, czy wzgardy zwierzzonej później przyjaciółkom. Kolejne domysły w tej mierze, jakim się oddawałem przez sekundę, zagęściły dokoła młodej dziewczyny mgłę, w której kryła się niby bogini w chmurze drżącej od pioruna. Bo niepewność duchowa bardziej utrudnia ścisłą percepcję wzrokową, niżby ją utrudniała fizyczna wada oka. W owej zbyt szczupłej młodej osobie (zanadto może ściągającej uwagę) odstręczał mnie właśnie nadmiar tego, co kto inny nazwałby może „wdziękami”; ale i tak rezultatem był fakt, że obecność jej nie pozwoliła mi nawet spostrzec, a tym bardziej przypominać sobie innych młodych mleczarek, które orli nos tej jednej i spojrzenie jej — niezbyt miłe — zamyślane, zdecydowane, krytyczne niejako, pograżyły w ciemności na kształt błyskawicy blond, grającej w mroku otaczający krajobraz. I tak, z mojej bytności w mleczeni, mającej na celu zamówienie sera, przypominałem sobie (jeżeli można powiedzieć „przypominam sobie” o rysach tak słabo utrwalonych, że dziesięć razy do nieuchwytniej twarzy przymierza się coraz to inny nos), przypominałem sobie tylko tę jedną — która mi się nie podobała. To wystarcza jako początek miłości. Mimo to byłbym zapomniał o tym „szaleństwie blond” i nie pragnąłbym nigdy jej ujrzeć, gdyby mi Franciszka nie powiedziała, że dziewczyna, mimo iż smarkata, jest już bardzo szczwana i że ma się rozstać z chlebobdawczynią, ponieważ zbytnio się lubiąć stroić, ma długi w dzielnicy. Powiedziano, że piękność jest obietnicą szczęścia; i na odwrót, możliwość rozkoszy może być początkiem piękności.

Wziąłem się do czytania listu mamy. Poprzez cytaty z pani de Sévigné („Jeżeli moje myśli w Combray nie są całkiem czarne, są bodaj ciemno-szare; wciąż myślę o tobie, pragnę twojej obecności; twoje zdrowie, twoje sprawy, twoje oddalenie, jak sądzisz, czym może być to wszystko o szarej godzinie?”) czułem, iż matka nierada jest, że pobyt Albertyny przeciąga się i utrwała, mimo iż jeszcze nie oświadczyłem się mojej „lubej” z intencjami małżeństwa. Matka nie mówiła tego wyraźniej, bojąc się, że mogę zostawić list gdzieś na wierzchu. Ale mimo że pisała tak mglisto, wyrzucała mi, że nie potwierdzam po każdym liście jego odbioru: „Wiesz, co mówiła pani de Sévigné: »Kiedy się jest daleko, nie żartuje się z listów zaczynających się od: Otrzymałem twój list«”. Nie wspominając o tym, co ją najbardziej niepokoiło, mama wyrażała niezadowolenie z mojego marnotrawstwa: „Gdzie może się podziewać tyle pieniędzy? Już dosyć martwi mnie to, że jak Charles de Sévigné nie wiesz, czego chcesz, i masz w sobie »paru ludzi naraz«; ale staraj się bodaj nie naśladować go w wydatkach, żebym nie mogła powiedzieć o tobie: »Potrafił wyrzucać pieniądze bez efektu, przegrywać, nie grając, i płacić, nie wychodząc z długów«”.

Kończyłem list, kiedy przyszła Franciszka z wiadomością, że jest właśnie owa zbyt śmiała mleczareczka, o której mówiła. „Wybornie może odnieść list panicza i załatwić, co potrza, jeżeli to nie za daleko. Zobaczy panicz, wygląda jak Czerwony Kapturek”.

Piękno, Szczęście, Rozkosz

Franciszka poszła po nią i słyszałem, jak mówi w drodze: „No i co, boisz się, bo jest korytarz, ty niezguło; myślałam, że jesteś mniejsza ciemiega. Mam cię prowadzić za rękę?”. I Franciszka, dobra i dzielna służąca, chcąca, aby inni szanowali jej pana tak, jak go szanuje ona sama, udrapowała się w ów majestat, który na obrazach starych mistrzów uszlachetnia rajfurki przesłaniające niemal parę kochanków. Ale Elstir, kiedy patrzył na fiolki, nie troszczył się o to, co one robią.

Wejście młodej mleczarki wytrąciło mnie ze spokoju obserwatora; myślałem już tylko o tym, aby uprawdopodobnić bajeczkę o liście do odniesienia; zacząłem pisać szybko, ledwie śmiejąc na nią popatrzeć, aby się nie zdawało, żem ją po to sprowadził. Strojna była dla mnie w ów czar tajemnicy, którego nie miałyby jakaś ładna dziewczyna spotkana w jednym z zakładów, gdzie na nas zawodowo czekają. Nie była ani naga, ani przebrana; ot, prawdziwa mleczarka, z tych, które się nam wydają tak ładne, kiedy nie mamy czasu się do nich zbliżyć; miała coś z tego, co tworzy wiekuiste pragnienie, wiekuisty żal życia, którego podwójny bieg odwrócił się wreszcie, zbliżył się do nas. Podwójny, bo o ile chodzi o Nieznane, o istotę, której boskość odgadujemy z jej postawy, proporcji, z obojętnego spojrzenia, wyniosłego spokoju, pragniemy z drugiej strony, aby ta kobieta miała znamiona swojego zawodu, pozwalając nam uciec w ów świat, w którego inność swoisty jej strój pozwala nam romantycznie wierzyć. Zresztą jeżeli chcemy zamknąć w jednej formule prawo naszych ciekawości miłosnych, trzeba szukać tej formuły w maksimum odchylenia między kobietą spostrzeżoną przelotnie a kobietą poznaną, pieszczoną. Jeżeli mieszkanki tego, co się dawniej nazywało „zamtuzem”¹²³, jeżeli nawet kokoty¹²⁴ (o ile wiemy, że to są kokoty) pociągają nas tak mało, to nie dlatego, aby były mniej piękne od innych, ale dlatego, że są zawsze gotowe; że z punktu ofiarowują to, o co właśnie pragnęlibyśmy zabiegać; że nie są zdobyczą. Rozchylenie sprowadza się do minimum. Prostytutka uśmiecha się do nas już na ulicy, tak jak się będzie uśmiechała w naszych objęciach. My jesteśmy rzeźbiarze. Pragniemy stworzyć z kobiety posąg całkowicie różny od kształtu, w jakim się nam objawiła. Widzieliśmy nad morzem dziewczynę obojętną, zuchwałą; widzieliśmy za ladą poważną i czynną pannę sklepową, która traktuje nas oschle, bodaj dlatego aby się nie narazić na drwiny koleżanek; owocarkę, która nam ledwo odpowiada. I nie mamy spokoju, póki nie doświadczymy, czy harda dziewczyna znad morza, czy panna sklepowa bojąca się „języków”, czy wgardliwa owocarka nie będzie skłonna pod wpływem naszych zręcznych manewrów ugiąć swoją sztywną postawę, okolic nam szyję ramionami, które nosiły owoce, z łaskawym uśmiechem pochylić ku naszym ustom swoje oczy — o piękności surowych oczu! — dotąd lodowate lub obojętne w godzinach pracy, gdy pracownica tak się lęka obmowy koleżanek; oczy, które unikały naszych natarczywych spojrzeń, a które teraz, kiedyśmy ją ujrzeli sam na sam, uginają swoje źrenice pod słonecznym ciężarem śmiechu towarzyszącego zabiegom miłosnym. Pomiędzy sklepówką, praczką prasującą uważnie, owocarką, mleczarką i tą samą dziewczyną skłonną zostać naszą kochanką ziściło się maksimum odchylenia, wyciągniętego jeszcze do ostatnich granic i urozmaiconego zawodowymi gestami jej rąk przy pracy; coś możliwie najróżniejszego — jako linia — od owych giętkich więzów, które co wieczora oplotą naszą szyję, gdy usta gotują się do pocałunku. Toteż trawimy życie na niespokojnych, wciąż ponawianych zalotach do cnotliwych dziewcząt, które rzemiosło ich od nas oddała. Raz znalazłszy się w naszych ramionach, są już tylko tym, czym były; przestrzeń, o której przebyciu marzyliśmy, znikła. Ale zaczynamy to samo z innymi, zużywamy na te zabiegi wszystek czas, pieniądze, siły, wściekamy się na zbyt powolnego woźnicę, przez którego przepadnie nam może pierwsza schadzka, mamy gorączkę. A przecież wiemy, że ta pierwsza schadzka zniweczy jedynie złudzenie! Nie dbamy o to, póki złudzenie trwa; chcemy sprawdzić, czy można je zmienić w rzeczywistość, i wówczas myślimy o młodej pracce, której chłód zauważyliśmy. Ciekawość miłosna jest jak ta, którą w nas budzą nazwy miejscowości; zawsze zawiedziona, odradza się i pozostaje wciąż nieugaszona.

Niestety! Znalazłszy się przede mną, mleczarka z burzą blond włosów, odarta z tyłu zbudzonych we mnie rojeń i pragnień, skurczyła się, stała się tylko sobą. Drżąca chmura moich domysłów nie kłębiła się już koło niej. Miała minę jakby zafrasowaną tym, że

¹²³zamtuz (daw.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

¹²⁴kokota (daw.) — prostytutka. [przypis edytorski]

w miejsce dziesięciu, dwudziestu nosów, którym sobie daremnie kolejno przypominał, miała tylko jeden nos okrągłszy, niż mi się zdawało, budzący wrażenie głupoty, a w każdym razie pozbawiony daru mnożenia się. Ten ujarzmiony, bezwładny, unicestwiony lot, niezdolny nic przydać jej mizernej oczywistości, nie miał już współpracownicy w mojej wyobraźni. Popadłszy w bezwład realności, próbowałem odskoczyć; niezauważona w sklepie twarzyczka wydała mi się tak ładna, że mnie aż onieśmieliła; aby sobie przydać odwagi, rzekłem:

— Może panienska zechce podać mi „Figaro”, które tam leży; muszę sprawdzić, jak się nazywa miejsce, dokąd chcę panienkę posłać.

Biorąc gazetę, odwinęła do łokcia czerwony rękaw żakietu i podała mi konserwatywny dziennik zręcznym i wdzięcznym gestem, ujmującym swobodną zwinnością, miękkością i barwą szkarlatu. Przeglądając „Figaro”, równocześnie, aby coś rzec, spytałem, nie podnosząc oczu:

— Jak się nazywa to, co panienska ma, ten czerwony trykot, to bardzo ładne.

Odpowiedziała:

— Golf.

Bo w procesie degradacji właściwej wszystkim modom, stroje i mody stanowiące przed kilku laty przywilej eleganckiego stosunkowo świata przyjaciółek Albertyny obecnie stały się udziałem robotnic.

— Czy to by paniencie naprawdę nie szkodziło — rzekłem, udając, że czegoś szukam w „Figarze” — gdybym panienkę posłał choćby trochę daleko?

Z chwilą gdy okazałem, że uważam żądany kurs za coś uciążliwego, zaraz i ona zaczęła robić trudności.

— Bo... miałam się trochę przejechać na rowerze. Cóż, my mamy tylko niedzielę...

— Ale czy paniencie nie zimno tak z gołą głową?

— Och, nie będę z gołą głową, mam polo, zresztą mogłabym się bez niego obejść z moimi włosami.

Objąłem wzrokiem płowe i kręcące się włosy i uczulem, że ich wir unosi moje bijące serce w światło i burze huraganu piękności. Dalej przeglądałem dziennik, ale mimo iż czyniłem to jedynie dla zachowania kontenansu i zyskania na czasie, udając tylko, że czytam, i tak rozumiałem sens słów, które miałem przed oczami. Uderzyło mnie co następuje: „Do zapowiedzianego przez nas programu, mającego się odbyć dziś popołudniu w wielkiej sali Trocadéro, trzeba nam dodać nazwisko panny Lei, która zgodziła się wystąpić w *Szelmostwach Neryny*¹²⁵. Wykona oczywiście rolę Neryny, w której oszałamia werwą i czaruje wesołością”.

Było to tak, jakby ktoś zdarł mi z serca opatrunek, pod którym zaczęło się ono goić od powrotu z Balbec. Fala moich lęków buchnęła strumieniem. Lea to była owa aktorka zaprzyjaźniona z dwiema pannami z Balbec, którym Albertyna pewnego popołudnia przyglądała się w lustrze w kasynie, udając, że ich nie widzi. Prawda, że w Balbec, słysząc nazwisko Lei, Albertyna oświadczyła mi szczególnie uroczyście, niemal zgorszona, że ktoś może podejrzewać taką cnotę: „Och, nie, ona wcale nie jest taka, to bardzo przyzwyczajona osoba”. Niestety, kiedy Albertyna wygłaszała tego rodzaju sądy, były one zawsze tylko pierwszym stadium rozbieżnych zeznań. Niedługo po pierwszym przychodziło to drugie: „Nie znam jej”. Na trzeciej kondygnacji, kiedy Albertyna orzekła o takiej osobie, że jest „ponad wszelkie posądzenia” i że jej (po drugie) nie zna, zapomniała stopniowo najpierw tego, że jej jakoby nie zna, i „sypiąc się” bezwiednie jakimś powiedzeniem, przyznawała, że ją zna. Po pierwszej gafie i nowym twierdzeniu, zaczynało się drugie zapomnienie, tyżące faktu, że dana osoba jest „niepodejrzana”. „Czy ona — pytałem — nie ma takich gustów?” — „Ależ oczywiście, jak to, przecież to wszyscy wiedzą!”. I natychmiast zjawiał się ton uroczysty, celem stwierdzenia, które było mglistym i wątlwym echem owego pierwszego: „Muszę powiedzieć, że ze mną była zawsze bardzo przyzwyczajona. Oczywiście, wiedziała, że by się spotkała z ładnym przyjściem! Ale ostatecznie to nie ma znaczenia. Muszę jej być wdzięczna za prawdziwy szacunek, jaki mi zawsze okazywała. Zaraz widać, że wie z kim ma do czynienia”.

¹²⁵ *Szelmostwa Neryny* — *Fourberies de Nérine* (1864), francuska komedia Théodore’a de Banville, inspirowana komedią Moliera *Szelmostwa Skapena*. [przypis edytorski]

Pamiętamy prawdę, bo ma nazwę, dawne korzenie, ale zaimprovizowanego kłamstwa zapominamy szybko. Albertyna zapomniała tego ostatniego — czwartego — kłamstwa i pewnego dnia, kiedy chciała zyskać zwierzeniami moją ufność, posunęła się do powiedzenia o tej samej osobie, z początku tak przyzwoitej i której jakoby nie znała: „Ona ma feblika¹²⁶ do mnie. Kilka razy prosiła mnie, żebym ją odprowadziła do domu i wstąpiła do niej. W odprowadzeniu nie widziałam nic złego, przy wszystkich, w biały dzień, na ulicy. Ale zaszedłszy pod dom, zawsze znalazłam jakiś pozór i nigdy nie weszłam”. W jakiś czas potem Albertyna natręcała coś o pięknych meblach u tej osoby. Zestawiając jedno z drugim, doszłoby się z pewnością do wydobycia prawdy, może mniej groźnej, niż byłam skłonny przypuszczać, bo mimo iż łatwa z kobietami, Albertyna wołała może kochanka i teraz, mając mnie, nie myślałaby może o Lei.

Bądź co bądź, co się tyczyło owej Lei, znajdowałem się dopiero w pierwszej fazie i nie wiedziałem, czy Albertyna ją zna. Wystarczyłoby — w każdym razie co do wielu kobiet — postawić Albertynie do oczu, w skrócie, jej sprzeczne zeznania, aby ją przekonać o jej przewinach (przewinach, które jak prawa astronomiczne, o wiele łatwiej jest wydedukować niż zaobserwować i podchwycić w rzeczywistości). Ale ona wolałaby raczej przyznać, że mówiąc coś, skłamała (burząc tym odwołaniem cały mój system), niż uznać, że wszystkie jej opowiadania od początku były tylko pasmem bajek. Takie baśnie w *Tysiącu i jednej nocy* zachwycają nas; sprawiają nam natomiast ból w ustach kochanej kobiety, przez co pozwalają nam głębiej trochę wniknąć w znajomość natury ludzkiej zamiast się zadowolić jej powierzchnią. Cierpienie wciska się w nas i siłą bolesnej ciekawości zmusza nas do poznania. Stąd pewnych prawd nie czujemy się w prawie ukrywać; tak iż umierający ateusz, który je odkrył, przeświadczony o nicości wszystkiego, niedbający o sławę, obraca jednak ostatnie godziny na to, by je przekazać.

Niewątpliwie, co się tyczy Lei, byłem dopiero przy pierwszym z tych twierdzeń. Nie wiedziałem nawet, czy Albertyna ją zna. Ale to wychodziło na jedno. Trzeba było za wszelką cenę uniknąć tego, aby mogła w Trocadéro odszukać tę znajomą lub zapoznać się z tą nieznaną. Powtarzam, nie wiedziałem, czy ona zna Leę, mimo iż musiałem przecie słyszeć o tym w Balbec od samej Albertyny. Bo zapomnienie unicestwiała we mnie, tak jak w Albertynie, znaczną część tego, co mi mówiła. Zamiast być dubletem epizodów naszego życia, wciąż obecnym naszym oczom, pamięć jest raczej nicością, z której chwilami jakies podobieństwo pozwala nam wskrzesić martwe wspomnienia; ale i tak jest tysiąc drobnych faktów, które nie dostały się w orbitę pamięci i które umkną się na zawsze naszej kontroli. Nie zwracamy uwagi na wszystko to, czego związków z realnym życiem ukochanej istoty nie znamy, zapominamy natychmiast tego, co nam mówiła w związku z jakimś obcym nam faktem lub człowiekiem, i miny, jaką miała, mówiąc o tym. Toteż kiedy później ten sam człowiek obudzi naszą zazdrość, wówczas dla przekonania się, czy się nie mylimy, czy w istocie z nim należy wiązać pośpiech, z jakim nasza kochanka pragnie wyjść z domu, lub jej niezadowolenie, żeśmy jej w tym przeszkodziłi naszym wcześniejszym powrotem, zazdrość nasza, szperając w przeszłości za jakimiś wskazówkami, nie znajduje nic; wciąż nieuleczalnie retrospektywna, znajduje się w położeniu dziejopisa, który miał pisać jakąś historię, nie posiadając żadnego dokumentu; wciąż zapóźniona, rzuca się jak wściekły byk właśnie nie tam, gdzie się znajduje harda i świetna istota, drażniąca go swymi ukłuciami i wspaniałą a zreżną postawą budząca podziw okrutnego tłumu. Zazdrość miota się w próżni, niepewna, jak my jesteśmy niepewni w owych snach, w których cierpimy, że w pustym domu nie znajdujemy tej, którą znaleźliśmy wprawdzie w życiu, ale która tutaj jest może kim innym i tylko pożyczyła rysów od innej; niepewna tak — i bardziej — jak my jesteśmy jeszcze niepewni po zbudzeniu się, kiedy staramy się utożsamić jakiś szczegół snu. Jaką minę miała, mówiąc to a to; czy nie była rozradowana, czy nie pogwizdywała nawet, co czyni tylko wtedy, kiedy ma w głowie jakieś lubieżne myśli? W dobie miłości, kiedy bodaj trochę obecność nasza krępuje ją i drażni, czyż nie powiedziała czegoś sprzecznego z tym, co twierdzi obecnie, że kogoś zna lub nie zna? Nie wiemy tego, nie dowiemy się nigdy; zaciekle szukamy nieuchwytnych szczątków snu, przez ten czas współżycie z kochanką trwa, życie niebaczone na to, czego ważności dla nas nie znamy, baczone na to, co nie jest może ważne, udęczone-

¹²⁶feblik — słabość, skłonność. [przypis edytorski]

ne osobami bez żadnego z nami realnego związku, życie pełne zapomnień, luk, czczych lęków — życie podobne do snu.

Spostrzegłem, że mleczarka wciąż jest w pokoju. Oznajmiłem, że stanowczo to by było za daleko, że jej nie potrzebuję. Wówczas uznała również, że to byłoby zbyt uciążliwe: „Jest piękny mecz dzisiaj, nie chciałabym go opuścić”. Odgadłem, że już musi lubić sporty i że za kilka lat będzie mówiła: „wyżyć się”. Oświadczyłem, że jej stanowczo nie potrzebuję i dałem jej pięć franków. Nie spodziewała się tego; po czym natychmiast, skombinowawszy widocznie, że skoro dostała pięć franków za nic, dostałaby znacznie więcej za posyłkę, zaczęła uważać, że mecz nie ma znaczenia. „Byłabym chętnie załatwiła panu zlecenie. Zawsze można jakoś znaleźć czas”. Ale ja popchnąłem ją lekko w stronę drzwi; potrzebowałem zostać sam, trzeba było za wszelką cenę nie dopuścić, żeby się Albertyna spotkała w Trocadéro z przyjaciółkami Lei. Tak, trzeba było koniecznie to osiągnąć; co prawda, nie wiedziałem jeszcze jak; na razie rozkładałem dłonie, oglądałem je, wyłamywałem palce, jak gdyby umysł, nie mogąc znaleźć tego, czego szuka, zdjęty lenistwem, godził się zrobić postój przez chwilę, w której najubożniejsze rzeczy ukazują mu się oddzielnie, niby owe źdźbła trawy na skarpie, które widzimy z wagonu drzące na wietrze, kiedy pociąg zatrzyma się w szczerym polu. (Nieruchomość ta nie zawsze jest zresztą płodniejsza od bezwładu pojmanego zwierzęcia, które sparaliżowane strachem lub urzeczzone, patrzy bez ruchu). A może trzymałem w pogotowiu swoje ciało — a w nim inteligencję, a w niej sposoby działania na daną osobę — jako coś będącego już tylko bronią, z której padnie cios rozdzielający Albertynę z Leą i jej przyjaciółkami? Niewątpliwie, kiedy Franciszka oznajmiła rano, że Albertyna wybiera się do Trocadéro, pomyślałem: „Albertyna może robić, co się jej podoba” i wierzyłem, że aż do wieczora w tę cudną pogodę postęпки jej pozostaną dla mnie czymś bez znaczenia; ale nie tylko poranne słońce (jak przypuszczałem) uczyniło mnie tak beztróskim, lecz fakt, że skłoniwszy Albertynę do wyrzeczenia się projektów, jakie mogłaby nawiązać lub wręcz zrealizować u Verdurinów, i doprowadziwszy ją do pójścia na widowisko, które sam wybrałem i w związku z którym nie mogła nic obmyślić, wiedziałem, że ta zabawa będzie z konieczności niewinna. Tak samo kiedy Albertyna powiedziała w chwilę później: „Jeżeli się zabiję, to mi jest wszystko jedno”, to dlatego, iż była przekonana, że się nie zabije. Przede mną, jak przed Albertyną, istniała w tym poranku (o wiele bardziej niż jego słoneczność) strefa, której nie widzimy, ale poprzez której przezroczyste i zmienne przewodzenie widzimy, ja jej postęпки, ona ważność własnego życia, to znaczy owe wierzenia, których nie jesteśmy świadomi, ale których tak samo nie można utożsamiać z czystą próżnią, jak otaczającego nas powietrza; tworzą one dokoła nas atmosferę zmienną, czasem wyborną, często niepodobną do oddychania, warte, aby je zbierać i notować tak starannie jak temperaturę, jak stan barometru, jak porę roku, bo nasze dni mają swoją fizyczną i moralną odrębność. Niezauważona owego rana przeze mnie wiara, która jednak spowijała mnie radośnie aż do chwili, w której otwarłem „Figaro”, wiara, że Albertyna spędzi niewinnie czas — ta wiara znikła. Już nie żyłem w pięknym dniu, ale w dniu zrodzonym w łonie tamtego dnia z niepokoju, aby Albertyna nie nawiązała stosunków z Leą, a jeszcze łatwiej z dwiema podejrzаныmi pannami, jeżeli, jak było prawdopodobne, pospieszą oklaskiwać aktorkę do Trocadéro, gdzie łatwo mogłyby w antrakcie spotkać Albertynę. Nie myślałem już o pannie Vinteuil; imię Lei przypomniało mi, ku mojej męce, obraz Albertyny w kasynie w pobliżu tych dwóch dziewczyn. Bo posiadałem w pamięci jedynie „serie” Albertyny, oddzielne, niezupełne, profile, migawki; toteż zazdrość moja ograniczała się do rwanego, ulotnego i utrwalonego zarazem wyrazu i do istot, które sprowadziły ów wyraz na twarz Albertyny. Przypominałem ją sobie, kiedy się jej w Balbec zanadto przyglądały owe dwie panny lub kobiety „w tym rodzaju”; przypominałem sobie cierpienie, jakiego doznawałem, widząc przebiegające po twarzy Albertyny spojrzenia czynne niby oko szkicującego malarza, po twarzy całkiem pokrytej przez te spojrzenia i — zapewne wskutek mojej obecności — poddającej się tym kontaktom jakby bezwiednie, z lubieżną może potajemnie biernością. I zanim Albertyna opamiętała się i przemówiła do mnie, była sekunda, przez którą nie ruszała się, uśmiechała się w próżnię, z tym samym wyrazem udanej naturalności i tajonej przyjemności, co gdyby ją właśnie ktoś fotografował; lub nawet aby przybrać przed obiektywem zalotniejszą pozę — ową z Doncières w czasie przechadzki z Robertem — kiedy to, śmiejąc się i zwilżając wargi, udawała, że się drażni

z psem. Zapewne w owych chwilach nie była zgoła tą samą, co kiedy ją zainteresowały jakieś dziewczęta. Wówczas, przeciwnie, jej wąskie i aksamitne spojrzenie stawało się bystre, przylepiało się do przechodzącej, tak czepne, tak żrące, że zdawało się, iż cofając się, uniesie kawał jej skóry. Ale w takiej chwili owo spojrzenie, które przynajmniej dawało Albertynie jakiś wyraz powagi, niemal cierpienia, wydawało mi się słodkie wobec martwego wyrazu szczęścia, jaki miała w pobliżu tych dwóch panien; wołałbym już posępny dreszcz żądz, jaką sama czuła może niekiedy, od roześmianej miny wywołanej żądzą, którą ona budziła. Daremnie próbowała pokryć świadomość tego; świadomość ta opływała ją, spowijała, mglista, rozkoszna, różowiła całą jej twarz. Ale wszystko to, co Albertyna dławiała w owych chwilach w sobie, co promieniowało z niej i sprawiało mi tyle bólu, kto wie czy w mojej nieobecności zachowałoby podobne milczenie; czy teraz, kiedy mnie tam nie ma, nie odpowie śmieiej na zaloty tych dwóch dziewczyn. Z pewnością wspomnienia te sprawiały mi wielki ból, były niby całkowitym wyznaniem skłonności Albertyny, generalną spowiedzią jej zdrad. Nie mogły tego przeciwważyć jej okolicznościowe przysięgi, w które chciałem wierzyć, ani ujemne wyniki moich dorywczych dochodzeń, zapewnienia Anny, może będącej w zмовie z Albertyną. Albertyna mogła się zapierać swoich zdrad; ale słowa, które się jej wymykały, silniejsze od zaprzeczeń, same jej spojrzenia, zawierały o wiele więcej niż poszczególne fakty wyznania tego, co chciałyby ukryć, tego, co zanimby wyznała, raczej dałyby się zabić: jej skłonności. Bo żadna istota nie chce wydać swojej duszy.

Mimo bólu, jaki mi sprawiały te wspomnienia, czyż mógłbym zaprzeczyć, że to program w Trocadéro zbudził we mnie na nowo potrzebę Albertyny? Była z tych kobiet, którym urok ich mógłby w potrzebie zastąpić ich przywary, a także dobroć, która następuje po przewinie, dając nam ową słodycz, którą niby chory nigdy nieczujący się dobrze dwa dni z rządu, wciąż musimy z nich wydzierać na nowo. Zresztą prócz ich występków z okresu naszej miłości istnieją tym bardziej występki z czasu, gdyśmy ich nie znali, a pierwszym z nich jest ich natura. Mękę takiej miłości stanowi preegzystujący przed nią jak gdyby grzech pierworodny kobiety, grzech, który każe nam je kochać, tak iż kiedy zapominamy o nim, mniej jej potrzebujemy i aby zacząć na nowo kochać, musimy zacząć na nowo cierpieć.

W tej chwili obawa, by Albertyna nie spotkała owych dziewcząt, oraz myśl, czy ona zna Leę, to były rzeczy, które mnie najbardziej obchodziły, wbrew temu, że fakty powinny nas interesować jedynie w ogólnym sensie i że dzieciństwem¹²⁷, równym dzieciństwu podróży lub chęci poznania kobiet, jest rozdrabniać ciekawość na to, co przypadkowo skryształizowało się w naszej myśli z niewidzialnego strumienia okrutnych realności, które nam pozostaną na zawsze nieznanne. Zresztą gdybyśmy nawet zdołali zniszczyć tę kryształizację, natychmiast zastąpiłaby ją inna. Wczoraj bałem się, aby Albertyna nie poszła do pani Verdurin. Teraz zaprzętała mnie jedynie Lea. Zazdrość, która ma przepaskę na oczach, nie tylko niezdolna jest odkryć cośkolwiek w ciemnościach, które ją spowijają; jest ona także jedną z owych mąk, każących wciąż rozpoczynać trud bez końca, jak pracę Danaid¹²⁸, jak pracę Iksjona¹²⁹. Nawet gdyby tam nie było przyjaciółek Lei, jakie wrażenie mogłaby sprawić na niej sama Lea, upiękkszona kostiumem, uświetniona sukcesem; jakie marzenia zostawiłaby w Albertynie, jakie żądze, które, nawet powściągnięte, budziłyby w niej wstręt do życia ze mną, życia niezdolnego ich zaspokoić?

Kto wie zresztą, czy Albertyna nie zna Lei i czy nie pójdzie do niej do garderoby, a nawet czy Lea jej nie zna; kto mnie zapewni, czy widziawszy ją w każdym razie w Balbec, Lea nie pozna jej i czy nie da ze sceny znaku uprawniającego Albertynę do pójścia za kulisy? Niebezpieczeństwo wydaje się niegroźne wówczas, gdy jest zażegnane. To nie było jeszcze zażegnane i bałem się, że nie będzie, i wydawało mi się tym straszliwsze. A jednak miłość do Albertyny, gasnąca prawie, kiedy ją próbowałem sobie uświadomić,

¹²⁷ *dzieciństwo* (daw.) — dziś: dziecinada; postępowanie dziecinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

¹²⁸ *Danaidy* (mit. gr.) — córki króla Danaosa, za zamordowanie w noc poślubną swoich mężów zostały skazane w świecie zmarłych na napełnianie beczki bez dna wodą, noszoną w sitach. [przypis edytorski]

¹²⁹ *Iksjon* (mit. gr.) — król Lapitów w Tesalii, wslawiony jako pierwszy zabójca własnego krewnego oraz jako śmiałek, który zakochał się w Herze, małżonce Zeusa, i próbował ją uwieść, za co został ukarany strąceniem do Tartaru i przykuciem do wiecznie obracającego się, płonącego koła. [przypis edytorski]

znajdywała poniekąd w tej chwili dowód w gwałtowności mojego bólu. Nie dbałem już o nic innego, myślałem tylko o sposobach wyrwania jej z Trocadéro; ofiarowałbym Lei wszelką sumę, byle tam nie szła. Jeżeli tedy postęпки bardziej dowodzą naszych uczuć niż nasze myśli, dowodziłoby to, że kocham Albertynę. Ale ten nawrót mego cierpienia nie przydawał we mnie realności obrazowi Albertyny. Była przyczyną moich cierpień jak niewidzialne bóstwo... Czyniąc tysiące przypuszczeń, starałem się stępić swoje cierpienia, nie potwierdzając tym samym swojej miłości.

Najpierw trzeba było być pewnym, że Lea będzie w istocie w Trocadéro. Odprawiwszy mleczarkę, zatelefonowałem z zapytaniem do Blocha, zaprzyjaźnionego z Leą. Nie miał pojęcia; zdziwił się, że mnie to może interesować. Pomyślałem, że trzeba się śpieszyć, że Franciszka jest ubrana, a ja nie; zacząłem się zbierać, a jej kazałem wziąć auto; miała się udać do Trocadéro, kupić bilet, odszukać Albertynę na sali i oddać jej słówko ode mnie. Donosiłem Albertynie, że mnie do głębi wstrząsnął list otrzymany właśnie od osoby, z powodu której byłem tak nieszczęśliwy pewnej nocy w Balbec. Przypomniałem Albertynie, iż nazajutrz wyrzuciła mi, że jej nie wezwałem. Toteż pozwalałem sobie — pisałem — prosić ją, żeby się wyrzekła dla mnie tego spektaklu i wróciła, aby pojechać ze mną trochę na spacer i pomóc mi ochłonąć. Ale ponieważ to potrwa dosyć długo, zanim się ubiorę i będę gotów, niechaj zechce skorzystać z obecności Franciszki, aby kupić w Trois-Quartiers (magazyn ów, jako mniejszy, mniej mnie niepokoił niż Bon Marché) biały tiulowy żabocik, którego potrzebuje.

Bilecik mój nie był zapewne zbyteczny. Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, co robi Albertyna od czasu, jak ją znałem, ani przedtem. Ale w jej odezvaniach się (w razie gdybym jej to powiedział, mogłaby rzec, że się przesłyszałem) były pewne sprzeczności, retusze, równie wymowne jak „gorący uczynek”, ale trudniejsze do wyzyskania przeciw Albertynie, która często schwytała na kłamstwie jak dziecko, za każdym razem jakimś strategicznym zwrotem udaremniała moje okrutne ataki i umacniała swoją sytuację. Okrutne zwłaszcza dla mnie. Albertyna posługiwała się — nie przez wyrafinowanie stylu, ale dla naprawienia swoich „wyspek” — owymi gwałtownymi zmianami składni, podobnymi trochę do tego, co gramatycy nazywają „anakolutem”¹³⁰, czy nie wiem jak. Posunąwszy się, mówiąc o kobietach, do słów: „Przypominam sobie, że niedawno ja”... nagle, po głębokim wdechu, „ja” zmieniano się w „ona”: to było coś, co Albertyna zauważyła jako niewinna obserwatorka, bynajmniej zaś nie robiła tego sama. To nie ona była podmiotem. Byłbym chciał sobie przypomnieć ściśle początek zdania, aby samemu — skoro ona się wymigiwała — odtworzyć jego koniec. Ale kiedy usłyszałem ów koniec, zapomniałem początku, z którego może wyraz mego zainteresowania kazał jej zboczyć; i zostawałem niepewny jej prawdziwej myśli, autentycznego wspomnienia. Z początkami kłamstw naszej kochanki jest niestety tak, jak z początkami naszej miłości lub powołania. Tworzą się, skupiają się, mijają, niepostrzeżone dla nas samych. Kiedy sobie chcemy przypomnieć, jak zaczęliśmy kochać kobietę, już ją kochamy; o marzeniach poprzedzających miłość nie mówiliśmy sobie: „To jest początek miłości, baczność”, rozwijały się swobodnie, ledwie przez nas zauważone. Tak samo, z wyjątkiem wypadków stosunkowo rzadkich, wyłącznie niemal dla uproszczenia, przeciwstawiłem tu często jakieś kłamliwe słowa Albertyny jej pierwotnemu twierdzeniu w tym samym przedmiocie. Często to pierwotne twierdzenie (ile że nie czytałem w przyszłości i nie zgadywałem, jakie sprzeczne twierdzenie będzie mu odpowiadało) prześlizgnęło się niepostrzeżone; słyszałem je niewątpliwie uszami, ale nie wyodrębniłem go ze słów Albertyny. Później, wobec oczywistego kłamstwa lub dręczących podejrzeń, chciałem je sobie przypomnieć; na próżno; pamięć moja, nieuprzedzona na czas, zaniedbała zachować kopii.

Poleciłem Franciszce, kiedy wyprowadzi Albertynę z sali, żeby mnie uprzedziła telefonem i żeby mi ją przywiozła, bez względu na to, czy będzie z tego kontenta.

—Jeszcze by tego brakowało, żeby nie była kontenta, że zobaczy panicza — odparła Franciszka.

— Ależ ja wcale nie wiem, czy ona tak lubi mnie widzieć.

— Musiałaby być bardzo niewdzięczna — odparła Franciszka, w której Albertyna wskrzesiła po tylu latach tę samą męczarnię zawiści, o jaką przyprowadziła ją niegdyś Eu-

¹³⁰ anakolut — błąd składniowy, zaburzający relację logiczną między członami zdania. [przypis edytorski]

lalia u cioci Leonii. Nie wiedząc, że to nie Albertyna zabiegała o ten stosunek, ale że ja go pragnęłam (co, przez ambicję i żeby Franciszkę doprowadzić do wściekłości, wołałam ukrywać), podziwiała z nienawiścią spryt Albertyny, nazywała ją w rozmowie z innymi służącymi „komediantką”, „czarownicą”, która robi ze mną, co zechce. Nie śmiała jeszcze wypowiedzieć jej wojny wprost, była dla niej uprzejma i chwaliła się przede mną przysługami, jakie jej oddaje, uważając, że na nic się nie zda mówić mi coś i że nie doprowadziłoby to do niczego; ale czyhała na sposobność; gdyby kiedyś odkryła w sytuacji Albertyny jakąś szczelinę, gotowała się rozszerzyć ją i rozdzielić nas zupełnie.

— Bardzo niewdzięczna? Ależ nie, Franciszko, to ja się czuję niewdzięczny, Franciszka nie wie, jaka ona jest dobra dla mnie. — Tak słodko mi było uchodzić za człowieka kochanego. — I niech Franciszka jedzie prędko.

— Już walę z kopyta, w trymiga.

Wpływ córki zaczynał trochę kazić słownictwo Franciszki. W ten sposób przez wpływ nowych terminów tracą swoją czystość wszystkie języki. I ja byłem pośrednio odpowiedzialny za tę dekadencję języka Franciszki, znanego mi w jego pięknych epokach. Córka Franciszki nie byłaby ściągnęła klasycznej mowy swojej matki do najniższego żargonu, gdyby poprzestała na mówieniu z nią gwarą. Nie odmawiała sobie nigdy tej przyjemności: kiedy byłem przy tym, o ile miały jakieś sekrety, wówczas zamiast się zamknąć w kuchni, wznosiły sobie w moim własnym pokoju mur bardziej nieprzebyty niż najlepiej zamknięte drzwi, a to mówiąc narzeczem ludowym swoich stron. Zgadywałem jedynie, że nie zawsze żyją w zbyt dobrej harmonii, wnosząc z częstego nawrotu jedyne słowa, które mogłem rozróżnić: *m'exasperate* (o ile przedmiotem tej „egzasperacji”¹³¹ nie byłem ja). Na szczęście, najmniej znany język staje się w końcu zrozumiały, jeśli się go słyszy ciągle. Żałowałem, że to była gwara, bo zdołałem się jej nauczyć; a równie dobrze byłbym się nauczył, gdyby Franciszka miała zwyczaj mówić na przykład po persku.

Kiedy Franciszka spostrzegła moje postępy, na próżno przyspieszała dykcję, córka również; nic nie pomogło. Franciszka była wściekła, że ja rozumiem gwarę, a potem uszczęśliwiona, że nią mówię. Prawdę rzekłszy, owo zadowolenie to były kpiny, bo mimo iż w końcu nauczyłem się wymawiać prawie tak jak ona, widziała między naszą wymową przepaści, które ją zachwycały, i żałowała, że nie widuje ludzi ze swoich stron, o których nie myślała już od wielu lat, a których rada by usłyszeć, jak pękają ze śmiechu, słysząc mnie tak kaleczącego ich gwarę. Sama ta myśl napędza ją weselem i żalem; wyliczała kolejno wieśniaków, którzy by się splakali ze śmiechu. W każdym razie żadna radość nie zmąciła jej smutku, że nawet wymawiając źle, rozumiałem dobrze. Klucz staje się zbyt cenny, kiedy ten, któremu się chce przeszkodzić wejść, może się posłużyć wytrychem lub łomem. Skoro gwara straciła wartość obronną, Franciszka zaczęła się posługiwać z córką potoczną francuszczyzną, która rychło stała się językiem z najgorszych epok.

Byłem gotów; Franciszka jeszcze nie zatelefonowała; trzeba było iść, nie czekając. Ale kto wie, czy ona znalazła Albertynę? Czy Albertyna nie jest za kulisami, czy nawet w razie gdyby ją Franciszka znalazła, dałaby się sprowadzić? W pół godziny później rozległ się telefon; w sercu moim tłukły się nadzieja i obawa. Był to, na rozkaz władcy telefonu, lotny szwadron dźwięków, z błyskawiczną chyżością przynoszących mi słowa telefonisty, a nie Franciszki, której dziedziczna nieśmiałość i melancholia, zastosowane do sprzętu nieznanego jej ojcom, nie pozwalały się zbliżyć do słuchawki; raczej byłaby zdolna odwiedzić trędotowych. Spotkała w kuluarach samą Albertynę, która poszedłszy tylko uprzedzić Annę, że nie zostaje, zaraz wróciła do Franciszki.

— Czy nie gniewała się? A, przepraszam! Niech pan zechce spytać tej pani, czy panielka się nie pogniewała?

— Ta pani każe powiedzieć, że wcale nie, wręcz przeciwnie; w każdym razie, jeżeli nie była rada, nie było tego znać. Idą teraz do Trois-Quartiers i wrócą o drugiej.

Zrozumiałem, że druga oznacza trzecią, bo było już po drugiej. Ale to była u Franciszki jedna z jej swoistych, trwałych, nieuleczalnych wad — wad, które my nazywamy chorobami — że nigdy nie mogła sprawdzić ani oznaczyć dokładnie godziny. Nie umiałem wręcz pojąć, co się dzieje w jej głowie. Kiedy Franciszka spozrzała na zegarek, jeżeli była druga, mówiła: „Jest pierwsza” albo „Jest trzecia”; przy czym nigdy nie umiałem

¹³¹egzasperacja (daw.; z fr.) — stan wielkiego rozdrażnienia; rozjątrzenie. [przypis edytorski]

zrozumieć, czy zjawisko to ma za siedzibę wzrok Franciszki, jej myśl lub mowę; tyle jest pewne, że powtarzało się stale. Ludzkość jest bardzo stara. Dziedziczność, skrzyżowania dały niezmienną siłę złym przyzwyczajeniom, wadliwym odruchom. Ktoś kicha i krztusi się, bo przechodzi koło krzaku róży; ktoś inny ma wysypkę od zapachu świeżej farby; wiele osób ma biegunkę, kiedy im trzeba jechać w podróż; a wnukowie złodziejów — ludzie milionowi i hojni — nie mogą się wstrzymać, aby nam nie ukraść pięćdziesięciu franków. Co się tyczy przyczyny, dla której Franciszka nie była zdolna powiedzieć dokładnej godziny, ona sama nigdy nie umiała mi tego wyjaśnić. Bo mimo gniewu, w jaki te nieścisle odpowiedzi mnie wprawiały, nigdy Franciszka nie próbowała ani przeprosić za swój błąd, ani go wytłumaczyć. Nie mówiła nic, robiła wrażenie, że nie słyszy, co mnie tym bardziej wściekało. Byłbym chciał usłyszeć słowo usprawiedliwienia, choćby po to, aby ją pognębić; ale nic — obojętne milczenie.

W każdym razie co się tyczyło dnia dzisiejszego, nie było wątpliwości, Albertyna wróci z Franciszką o trzeciej, Albertyna nie zobaczy Lei ani jej przyjaciółek. Wówczas, skoro niebezpieczeństwo wznowienia ich stosunków było zażegnane, straciło w moich oczach całą swoją ważność. Widząc łatwość, z jaką je odwróciłem, dziwiłem się, iż mogłem wątpić o tym. Odczułem żywą wdzięczność dla Albertyny, która — miałem tego dowód — nie poszła do Trocadéro dla przyjaciółek Lei i która opuszczając spektakl i wracając na moje skinienie, okazywała, że należy do mnie więcej, niż sobie wyobrażałem. Wdzięczność ta wzrosła jeszcze, kiedy goniec przyniósł mi od Albertyny bilecik proszący o cierpliwość i zawierający owe serdeczne zwroty, które jej były właściwe. „Drogi mój, najdroższy Marcelu, przybywam mniej szybko niż ten cyklista, któremu chciałabym zabrać jego gruchot, aby być prędzej przy tobie. Jak możesz przypuszczać, że się gniewam i że mogłoby mnie coś cieszyć więcej niż być z tobą? Jak miło będzie pojechać na spacer we dwoje, a jeszcze przyjemniej byłoby nigdy nie być inaczej niż we dwoje. Co tobie do głowy przychodzi? Ach, ten Marcel! Ten Marcel! Cała twoja — twoja Albertyna.

Suknie, które jej kupowałem, jacht, o którym jej mówiłem, peniuary Fortuny'ego, wszystko to, mając w tym posłuszeństwie Albertyny nie swoją kompensatę, ale swoje dopełnienie, wydawało mi się niby zbiorem moich przywilejów; obowiązki bowiem i ciężary pana stanowią część jego panowania i określają go, dowodzą tyleż co jego prawa. I te prawa, które mi Albertyna przyznawała, dawały właśnie moim ciężarom ich istotny charakter: miałem swoją kobietę, która na pierwsze przesłane niespodzianie słówko telefonowała z poddaniem, że wraca, że się pozwoli przyprowadzić natychmiast. Byłem bardziej panem, niż sądziłem. Bardziej panem, to znaczy bardziej niewolnikiem. Nie spieszyło mi się już do ujżenia Albertyny. Pewność, że ona robi sprawunki z Franciszką albo wróci z nią w najbliższej chwili (chwili, którą bym chętnie oddalił), oświecała niby promienna i spokojna gwiazda czas, który teraz o wiele przyjemniej spędziłbym sam. Miłość do Albertyny kazała mi wstać i gotować się do wyjścia, ale przeszkodziłaby mi cieszyć się tym wyjściem. Myślałem, że dziś, w niedzielę, młode sklepówki, midinetki¹³², kokotki muszą się przechadzać w Lasku¹³³. I z tych słów: midinetki, sklepówki (jak mi się często zdarzało z imieniem i nazwiskiem młodej panny wyczytanym w sprawozdaniu z balu), z obrazu białego stanika, krótkiej spódniczki (przez to, iż poza tym wszystkim mieściłem osobę nieznaną i mogącą mnie pokochać) sam sobie tworzyłem upragnioną kobietę, powiadając: „Jakie one muszą być ładne!”. Ale na co by mi się zdała ich ładność, skoro nie będę sam. Korzystając z tego, że jestem jeszcze sam i zasuwając do połowy portierę, aby słońce nie przeszkadzało mi czytać nut, siadłem do fortepianu, otwarłem na los szczęścia sonatę Vinteuila i zacząłem grać; ponieważ przybycie Albertyny było jeszcze nieco oddalone, ale w zamian całkiem pewne, miałem i czas i spokój ducha. Skąpany w bezpiecznym oczekiwaniu jej powrotu z Franciszką oraz pewności jej posłuszeństwa, niby w błogim wewnętrznym świetle grzejącym na kształt światła z zewnątrz, mogłem rozporządzać swoją myślą, odłączyć ją na chwilę od Albertyny, przenieść ją na sonatę. Nawet w tej sonacie nie silłem się zauważyć, o ile kombinacja motywów rozkoszy i lęku bardziej teraz odpowiada mojej miłości do Albertyny, miłości, której zazdrość tak długo była obca, że mogłem przyznać się przed Swannem do nieznajomości tego uczucia.

¹³²*midinetka* (z fr.) — młoda sprzedawczyni w domu mody; także: dziewczyna frywolna, skora do przygód towarzyskich. [przypis edytorski]

¹³³*Lasek* — Lasek Buloński, park w Paryżu. [przypis edytorski]

Nie, biorąc sonatę z innego punktu widzenia, oceniając ją jako dzieło wielkiego artysty, uczulem, że dźwięczna fala niesie mnie ku dniom w Combray — nie chcę powiedzieć ku Montjouvain i stronie Méséglise, ale ku spacerom w stronę Guermantes — kiedy sam pragnąłem zostać artystą. Porzucając tę ambicję, czy wyrzekłem się czegoś realnego? Czy życie mogło mnie pocieszyć po sztuce, czy była w sztuce głębsza rzeczywistość, w której nasza prawdziwa osobowość znajduje wyraz, jakiego nie daje jej czynne życie? Każdy wielki artysta wydaje się w istocie tak odmienny od innych i sprawia na nas tak bardzo owo wrażenie indywidualności, którego na próżno szukamy w codziennym istnieniu.

W chwili gdy to myślałem, uderzył mnie jeden takt sonaty. Znałem go bardzo dobrze, ale czasem uwaga inaczej oświetla rzeczy od dawna znane, ukazując nam coś, czegośmy nigdy nie widzieli. Przegrywając ów takt, mimo iż Vanteuil wyrażał w nim marzenie całkowicie obce Wagnerowi¹³⁴, mimo woli szepnąłem: „Tristan”, z uśmiechem, jaki ma przyjaciel rodziny, odnajdując coś z dziadka w intonacji i geście wnuka, który dziadka nie znał. I tak jak się spogląda wówczas na fotografię pozwalającą ustalić podobieństwo, tak ja na sonacie VinteUILa umieściłem na pulpicie partycję *Tristana*, którego fragmenty dawano właśnie tego popołudnia na koncercie Lamoureux. W podziwie dla mistrza z Bayreuth nie przeszkadzał mi żaden skrupuł owych ludzi, którym, jak Nietzschemu¹³⁵, obowiązek każe uciekać, tak w sztuce, jak w życiu, od piękności, która ich kuszi. Tacy, wydzierając się *Tristanowi*, jak zapierają się *Parsifala*¹³⁶, przez duchową ascezę, z umartwienia w umartwienie, dochodzą, krocząc najkrwawszą drogą krzyżową, do wzniesienia się do czystego poznania oraz do doskonałego ubóstwienia... *Pocztyliona* z *Longjumeau*¹³⁷. Zdałem sobie sprawę ze wszystkiego, co jest realnego w dziele Wagnera, przechodząc owe uparte i ulotne tematy, które nawiedzają jakiś akt, oddalają się jedynie po to, aby wrócić, i czasami odległe, uspięne, prawie oderwane, stają się w innych momentach, mimo iż zamglone, tak natarczywe i bliskie, tak wewnętrzne, tak organiczne, tak wnikać do trzewi, iż można by rzec, że to jest nawrót nie tyle motywu, ile neuralgii¹³⁸.

Muzyka, bardzo w tym różna od towarzystwa Albertyny, pomagała mi zstąpić w samego siebie, odkryć tam nową rzecz: różnaitość, której na próżno szukałem w życiu, w podróży, a której nostalgii wzniecał we mnie ten dźwięczny nurt zamierający dokoła mnie w słonecznych falach. Różnaitość podwójna. Jak pryzmat uzewnętrznia nam skład światła, tak harmonia Wagnera, kolor Elstira pozwalają nam poznać ową istotę wrażeń innego człowieka, w którą miłość dla drugiej istoty nie daje nam wnikać. Następnie różnaitość w łonie samego dzieła, w jedyny sposób, który pozwala być naprawdę różnaitym: zjednoczyć różne indywidualności. Gdzie podrzędny muzyk miałby pretensje malować giermka, rycerza, każąc im śpiewać tę samą melodię, tam przeciwnie, pod każde miano Wagner podkłada odmienną rzeczywistość; za każdym razem kiedy się zjawia giermek, jest to odrębna figura, zarazem skomplikowana i prosta, która z radosnym i feudalnym zderzeniem linii wpisuje się w bezmiar dźwięków. Stąd pełnia muzyki nasyconej tyloma rodzajami muzyk, z których każda jest odrębną istotą. Istotą lub wrażeniem, jakie daje nam chwilowy aspekt natury. Nawet to, co jest najmniej zależne od uczuć, jakie ona w nas rodzi, zachowuje swoją zewnętrzną i doskonale określoną realność; śpiew ptaka, róg myśliwski, fujarka pasterza znaczą się na horyzoncie dźwięczną sylwetą. Z pewnością Wagner miał ją przybliżyć, posłużyć się nią, wprowadzić ją w orkiestrę, poddać najwyż-

¹³⁴Wagner, Richard (1813–1883) — niemiecki kompozytor, dyrygent i teoretyk muzyki; reformator muzyki operowej, wprowadził nowy rodzaj dzieła muzyczno-scenicznego: dramat sceniczny (*Lohengrin*, *Tristan i Izolda*, tetralogia *Pierścień Nibelunga*), w którym muzyka i słowa zostały podporządkowane przebiegowi akcji; w 1876 wybudował w mieście Bayreuth własny Teatr Operowy, w którym do dziś odbywa się coroczny festiwal jego dzieł. [przypis edytorski]

¹³⁵Nietzsche, Friedrich (1844–1900) — niemiecki filozof i filolog klasyczny, jeden z najbardziej wpływowych myślicieli końca XIX i początku XX w.; dokonał radykalnej krytyki chrześcijaństwa i ufundowanej na nim kultury zachodniej; koncentrował się na afirmacji życia i postulował powrót do wartości kultury starożytnej; głosił śmierć Boga (tj. powszechny zanik poczucia obcowania z sacrum), pochwałę woli mocy i nadczłowieka oraz wieczny powrót, hasła często rozumiane opacznie jako nihilistyczne. [przypis edytorski]

¹³⁶*Parsifal* — dramat muzyczny Ryszarda Wagnera luźno oparty na noszącym ten sam tytuł średniowiecznym poemacie epickim Wolframa von Eschenbacha, którego bohaterem jest jeden z towarzyszy króla Artura, rycerz Okrągłego Stołu, poszukiwacz Graala. [przypis edytorski]

¹³⁷*Pocztylion z Longjumeau* — popularna francuska opera Adolphe’a Adama z 1836. [przypis edytorski]

¹³⁸*neuralgia* — nerwoból, ból powodowany przez uszkodzenie nerwu. [przypis edytorski]

szym koncepcjom muzycznym, ale szanując jej zasadniczą odrębność, jak snycerz szanuje słoje i swoisty charakter drzewa, w którym rzeźbi.

Ale mimo bogactwa tych dzieł, w których kontemplacja natury mieści się obok akcji, obok indywidualów nie będących jedynie imionami osób, zastanawiałem się, jak bardzo jednak owe dzieła zachowują — przy całej ich cudowności — coś niekompletnego. To jest cecha wszystkich wielkich dzieł XIX wieku, owego XIX wieku, który odcisnął się na książkach największych pisarzy; ale kontrolując swoją pracę niby pracownik i sędzia zarazem, wyciągnęli z tej autokontemplacji nową piękność, będącą poza dziełem i wyższą od niego, narzucając mu — wstecz niejako — jedność i wielkość, których ono nie posiada. Nie mówiąc już o twórcy, który ujrzał *ex post*¹³⁹ w swoich powieściach *Komedię ludzką*¹⁴⁰, ani o tych, którzy nazwali swoje różnorodne poematy lub studia *Legendą wieków*¹⁴¹ lub *Biblią ludzkości*¹⁴², czyż nie można jednak powiedzieć o tym właśnie, o Michelecie, iż wciela wiek XIX tak dobrze, że największych piękności Micheleta nie tyle trzeba szukać w samym jego dziele, ile w postawie przybranej wobec dzieła; nie w *Historii Francji* ani w *Historii Rewolucji*, ale w przedmowach do własnych książek. Przedmowy, to znaczny stronicie napisane *ex post*, gdzie rozważa te książki, a do przedmów trzeba dołączyć tu i ówdzie jakieś zdanie, zaczynające się zwykle od: „Mam powiedzieć” — nie zastrzeżenie uczonego, lecz kadencja muzyka. Inny muzyk, ten, który mnie zachwycał w danej chwili, Wagner, wydobywając z biurka rozkoszny fragment po to, aby go wprowadzić jako retrospektywnie konieczny temat w dzieło, o którym nie myślał, w chwili gdy ów fragment komponował; następnie skomponowawszy pierwszą operę mitologiczną, potem drugą, potem jeszcze inne i spostrzegając nagle, że stworzył tetralogię, musiał doznawać tego samego upojenia, co Balzac, kiedy obejmując swoje utwory obcym i ojcowskim zarazem spojrzeniem, znajdując w jednym czystość Rafaela¹⁴³, w innym prostotę Ewangelii, spostrzegł nagle, w retrospektywnym oświeceniu, że będą piękniejsze zebrane w cykl powtarzający te same osoby; jakoż w tym zagęszczeniu dał swemu dziełu ostatnie i najwspanialsze dotknięcia pędzla. Jedność wtórna, ale nie sztuczna, bo inaczej rozpadłaby się w proch, jak tyle cykliów miernych pisarzy, którzy z wielkim nakładem tytułów i podtytułów udają, że mieli jedyny i transcendentalny cel. Jedność nieurojona, może nawet realniejsza przez to, że wtórna, że się urodziła z chwili entuzjazmu, w której wyłoniła się z części wymagających już tylko spojenia. Jedność, która nie znała samej siebie, zatem witalna, a nie logiczna; która nie wykluczyła różnorodności, nie ostudziła wykonania. Wyłania się ona (ale tym razem spojona z całością) jako jakiś fragment skomponowany oddzielnie, zrodzony z natchnienia, nie wymuszony sztucznym rozwinięciem jakiejś tezy, zrastający się z resztą. Przed wielkim wybuchem orkiestry poprzedzającym powrót Izoldy dzieło samo przyciągnęło wpół zapomnianą melodię pasterza. I z pewnością, jak narastanie orkiestry za zbliżaniem się statku wchłania tony fujarki, przekształca je, wtapia w swoją ekstazę, łamie ich takt, rozjaśnia tonację, przyspiesza rytm, bogaci instrumentację, tak z pewnością sam Wagner uczuł radość, odnajdując w pamięci melodię pasterza, wcielając ją w dzieło, dając jej pełne znaczenie. Ta radość nie opuszcza go zresztą nigdy. Jaki bądź byłby u niego smutek poety, zawsze pociesza go, przewyższa — to znaczy, na nieszczęście, szybko niweczy — radość technika. Ale wówczas uderzyła mnie ta majsterska sprawność, podobnie jak zauważona przed chwilą identyczność frazy Vinteuila z frazą Wagnera. Czyżby ta sprawność dawała u wielkich artystów złudzenie oryginalności całkowitej, nieogarnionej na pozór, odbłask ponadludzkiej realności, a w istocie produkt przemyślanej pracy? Jeżeli sztuka jest tylko tym, nie bardziej realna jest od życia i nie miałem powodu tyle jej żałować!

¹³⁹*ex post* (łac.) — po fakcie, później, z późniejszej perspektywy. [przypis edytorski]

¹⁴⁰*Komedie ludzka* — cykl powieści i opowiadań francuskiego pisarza Honoriusza Balzaka składający się z ponad 130 utworów, pokazujący życie społeczne, polityczne i obyczajowe we Francji od czasów rewolucji francuskiej do rządów Ludwika Filipa, pisany w latach 1829–1848. [przypis edytorski]

¹⁴¹*Legenda wieków* — poemat Wiktora Hugo, pisany w latach 1855–1876, który w planach autora miał opisywać całą historię ludzkości, postępu cywilizacyjnego i przemian społecznych. [przypis edytorski]

¹⁴²*Biblia ludzkości* — fr. *La Bible de l'humanité* (1864), szkic poświęcony historii porównawczej religii, autorstwa Julesa Micheleta (1798–1874), francuskiego historyka cenionego przede wszystkim za dzieła *Historia Francji* (1833–1867) oraz *Historia rewolucji francuskiej* (1847–1853). [przypis edytorski]

¹⁴³*Rafaël Santi* (1483–1520) — włoski malarz, rysownik, architekt, jeden z najważniejszych twórców późnego renesansu. [przypis edytorski]

Dalej grałem *Tristana*. Oddzielony dźwięczną ścianką od Wagnera, słyszałem, jak się raduje, jak mnie zaprasza, abym dzielił jego radość, słyszałem, jak się powtarza nieśmiertelnie młody śmiech i ciosy Zygrydowego¹⁴⁴ młota, w których zresztą, im cudowniej wykute były te frazy, techniczna zręczność służyła już tylko po to, aby im pozwolić swobodnie opuścić ziemię, niby ptakom podobnym nie do Lohengrinowego¹⁴⁵ łabędzia, ale do owego samolotu, który w moich oczach w Balbec zmieniał swoją energię we wzlot, szybował ponad fale i gubił się w niebie. Może jak ptaki latające najwyżej i najszybciej mają potężniejsze skrzydła, tak trzeba by owych naprawdę materialnych aparatów, aby zgłębić nieskończoność: owych studwudziestokonnnych maszyn marki „Tajemnica”, w których jednak, choćby się najwyżej szybowało, w kosztowaniu ciszy bezkresów przeskadza nam potężne warczenie motoru!

Nie wiem, czemu bieg moich rojeń, dotąd idący za wspomnieniem muzyki, odwrócił się ku jej najlepszym współczesnym wykonawcom, między którymi, przeceniając go nieco, mieściłem Morela. Myśl moja skręciła nagle; zacząłem myśleć o charakterze Morela, o pewnych właściwościach tego charakteru. Zresztą — mogło się to łączyć (ale nie mieszać) z neurastenią, która go toczyła — Morel miał zwyczaj mówić o swoim życiu, ale tak mgliście, że trudno było coś rozpoznać. Oddawał się na przykład całkowicie do rozporządzenia panu de Charlus, zastrzegając sobie wolne wieczory, bo chciał po obiedzie uczęszczać na kurs algebry. Pan de Charlus zgadzał się, ale chciał widywać Morela potem.

— Niemożliwe, to stary obraz włoski — powtórzony w ten sposób, żarcik ten nie ma żadnego sensu; ale ponieważ pan de Charlus dał Morelowi do czytania *L'Éducation sentimentale* Flauberta¹⁴⁶, gdzie w przedostatnim rozdziale Fryderyk Moreau mówi te słowa, przez żart Morel nigdy nie użył słowa „niemożliwe”, aby nie dodać: „to stary obraz włoski”. — Kurs trwa do późna, i to już jest wielki kłopot dla profesora, który byłby oczywiście bardzo dotknięty.

— Ależ nie ma potrzeby przechodzić kursu; algebra to nie jest pływanie ani nawet angielszczyzna, tego się można nauczyć równie dobrze z książki — odpowiadał pan de Charlus, w kursie algebry odgadując natychmiast jeden z owych obrazów, w których nie można było zgoła nic rozpoznać. Może były to noce z kobietą, albo — w razie jeżeli Morel starał się zdobywać pieniądze mętnymi środkami i przystał do tajnej policji — wyprawa z tajnymi agentami, lub kto wie, gorzej jeszcze, schadzka z żigolakiem¹⁴⁷, którego udział może był potrzebny w domu schadzek.

— Nawet o wiele łatwiej z książki — odpowiadał Morel — z kursu algebry nic się nie rozumie.

— Zatem czemu nie studiujesz jej raczej u mnie, gdzie by ci było o tyle wygodniej — mógłby odrzec pan de Charlus, ale nie uczynił tego, wiedząc, że natychmiast, zachowując jedynie tę samą despotyczną nieodzowność, urojona algebra zmieniałaby się w lekcję tańca lub rysunku. W czym pan de Charlus mógł się przekonać, że się myli bodaj o tyle, że Morel nieraz bawił się u barona rozwiązywaniem równań. Pan de Charlus bąknął co prawda, że algebra nie na wiele zda się skrzypkowi. Morel odpowiedział, że to jest dobra rozrywka i lekarstwo na neurastenię. Bez wątplenia pan de Charlus mógłby się postarać o informację, dowiedzieć się, co to były w istocie te tajemnicze i nieuchronne kursy algebry udzielane tylko w nocy. Ale na to, aby odcyfrowywać zajęcia Morela, pana de Charlus nazbyt pochłaniały obowiązki światowe. Składanie i przyjmowanie wizyt, klub, obiady, teatr przeskadzały mu myśleć o tym, zarówno jak o tej gwałtownej i podstępnej złości, którą Morel (jak opowiadano) objawiał i skrywał zarazem w różnych środowiskach,

¹⁴⁴Zygryd — legendarny germański heros, zabójca smoka, tytułowy bohater trzeciej części dramatu muzycznego Ryszarda Wagnera *Pierścień Nibelunga*. [przypis edytorski]

¹⁴⁵Lohengrin — Rycerz Łabędzia, postać z legend arturiańskich, syn Parsifala, wysłany w łodzi ciągniętej przez łabędzia, by ocalić pannę, która nie może zapytać Lohengrina o jego tożsamość; szerzej znany jako tytułowy bohater romantycznej opery Wagnera z 1850, w której Graal napelnia Rycerza Łabędzia mistycznymi mocami, działającymi tak długo, jak długo udaje się zachować ich sekret. [przypis edytorski]

¹⁴⁶Flaubert, Gustave (1821–1880) — pisarz francuski, twórca prozy z nurtu realizmu, uważany też za jednego z pierwszych przedstawicieli naturalizmu; autor m.in. powieści: *Pani Bovary* (1857), *Salambo* (1862), *Szkoła uczuć* (*L'Éducation sentimentale*, 1869), *Kuszenie św. Antoniego* (1874). [przypis edytorski]

¹⁴⁷żigolak — młody mężczyzna czerpiący korzyści materialne z dotrzymania towarzystwa lub ze stosunków ze starszą, zamożną osobą. [przypis edytorski]

w miastach, gdzie gościł kolejno i gdzie mówiono o nim ze drżeniem, z cicha, nie śmiejąc nic opowiedzieć.

Właśnie, niestety, jeden z owych wybuchów neurastenicznej furii dane mi było słyszeć tego dnia, kiedy wstawszy od fortepianu, zeszedłem na dziedziniec, wybierając się naprzeciw Albertyny. Mijając sklep Jupiena, gdzie Morel i ta, która, jak sądziłem, miała zostać niedługo jego żoną, byli sami, usłyszałem Moreła, który krzyczał na cały głos, z akcentem, którego u niego nie znałem. Ten chłopski, zazwyczaj powściągnięty akcent był bardzo dziwny. Słowa były nie mniej dziwne, błędne z punktu widzenia francuszczyzny, ale Morel wszystko znał niedokładnie. „Wyjdiesz ty stąd, ździro zatracena, ździro zatracena, ździro zatracena” — powtarzał biednej dziewczynie, która z pewnością z początku nie rozumiała, co on mówi, a potem, drżąca i dumna, stała przed nim bez ruchu. — „Mówiłem ci, żebyś szła stąd, ździro zatracena, ździro zatracena! Sprowadź tu wuja, żeby mu powiedział, kto ty jesteś, k...o jedna”. Właśnie w tej chwili rozległ się w dziedzińcu głos Jupiena, który wracał, rozmawiając z jednym z przyjaciół; że zaś wiedziałem, iż Morel jest wielki tchórz, uważałem za zbyteczne łączyć swoje siły z siłami Jupiena i jego przyjaciela, którzy za chwilę mieli się znaleźć w sklepie. Wróciłem, aby uniknąć spotkania się z Morelem, który mimo iż rzekomo tak pragnął, aby sprowadzono Jupiena (prawdopodobnie chcąc nastraszyć i opanować młodą dziewczynę szantażem, nieopartym może na niczym), czym prędzej wyszedł, skoro go usłyszał w dziedzińcu. Takie powtórzone słowa nie oddają niczego, nie wytłumaczyłyby bicia serca, z jakim wracałem. Owe sceny, których jesteśmy świadkami w życiu, znajdują nieobliczalny element siły w tym, co wojskowi nazywają w ofensywie „korzyściami zaskoczenia”. Mimo iż odczuwałem taki spokój na myśl, że Albertyna zamiast zostać w Trocadéro znajdzie się za chwilę przy mnie, brzmiał mi w uszach akcent tych słów, powtarzających dziesięć razy: „Ździro zatracena, ździro zatracena” — słów, które mną wstrząsnęły.

Stopniowo wzburzenie moje uspokoiło się. Albertyna miała wrócić. Za chwilę usłyszę jej dzwonek. Uczulem, że moje życie nie jest już takie, jakim mogłoby być. Takie posiadanie kobiety, z którą całkiem naturalnie, skoro powróci, miałem wyjść; na której upiększenie miały się coraz bardziej obracać moje siły i moja energia, czyniło ze mnie niby łodygę rozrosłą, ale obciążoną bujnym owocem wysysającym wszystkie jej soki. Tworzyło to kontrast z niepokojem odczuwanym jeszcze przed godziną: spokój przyniesiony powrotem Albertyny rozleglejszy był od tego, który czulem rano przed jej wyjściem. Wypredzający przyszłość, której uległość mojej przyjaciółki czyniła mnie niemal panem, odporniejszy, wypełniony niejako i ustabilizowany zbliżającą się, niewczesną, nieuniknioną i słodką obecnością, spokój ten (zwalniający nas od szukania szczęścia w sobie samym) był spokojem rodzącym się z uczuć rodzinnych i ze szczęścia domowego. Rodzinne i domowe: oto było uczucie, które dawało mi tyle spokoju, podczas gdym oczekiwałem Albertyny; i takiego też uczucia doznawałem później, jadąc z nią na spacer.

Zdjęła na chwilę rękawiczkę, czy aby dotknąć mojej ręki, czy aby mnie olśnić, ukazując na małym palcu, obok pierścionka danego jej przez panią Bontemps, pierścionek, na którym rozpościerała się szeroka i płynna powierzchnia jasnego liścia rubinu.

— Jeszcze nowy pierścionek, Albertyno. Doprawdy, hojność twojej ciotki jest niewyczerpana!

— Nie, to nie od ciotki — rzekła, śmiejąc się. — To ja sama kupiłam; dzięki tobie mogę robić grube oszczędności. Nie wiem nawet, do kogo należał. Podróżny, któremu zabrakło pieniędzy, zostawił go właścicielowi hotelu, gdzie stanęłam w Le Mans. Nie wiedział, co z nim robić, i byłby go sprzedał o wiele poniżej wartości. Ale był jeszcze i tak za drogi dla mnie. Teraz, kiedy dzięki tobie robię się elegantką, kazałam spytać hotelarza, czy ma jeszcze pierścionek. I oto jest.

— Dużo masz tych pierścionków, Albertyno. Na jaki palec włożysz ten, który dostaniesz ode mnie? W każdym razie ten jest bardzo ładny; nie mogę dobrze dojrzeć cyzeloowań dokoła rubinu; rzekłby ktoś, wykrzywiona twarz ludzka. Ale to nie na mój wzrok.

— Choćbyś miał i najlepszy, niewiele by ci pomogło. Ja także nie mogę poznać.

Niegdyś, kiedy czytałem jakieś pamiętniki, powieść, gdzie mężczyzna towarzyszy wszędzie kobiecie, chodzi z nią na podwieczorki, często pragnąłem móc robić to samo. Zdawało mi się niekiedy, że to osiągam; kiedy na przykład towarzyszył kochance Roberta,

kiedym z nią chodził na obiad. Ale daremnie wzywałem na pomoc myśl, że gram w tej chwili rolę, której zazdrościłem w powieści; ta myśl przekonywała mnie, że powinien czuć przyjemność w towarzystwie Racheli, ale nie dawała mi jej. Bo za każdym razem kiedy chcemy naśladować coś, co było naprawdę rzeczywiste, zapominamy, że owo coś zrodziło się nie z chęci naśladowania, ale z nieświadomej i również realnej siły. Otóż tego specjalnego wrażenia, którego nie mogła mi dać cała moja chęć odczuwania subtelnej rozkoszy w spacerze z Rachelą, doznawałem teraz, nie szukając go zgoła, ale z przyczyn zupełnie odmiennych, szczyrych, głębokich; na przykład z tego powodu, że zazdrość moja nie pozwalała mi być daleko od Albertyny i o ile mogłem wychodzić, puścić jej na spacer beze mnie. Odczuwałem to dopiero teraz, dlatego że świadomość tworzy się nie z obserwowanych przez nas rysów zewnętrznych, ale z bezwiednych wrażeń; dlatego że niegdyś kobieta, nawet siedząc obok mnie w powozie, nie była w „rzeczywistości” obok mnie, o ile nie odtwarzała jej tam w każdej chwili moja potrzeba — taka, jaką odczuwałem w stosunku do Albertyny; o ile nieustanna pieśczość mego spojrzenia nie przywracała jej wciąż barw wymagających ustawicznej odnowy, o ile zmysły, nawet ukojone, ale pamiętające, nie dawały tym kolorom soczystości i konsystencji; o ile zazdrość — zespolona ze zmysłami i z podniecającą je wyobraźnią — nie utrzymywała tej kobiety przy mnie w równowadze siłą przyciągania równie potężnego jak prawo ciężenia.

Powóz jechał szybko przez bulwary, aleje, w których ciągnące się domy, różowy skrzep światła i zimna, przypominały mi wizyty u pani Swann, łagodnie oświetlonej przez złoćnienie w oczekiwaniu pory zapalania lamp.

Ledwie miałem czas spostrzec — oddzielony od nich szybą auta niby oknem w swoim pokoju — młodą owocarkę, mleczarkę stojącą przed drzwiami, lśniąca w tym pogodnym dniu niby heroina, którą pragnienie moje zdolne było wciągnąć w rozkoszne perypetie u progu romansu. Tego romansu nie miałem poznać. Bo nie mogłem poprosić Albertyny, abyśmy się zatrzymali; i już znikły młode kobiety. Oczy moje ledwie rozróżniły ich rysy i ledwie upieściły ich świeżość w złotawej mgłę, w której były skąpane. Wzruszenie, jakie mnie ogarniało na widok córki winiarza przy kasie lub młodej praczki gwarzącej na ulicy, było wzruszeniem, jakie człowiek odczuwa poznając Boginię. Od czasu jak Olimp nie istnieje, mieszkańcy jego żyją na ziemi. Tworząc mitologiczne obrazy, malarze brali za modele do Wenus¹⁴⁸ lub do Cerery¹⁴⁹ dziewczęta z ludu uprawiające najpospolitsze rzemiosła; i wówczas, dalecy od popełnienia świętokradztwa, przydali im jedynie — lub przywrócili — ich właściwości i poszczególne atrybuty, z których je wyzuto.

— Jak ci się podobało Trocadéro, ty mała wariatko?

— Wściekle jestem kontenta, że je puściła kantem, aby być z tobą. Jako budynek to dosyć plugawe, prawda? To Davioud¹⁵⁰, zdaje się?

— Ależ moja Albertynka się kształci! W istocie, to Davioud, ale zapomniałem o tym.

— Kiedy ty śpisz, ja czytam twoje książki, leniuchu.

— Słuchaj, mała, doprawdy, ty się zmieniasz tak prędko i stajesz się taka inteligentna — to była prawda, ale poza tym chciałem, aby w braku innych satysfakcji Albertyna mogła sobie powiedzieć, iż czas spędzony u mnie nie jest dla niej tak całkiem stracony — że zwierzyłbym ci w potrzebie rzeczy, powszechnie uznane za fałsz, a odpowiadające prawdzie, której szukam. Czy wiesz, co to jest impresjonizm?

— Doskonale.

— A więc oto co chcę powiedzieć. Przypominasz sobie kościół w Marcouville l'Orgueilleuse, którego Elstir nie lubił, bo był nowy. Czy Elstir nie sprzeniewierza się własnemu impresjonizmowi, wyjmując te budowle z ogólnego wrażenia, w którym są zawarte, aby je wydobyć poza światło, w którym są roztopione i badać na kształt archeologa ich swoistą wartość? Kiedy maluje, czyż szpital, szkoła, afisz na murze nie mają w całości obrazu tej samej wartości co beczenna katedra obok? Przypominasz sobie, jak fasada była wypalona słońcem, jak płaskorzeźba ze świętymi w Marcouville pływała w świetle? Cóż szkodzi, że budowla jest nowa, jeżeli się wydaje stara, a nawet jeśli się nie wydaje? Wyciśnięto do

¹⁴⁸Wenus (mit. rzym.) — bogini miłości i piękna, odpowiednik greckiej Afrodyty. [przypis edytorski]

¹⁴⁹Ceres a. Cerera (mit. rzym.) — bogini wegetacji i urodzaju, matka Prozerpiny; utożsamiana z grecką Demeter. [przypis edytorski]

¹⁵⁰Davioud, Gabriel (1823–1881) — francuski architekt, projektant wielu paryskich budynków użyteczności publicznej. [przypis edytorski]

ostatniej kropli zawartość poezji ukrytą w starych dzielnicach, ale pewne domy, świeżo wzniesione dla bogatych mieszczuchów, w nowych dzielnicach, z nazbyt białego i świeżo obrobionego kamienia, czyż nie rozdzierają skwarne lipcowego południa, w porze gdy ludek wraca na śniadanie, krzykiem równie ostrym jak zapach wiśni, zanim podadzą śniadanie w jakiejś mrocznej jadalni, gdzie szklane pryzmaty służące za podstawkę na noże rzucają różnokolorowe ognie równie piękne jak witraże w Chartres¹⁵¹?

— Jakiś ty kochany! Jeżeli się zrobię inteligentna, to dzięki tobie.

— Czemu w piękny dzień odwracać oczy od Trocadéro, którego wieże w kształcie szyi żyrafy przywodzą na myśl pustelnię w Pawii?

— To Trocadéro sterczące na wzgórzu przypomniało mi także reprodukcję Mantegnyny¹⁵², która jest u ciebie; zdaje się, że to święty Sebastian, gdzie w głębi jest amfiteatralnie wnoszące się miasto i gdzie można by przysiąc, że znajduje się Trocadéro.

— Widzisz! Ale jakim cudem ty znalazłaś reprodukcję Mantegnyny? Jesteś niesłyszana!

Przybyliśmy w dzielnicę bardziej ludowe, gdzie obecność Wenus służebnej za każdą ladą czyniło z lady niby podmiejski ołtarz, u którego stóp rad byłbym spędzić życie.

Tak jak się czyni w wilię przedwczesnej śmierci, sporządzałem bilans przyjemności, których mnie pozbawia granica, jaką Albertyna kładzie mojej wolności. W Passy młode dziewczęta, obejmujące się w pół na środku ulicy zapchanej ludźmi, oczarowały mnie swoim uśmiechem. Nie zdążyłem dokładnie rozróżnić tego uśmiechu, ale mało prawdopodobne było, abym go podchwycił, w każdym bowiem tłumie, w każdym młodym tłumie nierzadko spotka się medalion o szlachetnym profilu. Tak iż te tłumy ludu w święto są dla amatora rozkoszy równie cenne jak dla archeologa rozkopana ziemia, z której motyka dobywa starożytny medale.

Wjechaliśmy do Lasku. Myślałem, że gdyby Albertyna nie wybrała się ze mną, mógłbym w tej chwili w Cirque des Champs-Élysées¹⁵³ posłyszeć wagnerowską burzę jęczącą wszystkimi linami orkiestry, gdy przyciąga do siebie, niby lekką pianę, melodię pastuszą, którą przegrywałem sobie świeżo, gdy ją wzbija w powietrze, ugniata, zniekształca, dzieli, porywa w rosnącym wirze. W każdym razie pragnąłem skrócić naszą przejażdżkę i wrócić wcześniej, bo nie wspominając o tym Albertynie, postanowiłem iść wieczorem do Verdurinów. Przesłali mi zaproszenie, które wraz z innymi rzuciłem do kosza. Ale zmieniłem zamiar na ten wieczór, bo chciałem sprawdzić, kogo Albertyna spodziewała się spotkać u nich po południu. Prawdę mówiąc, doszedłem z Albertyną do tego punktu, kiedy o ile wszystko idzie prawidłowo, w normalnym trybie, kobieta służy nam już tylko za przejście do innej kobiety. Trzyma nas jeszcze za serce, ale mało; pilno nam spieszyć co wieczora, aby spotkać nieznaną, a zwłaszcza nieznaną, którą ona zna, zdolne opowiedzieć nam jej życie. Co do niej samej, posiedliśmy ją już, wyczerpaliśmy wszystko, co zechciała nam oddać z siebie. Jej życie to jeszcze ona sama, ale właśnie ta część, której nie znamy, rzeczy, o które próżnośmy ją pytali i które zdołamy zebrać na nowych ustach.

Jeżeli moje życie z Albertyną miało mnie pozbawić Wenecji, podróży, mógłbym choć teraz, gdybym był sam, poznać młode midinetki rozsypane w blasku słonecznym tej pięknej niedzieli, istoty, których piękność tkwiła dla mnie w znacznej mierze w ożywiający je nieznanym życiu. Czyż oczy, które widzimy, nie są przeniknione spojrzeniem, którego obrazów, wspomnień, nadziei, wzgard, zawartych w tym spojrzeniu i od niego nieodłącznych — nie znamy? Owa egzystencja, będąca życiem przechodzącej istoty, czyż nie zmienia — zależnie od tego, czym jest — wartości zmarszczenia tych brwi, rozdęcia nozdrzy? Obecność Albertyny pozbawiała mnie możliwości podejścia do nich i może uwolnienia się w ten sposób od pokusy. Ten, kto chce podtrzymać w sobie żądzę życia oraz wiarę w coś rozkoszniejszego niż rzeczy zwyczajne, powinien chodzić na spacer; ulice bowiem, aleje pełne są Bogiń. Ale Boginie nie pozwalają zbliżyć się do siebie. Tu i ówdzie, wśród drzew, u wejścia do kawiarni, służąca czuwała jak nimfa u wstępu do

¹⁵¹Chartres — miejscowość we Francji, słynna ze średniowiecznej gotyckiej katedry z XII–XIII w., w której znajduje się ponad 160 kolorowych witraży o łącznej powierzchni 2600 m². [przypis edytorski]

¹⁵²Mantegna, Andrea (ok. 1431–1506) — włoski malarz i rytownik; autor m.in. trzech obrazów ukazujących męczeństwo św. Sebastiana, przywiązane do kolumny i przeszytego strzałami: na dwóch z nich, znajdujących się w muzeach w Wiedniu i w Luwrze, na dalekim planie artysta umieścił położone na wzgórzu miasto. [przypis edytorski]

¹⁵³Cirque des Champs-Élysées — teatr na Polach Elizejskich w Paryżu, cieszący się powodzeniem do lat 80. XIX w., zburzony ok. roku 1900. [przypis edytorski]

świętego gaju, podczas gdy w głębi trzy młode dziewczyny siedziały obok olbrzymiego łuku swoich bicyklów¹⁵⁴ stojących koło nich, niby trzy Nieśmiertelne wsparte łokciem o chmurę lub o bajecznego bieguna¹⁵⁵, na których spełniają swoje mitologiczne podróże. Zauważyłem, że za każdym razem kiedy Albertyna przez chwilę popatrzyła na te dziewczęta, oczy ich z głęboką uwagą natychmiast zwracały się ku mnie. Ale ani nasilenie tej kontemplacji, ani jej krótkość wyrównana nasileniem nie dręczyły mnie zbyt; w istocie, zdarzało się często, że Albertyna, czy pod wpływem zmęczenia, czy że ten sposób patrzenia właściwy jest istocie z natury uważnej, przyglądała się tak jakby w zadumie, bądź mojemu ojcu, bądź Franciszce; co zaś do szybkości, z jaką zwracała się ku mnie, mogła wynikać z faktu, że Albertyna, znając moje podejrzenia, chciała (nawet gdyby nie były uzasadnione) uniknąć dania im pozorów. Z tą samą zresztą uwagą, która wydałaby mi się występna u Albertyny (również gdyby jej przedmiotem byli młodzi ludzie), ja sam spoglądałem na wszystkie midinetki, nie czując się ani przez chwilę winny, niemal mając pretensję do Albertyny, że swoją obecnością przeszkadza mi zatrzymać się i podejść do nich. Uważamy za niewinne to, że my pożądamy, a za okrutne, że ktoś inny pożąda. I ten kontrast między tym, co się tyczy nas, a tym, co się tyczy ukochanej istoty, odnosi się nie tylko do pożądania, ale i do kłamstwa. Cóż zwykleszego niż kłamstwo, czy chodzi na przykład o zamaskowanie codziennych niedomagań gdy chcielibyśmy uchodzić za zdrowych, o ukrycie jakiejś przywary lub o pójsie za swoją ochotą bez urażenia drugiej osoby? Kłamstwo jest najpotrzebniejszym i najpowszechniejszym narzędziem instynktu samozachowawczego. I oto właśnie kłamstwo chcielibyśmy wygnać z życia istoty, którą kochamy, to kłamstwo szpiegujemy, węszymy, tępimy wszędzie! Oburza nas ono, wystarczy, aby spowodować zerwanie, zdaje się nam kryć największe winy, o ile ich nie kryje tak dobrze, że ich nie podejrzewamy. Szczególny to stan, ta nasza przesadna wrażliwość na czynnik chorobowy, dzięki swojej wszechobecności nieszkodliwy dla drugich, a tak groźny dla nieszczęśnika pozbawionego odporności przeciw niemu.

Życie tych ładnych dziewcząt (wskutek mego długiego zamknięcia spotykanych tak rzadko) wydawało się — zarówno jak wszystkim tym, w których łatwość realizacji nie stępiła wyobraźni — czymś równie odmiennym od tego, co znałem, równie upragnionym co najcudowniejsze miasta marzonej podróży.

Zawód doznany przy kobietach, które poznałem, w miastach, które zwiedziłem, nie przeszkadzał mi brać się na urok nowych kobiet i wierzyć w ich realność; toteż tak samo jak ujrzeć Wenecję — Wenecję, której nostalgii budziła we mnie wiosna, a której nie pozwoliliby mi poznać małżeństwo z Albertyną — ujrzeć Wenecję w panoramie, którą Ski uznałby może za piękniejszą w tonie od prawdziwej, nie zastąpiłoby mi w niczym podróży, której czas, określony bez mojego udziału, zdawał mi się nieodzowny do przebycia, tak samo midinetka, bodaj najpiękniejsza, ale sztucznie dostarczona przez stręczycielkę, nie mogłaby się wcielić dla mnie w tę, która kołysząc się niedbale, przechodziła w tej chwili pod drzewami, śmiejąc się z przyjaciółką. Choćby inna, spotkana w domu schadzek, była ładniejsza, to by nie było to samo, bo na oczy nieznanemu dziewczyny nie patrzymy tak, jakbyśmy patrzyli na opalową lub agatową płytkę. Wiemy, że promyk, który ją iryzuje¹⁵⁶, lub błyszczące ziarenka, które w nich migocą, są wszystkim, co możemy ujrzeć z myśli, z woli, z pamięci przechowującej dom rodzinny, którego nie znamy, przyjaciół, którym zazdrościmy. Chęć owdzielenia tym wszystkim, tak trudnym, tak opornym — oto co daje wartość spojrzeniu o wiele bardziej niż sama jego materialna piękność (czym by się może tłumaczyło, że jakiś młody człowiek rozpali wyobraźnię kobiety, która usłyszała, że to jest księżę Walii, a ta sama kobieta nie zwróci już nań uwagi, dowiedziawszy się, że się pomyliła). Spotkać midinetkę w domu schadzek znaczy znaleźć ją wyzutą z owego nieznanego życia, które ją przenika i które pragniemy przez nią osiąść; znaczy zbliżyć się do oczu zmienionych w istocie w zwykłe drogie kamienie; do nosa, którego fałdka jest równie bez znaczenia jak fałdka kwiatu. Nie, o ile bym chciał nadal wierzyć w realność tej nieznanego i przechodzącej opodal midinetki, uważałem za nieodzowne wypróbować jej opór, mierząc z nim moje intencje, narażając się na afronty, wracając do ataku, uzyskując schadzki, wyczekując pod magazynem, poznając szczegół po szczególe to, co składało ży-

¹⁵⁴bicykl — nazwa pierwszych rowerów. [przypis edytorski]

¹⁵⁵biegun — tu: koń, wierzchowiec. [przypis edytorski]

¹⁵⁶iryzować (z gr. *iris*: tęcza) — mienić się barwami tęczy; powodować tęczową grę barw. [przypis edytorski]

cie tej dziewczyny, przenikając to, w co spowija się dla niej przyjemność, której szukam, i dystans, jaki jej rozmaite nawyki i jej swoiste życie pomieściłyby między mną a przywilejem, który chciałbym uchwycić i zdobyć; to było równie nieodzowne co odbyć długą podróż koleją, o ile chciałem wierzyć w realność Wenecji, ujranej naprawdę i nie będącej jedynie panoramą z Wystawy.

Ale właśnie te podobieństwa między pożądaniem a podróżą sprawiły, że sobie przyrzekł zgłębić kiedyś naturę tej siły niewidzialnej, ale równie potężnej jak wiara lub, jak w świecie fizycznym, ciśnienie atmosferyczne; siły, która wznosiła tak wysoko miasta, kobiety, dopóki ich nie znałem, a ulatniała się, skoro tylko zbliżyłem się do nich, dając im natychmiast opaść w płaską i pospolitą rzeczywistość.

Nieco dalej inna dziewczyna, klęcząc, poprawiała coś koło bicyklu. Dokończywszy reparacji, młoda cyklistka siadała na rower, ale nie okraczając go po męsku. Przez chwilę rower kołysał się, a młode ciało zdawało się poszerzone o żagiel, o olbrzymie skrzydło; niebawem ujrzelśmy oddalającą się pędem młodą istotę półludzką, półskrzydlatą, aniola czy wróżkę *peri*¹⁵⁷ biegnącą w dal.

Oto czego mnie pozbawiało pożycie z Albertyną. Czego mnie pozbawiało? Czyż nie należało mi myśleć: czym właśnie mnie darzyło? Gdyby Albertyna nie żyła ze mną, gdyby była wolna, wyobrażałbym sobie — i słusznie — wszystkie te kobiety jako możliwe i prawdopodobne przedmioty jej pożądania, jej rozkoszy. Jawiłyby mi się niby tancerki, które w diabolicznym balecie, wyobrażając dla jednej istoty Pokusę, przeszywają strzałami serce innej istoty. Midinetki, młode dziewczyny, aktorki — jakże bym ich nienawidził! Stając mi się przedmiotem wstępu, byłyby dla mnie wyłączone z powszechnej piękności. Niewola Albertyny, pozwalając mi nie cierpieć przez nie, zwracała je piękności świata. Nieszkodliwe, straciwszy żądło zatruwające serce zazdrością, istoty te pozwalały mi się podziwiać, pieścić się spojrzeniem — kiedyś może bardziej z bliska. Wiążąc Albertynę, przywróciłem wszechświatu wszystkie owe mieniające się skrzydła szeleszczące na promenadach, balach, w teatrach; znów stawały się dla mnie kuszące, bo nie mogły ulec swojej pokusie. Tworzyły piękność świata. Stworzyły niegdyś piękność Albertyny. Wydawała mi się cudowna, dlatego że ją ujrzałem jako tajemniczego ptaka, potem jako wielką aktorkę plaży, upragnioną, posiadaną może. Uwieczony u mnie, ten ptak, któremu ujrzałem pewnego wieczora przechadzającego się miarowym krokiem po promenadzie, w gromadce dziewcząt podobnych mewom przybyłym nie wiadomo skąd, ta Albertyna straciła wszystkie kolory wraz z wszystkimi widokami innych na jej posiadanie. Straciła stopniowo swoją piękność. Trzeba było spacerów takich jak ten, kiedy ją sobie wyobrażałem bez mnie, nagabywaną przez jakąś kobietę lub przez młodego człowieka, abym ją znów ujrzałem w blasku plaży, mimo iż zazdrość moja znajdowała się na innej płaszczyźnie niż schyłek rozkoszy mojej wyobraźni. Ale mimo tych nagłych zrywów, kiedy pożądana przez innych Albertyna znów stawała mi się piękna, mogłem wyraźnie podzielić jej pobyt u mnie na dwa okresy: pierwszy, w którym była jeszcze (mimo iż z każdym dniem coraz mniej) olśniewającą aktorką plaży; drugi, kiedy stawszy się szarym więźniem, sprowadzona do bezbarwnej siebie samej, aby odzyskać swoje barwy, potrzebowała owych błyskawic, w których przypominałem sobie przeszłość.

Czasem, w godzinach gdy mi była najobojętniejsza, nawiedzało mnie wspomnienie odległej chwili, kiedy na plaży — wówczas gdy jej nie znałem jeszcze — niedaleko jakiejś damy, z którą byłem bardzo źle, a z którą (byłem tego prawie pewny teraz) ona utrzymywała stosunki, Albertyna wybuchła śmiechem, patrząc na mnie wyzywająco. Gładkie i błękitne morze szumiało dokoła. Na słonecznej plaży Albertyna w gronie przyjaciółek była najpiękniejsza. I ta wspaniała dziewczyna, w codziennej ramie olbrzymich wód, wyrażała mi ten ostateczny afront, tak miły damie, która ją podziwiała. Był ostateczny, bo kiedy dama wróciła do Balbec, stwierdzała może na promiennej i zgiekliwej plaży nieobecność Albertyny. Ale nie wiedziała, że Albertyna mieszka u mnie, że jest tylko moja. Olbrzymie i modre wody, niepamięć pociągu jej do tej dziewczyny, biegnącego ku innym, skryły zniewagę, jaką mi uczyniła Albertyna, zamykając ją w olśniewającym i nieskruszonym pudrze. Wówczas nienawiść do tej kobiety kąsała moje serce; do Albertyny

¹⁵⁷*Peri* (mit. perska) — piękne, wzniosłe skrzydlate duchy; psotne istoty, którym odmówiony został dostęp do rajów, póki nie dopełnią pokuty; w kulturze islamskiej *Peri* przekształciły się w duchy dobroczynne, w przeciwstawieniu do złośliwych *dżinów*. [przypis edytorski]

także; ale nienawiść zmieszana z podziwem dla pięknej, psutej uwielbieniem, cudnowłosej dziewczyny, której wybuch śmiechu na plaży był afrontem. Wstyd, zazdrość, wspomnienie pierwszych żądź i lśniącej ramy wróciły Albertynie jej dawną piękność, dawną wartość. I w ten sposób ciężka nieco nuda, jaką odczuwałem przy niej, ustępowała chwilami frenetycznemu pragnieniu pełnemu wspaniałych burz i żalów; i zależnie od tego, czy była przy mnie, w moim pokoju, czy też wracałem jej w pamięci swobodę na promenadzie, w wesołych plażowych kostiumach, przy dźwięku muzyki morza, jawiła się Albertyna to wyrwana z tego środowiska, posiadana i mało cenna, to zanurzona w nie z powrotem, wymykająca mi się w nieodgadnioną przeszłość, obrażająca mnie w obecności przyjaciółki, niby bryzg fali lub olśnienie słońca — Albertyna to przeniesiona na plażę, to zamknięta w moim pokoju, przedmiot jakiejś ziemnowodnej miłości.

Gdzie indziej liczna gromadka grała w piłkę. Wszystkie te dziewczęta chciały korzystać ze słońca, bo owe dni letowe, nawet kiedy są tak lśniące, nie trwają długo i blask nie opóźnia ich schyłku. Zanim jeszcze nadszedł, mieliśmy chwilę półmroku, bo dotarliśmy do Sekwany, gdzie Albertyna podziwiała (a przez swoją obecność przeszkodziła mi podziwiać) refleksy czerwonych żagli w zimowej i błękitnej wodzie, dom przycupnięty w dali niby samotny mak na jasnym horyzoncie, którego cząstkowym, kruchym i żyłkowanym skamienieniem zdawało się w oddali Saint-Cloud, wyszliśmy z powozu i chodziliśmy długo; przez chwilę prowadziłem ją nawet pod rękę; miałem uczucie, że pierścień, jakim ramię jej obejmowało moje, łączy nasze dwie osoby w jedną istotę i wiąże nasze losy.

U naszych stóp nasze równoległe cienie, zbliżone i złączone, tworzyły uroczy rysunek. Bez wątpienia już w domu wydawało mi się cudowne, że Albertyna mieszka ze mną, że to ona wyciąga się na moim łóżku. Ale to, że nad owym jeziorem w Lasku, które tak lubilem, u stóp drzew, słońce malowało na piasku obok mojego cienia jej właśnie cień, czysty i uproszczony cień jej nogi, jej kibici, to było jak gdyby jej uzewnętrznieniem w pełnej naturze. I w tym zlanu się naszych cieni znajdowałem czar niewątpliwie mniej materialny, ale nie mniej poufny niż w zbliżeniu się, w zlanu się naszych ciał.

Wróciliśmy do powozu. I w powrotnej drodze powóz zapuścił się w te wąskie kręte aleje, gdzie zimowe drzewa, strojne niby ruiny w bluszcz i ciernie, zdawały się wieść do mieszkania czarnoksiężnika. Ledwie opuściwszy ich mroczny szpaler, na wyjezdnym z Lasku odnaleźliśmy pełny dzień, jeszcze tak jasny, iż sądziłem, że mam czas zrobić wszystko, co chciałem przed obiadem, kiedy parę chwil później, gdy powóz zbliżał się do Łuku Triumfalnego¹⁵⁸, z nagłym uczuciem niespodzianki i przerażenia ujrzałem nad Paryżem pełny i przedwczesny księżyc niby tarczę zatrzymanego zegara, który każe nam przypuszczać, żeśmy się zapóźnili.

Kazaliśmy woźnicy wracać. Dla Albertyny znaczyło to wracać do mnie. Obecność kobiet, choćby najukochańszych, które muszą się rozstawać z nami, aby wracać do domu, nie daje tego spokoju, jaki ja czerpałem w obecności Albertyny siedzącej przy mnie w powozie, obecności wiodącej nas nie ku próżni rozłąki, ale ku jeszcze trwalszemu i zaciszniejszemu połączeniu się w moim mieszkaniu, które było także jej mieszkaniem — materialnym symbolem mojego posiadania. Zapewne aby posiadać, trzeba wprzód pragnąć. Linie, powierzchnię, bryłę posiadamy jedynie o tyle, o ile miłość nasza je zajmie. Ale Albertyna nie była dla mnie w czasie naszego spaceru, jak była niegdyś Rachela, czczym prochem z ciała i materii. Wyobraźnia moich oczu, warg, rąk tak trwale zbudowała, tak czule wygładziła w Balbec jej ciało, że teraz w tym powozie na to, aby dotknąć tego ciała, aby je w sobie zawrzeć, nie potrzebowałem się przytulić do Albertyny ani nawet jej widzieć; wystarczyło mi słyszeć ją, a jeżeli milczała, wiedzieć, że jest przy mnie; zmysły moje, splecione razem, spowijały ją całą, a kiedy przybywszy przed dom, całkiem naturalnie wysiadła, zatrzymałem się na chwilę, aby polecić szoferowi wrócić po mnie, ale spojrzenia moje spowijały ją jeszcze wówczas, gdy wchodziła przede mną w bramę. I wciąż odczuwałem ten sam leniwy i domowy spokój, widząc ją ciężką, purpurową, pulchną i niewolną, wracającą całkiem naturalnie ze mną, jak kobieta będąca moją własnością, i znikającą wraz ze mną w forticy naszego domu.

¹⁵⁸Łuk Triumfalny w Paryżu — pomnik na zach. krańcu Pól Elizejskich, zbudowany dla uczczenia żołnierzy, którzy walczyli i polegali za Francję w czasie wojen okresu rewolucji i wojen napoleońskich, mający formę jednoarkadowego rzymskiego łuku triumfalnego. [przypis edytorski]

Na nieszczęście Albertyna robiła wrażenie, że się w nim czuje jak w więzieniu, dzieląc widocznie pogląd owej pani de La Rochefoucauld¹⁵⁹, która kiedy jej pytano, czy nie miło jej mieszkać w siedzibie tak uroczej jak Liancourt, odpowiedziała, iż „nie ma pięknego więzienia”. Tak mogłem przynajmniej sądzić ze smutnej i zmęczonej miny, jaką Albertyna miała tego wieczora podczas naszego obiadu sam na sam w jej pokoju. Nie zauważyłem tego zrazu; przeciwnie, trapiłem się myślą, że gdyby nie Albertyna (bo z nią za wiele bym cierpiał mąk zazdrości w hotelu, gdzie przez cały dzień byłaby narażona na styczność z tyloma osobami), mógłbym w tej chwili jeść obiad w Wenecji w jakiejś małej jadalni, niskiej niby spód okrętu, skąd widzi się Wielki Kanał¹⁶⁰ przez sklepienie okienka okolone mauretańskimi odlewami.

Muszę dodać, że Albertyna podziwiała u mnie wielki brąz Barbedienne’a¹⁶¹, który nader słusznie Bloch uważał za bardzo brzydki. Mniej słusznie może dziwił się, że ja zachowałem ten brąz. Nigdy nie starałem się, jak Bloch, o wnętrza artystyczne, o komponowanie pokojów, byłem za leniwy, zbyt obojętny na to, na co patrzyłem co dzień. Skoro mój smak był na to obojętny, miałem prawo nie dbać o szczegóły mieszkania. Mógłbym zapewne usunąć ten brąz. Ale rzeczy brzydkie i bogate są bardzo użyteczne, bo wywierają na osoby nierozumiejące nas, niepodzielające naszego gustu, a w których możemy być zakochani, urok, którego by nie miał jakiś dumny przedmiot, niezdradzający swojej piękności. Otóż jedynie właśnie wobec istot nierozumiejących nas możemy potrzebować przewagę, które inteligencja nasza zapewniłaby nam w oczach istot mniej pospolitych. Mimo iż gust Albertyny zaczynał się wyrabiać, miała ona jeszcze pewien kult dla brązów, a kult ten opromieniał mnie szacunkiem, który — skoro kochałem Albertynę — był dla mnie znacznie ważniejszy niż fakt trzymania w pokoju brązu nieco kompromitującego.

Ale myśl o mojej niewoli przestała mi nagle ciążyć, przeciwnie, pragnąłem przedłużyć ją jeszcze, ponieważ zauważyłem, że Albertyna dotkliwie odczuwa własną niewolę. Zapewne, za każdym razem, kiedy pytałem, czy się jej nie przykrzy u mnie, odpowiadała, że nigdzie nie mogłoby być jej lepiej. Ale często słowom tym przeczył wyraz nostalgii, zdenerwowania.

Z pewnością, jeżeli miała skłonności, o jakie ją posądzałem, niemożność zaspokojenia ich musiała być równie drażniąca dla niej, jak była kojąca dla mnie. Łatwiej mógłbym uwierzyć w niesłuszność moich posądzeń, gdyby nie trudność wytłumaczenia szczególnej baczności, z jaką Albertyna starała się nigdy nie być sama, nigdy nie być wolna, nie zatrzymywać się ani chwili przed bramą, kiedy wracała, kazać sobie, ilekroć miała telefonować, ostentacyjnie towarzyszyć komuś — Franciszce, Annie — kto by mi mógł powtórzyć jej słowa. Kiedy były na spacerze z Anną, zawsze zostawiała mnie z nią samego, niby to przypadkiem, abym mógł się szczegółowo wypytać o to, jak spędziły czas. Z tą cudowną uległością klóciły się przelotne odruchy niecierpliwości, rodzące we mnie pytanie, czy Albertyna nie kryje chęci strząśnięcia swego łańcucha. Przygodne fakty wspierały mój domysł. I tak pewnego dnia, będąc sam, spotkałem w pobliżu Passy Gizelę; rozmawialiśmy chwilę. W trakcie rozmowy, dość rad, że mogę to oznajmić Gizeli, powiedziałem, że stale widuję Albertynę. Spytała, gdzie mogłaby ją znaleźć, bo właśnie ma jej coś do powiedzenia. — „Co takiego?” — „Et, coś, co tyczy jej koleżanek.” — „Co za koleżanek? Mógłbym cię może objaśnić, co oczywiście nie przeszkodzi ci widzieć jej”. — „Och, dawnych koleżanek, nie przypominam już sobie nazwisk” — rzekła Gizela mgliście, wycofując się. Pożegnała mnie, sądząc, że zachowała wszelką ostrożność i że niczym nie zbudziła mojej nieufności. Ale kłamstwo jest niewybredne, tak mało mu trzeba, aby wyszło na jaw! Jeśli chodziło o dawne koleżanki, których nazwisk nawet nie znała, czemu Gizela właśnie potrzebowała mówić z Albertyną? Ten przysłówek, dość spowinowacony z ulubionym wyrażeniem pani Cottard: „to spada jak z nieba”, mógł się odnosić tylko do jakiejś rzeczy specjalnej, aktualnej, może pilnej, tyczącej określonych osób. Zresztą już

¹⁵⁹ *pani de La Rochefoucauld, która kiedy jej pytano, czy nie miło jej mieszkać w siedzibie tak uroczej jak Liancourt...* — chodzi raczej o panią de La Rocheguyon (de La Roche-Guyon), uwięzioną w pałacu Liancourt, i jej odpowiedź, przytoczoną w *Historijkach* Tallemanta des Réaux (1619–1692), wydanych pośmiertnie w latach 1834–1835. [przypis edytorski]

¹⁶⁰ *Wielki Kanał* (wł. *Canal Grande*) — jeden z głównych kanałów Wenecji, o dł. ok. 4 km i szer. 30–60 m, przepływając przez środek Wenecji dzieli ją na dwie części; wzdłuż jego brzegów powstały w XIII–XVIII w. liczne, znane budowle. [przypis edytorski]

¹⁶¹ *Barbedienne, Ferdinand* (1810–1892) — francuski metaloplastyk, wytwórca, brązownik. [przypis edytorski]

sam sposób otwierania ust niby do ziewnięcia, z roztargnieniem, kiedy mówiła (niemal przechylając się wstecz, jak gdyby dawała kontrparę od tej chwili rozmowy): „Och, nie wiem, nie przypominam sobie nazwisk!” — wszystko to dawało twarzy Gizeli i zgodnie z nią głosowi w tym samym stopniu cechę kłamstwa, w jakim wręcz odmienny wyraz — konkretny, ożywiony — owego: „mam właśnie” wyrażał prawdę.

Nie wypytywałem Gizeli. Na co by się to zdało? Z pewnością kłamała w innym sensie niż Albertyna. I z pewnością kłamstwa Albertyny były mi boleśniejsze. Ale po pierwsze istniał między nimi wspólny punkt: sam fakt kłamstwa, które w pewnych wypadkach staje się oczywistością. Nie realność, kryjąca się w tym kłamstwie. Wiadomo, każdy morderca wyobraża sobie, iż skombinował wszystko tak dobrze, że nie da się złapać; pośród kłamców wyobrażają to sobie zwłaszcza kobiety, które kochamy. Nie wiemy, dokąd chodziła, co robiła. Ale skoro się odezwie, kiedy mówi o jakiejś innej rzeczy, pod którą kryje się to, czego nie mówi, kłamstwo przebija natychmiast, a zazdrość nasza wzmaga się, i dlatego że czuje się kłamstwo, i że niepodobna dojść prawdy. U Albertyny wrażenie kłamstwa dawały różne rysy, które już czytelnik zauważył w ciągu tego opowiadania, ale zwłaszcza ten, że kiedy kłamała, opowiadanie jej grzeszyło bądź ogólnikowością, lukami, nieprawdopodobieństwem, bądź przeciwnie, nadmiarem drobnych faktów mających je uprawdopodobnić. Mimo złudzenia kłamcy prawdopodobieństwo nie jest wcale prawdą. Z chwilą kiedy, słuchając czegoś prawdziwego, usłyszymy coś, co jest tylko prawdopodobne — może prawdopodobniejsze od prawdy — może zbyt prawdopodobne — bodaj trochę muzykalne ucho czuje, że to nie to, niby arytmię wiersza lub jakieś słowo przeczytane głośno zamiast innego. Ucho słyszy to, a jeżeli wchodzi w grę miłość, serce odczuwa. I wówczas kiedy zmieniamy całe swoje życie, dlatego że nie wiemy, czy przechodziła ulicą de Berri, czy ulicą Washington, czemuż nie pomyślimy, że tych kilka metrów różnicy i sama kobieta skurczą się do jednej setnomilionowej (to znaczy do zera), o ile tylko zdobędziemy się na ten rozsądek, aby wytrwać kilka lat bez widzenia tej kobiety, i że to, co było olbrzymim Guliwerem, stanie się liliputką, której nie zdoła już dostrzec żaden mikroskop — przynajmniej mikroskop serca, bo mikroskop obojętnej pamięci jest potężniejszy i trwalszy.

Jak bądź się rzeczy miały, jeżeli istniał wspólny punkt — sam fakt kłamstwa — między kłamstwami Albertyny i Gizeli, bądź co bądź Gizela nie kłamała w ten sam sposób co Albertyna ani także nie w ten sam sposób co Anna; ale ich ewentualne kłamstwa (przedstawiając równocześnie wielką różnorodność) zająłoby się idealnie. Gromadka ta posiadała nieprzenikloną solidarność pewnych domów handlowych — księgarni lub prasy na przykład — gdzie mimo różnorodności składających je osób, nieszczęśliwy autor nigdy nie zdoła się dowiedzieć, czy go wykierowano. Redaktor dziennika lub tygodnika kłamie z pozorami szczerości tym uroczyściej, ile że trzeba mu w niejednej okazji pokrywać fakt, że sam robi ściśle to samo i uprawia te same praktyki handlowe, które piętnował u innych redaktorów lub dyrektorów teatru, u innych wydawców, wówczas gdy podniósł przeciw nim sztandar Szczerości. Obwieścić (jako głowa stronnictwa politycznego lub w innym charakterze), że kłamstwo to jest rzecz okropna, zmusza najczęściej do tego, żeby kłamać więcej od innych, nie porzucając mimo to uroczyściej maski, nie zdejmując dostojnej tiary szczerości. Wspólnik „człowieka szczerego” kłamie inaczej, naiwniej. Oszukuje autora, jak oszukuje żonę, za pomocą farsowych sztuczek. Sekretarz redakcji, człowiek uczciwy i pospolity, kłamie po prostu jak architekt przyrzekający, że dom będzie gotowy w terminie, w którym nawet nie będzie zaczęty. Naczelnik redakcji, anielska dusza, wołytuje między tamtymi trzema i nie wiedząc, o co chodzi, przez braterski skrupuł i tkliwą solidarność używa im cennej pomocy niepodjętego słowa. Te cztery osobistości żyją w ustawicznej dysharmonii, której kładzie koniec zjawienie się autora. Ponad poszczególne zwady każdy z nich pamięta o świętym żołnierskim obowiązku spieszenia z pomocą zagrożonemu „korpusowi”. Nie zdając sobie z tego sprawy, od dawna odgrywałem wobec gromadki dziewcząt rolę tego autora. Jeżeli Gizela, mówiąc swoje „właśnie”, myślała o jakiejś koleżance Albertyny gotowej jechać z nią w podróż, z chwilą gdy mnie Albertyna pod tym czy innym pozorem opuści, i jeżeli chciała uprzedzić Albertynę, że godzina już nadeszła lub wybije niedługo, ta sama Gizela raczej by się dała porąbać, niżby mi to powiedziała; wszelkie pytania były więc bezcelowe.

Nie tylko takie spotkania jak z Gizelą pogłębiały moje wątpliwości. Podziwiałem na przykład malarstwo Albertyny. Malarstwo Albertyny, wzruszająca rozrywka więźnia, rozczuliło mnie tak, że go jej powinszowałem.

— Nie, to bardzo liche, ale ja nie brałam ani jednej lekcji rysunku.

— Ale któregoś wieczora w Balbec mówiłaś mi, żeś została z powodu lekcji rysunku?

Przypomniałem jej ów dzień, dodając, że od razu zrozumiał, iż o tej godzinie nie bierze się lekcji rysunku. Albertyna zaczerwieniła się.

— Masz słuszość — rzekła. — Nie brałam lekcji rysunku i w ogóle dużo ci kłamałam w początkach, przyznaję. Ale teraz nie kłamię już nigdy.

Tak bym rad był wiedzieć, co to były za liczne kłamstwa w początkach, ale wiedziałem z góry, że wyznania Albertyny byłyby nowym kłamstwem. Toteż po prostu pocałowałem ją. Poprosiłem tylko dla przykładu o któreś z tych kłamstw. Odpowiedziała: „O, na przykład, że mi morskie powietrze szkodzi”. Wobec tak wyraźnej złej woli przestałem nalegać.

Iżby się łańcuch wydał Albertynie lżejszy, najlepiej było zapewne utrzymywać ją w mniemaniu, że go sam skruszę. Bądź co bądź tego kłamliwego zamiaru nie mogłem jej objawić w tej chwili; zbyt poczciwie wróciła dopiero co z Trocadéro; jedyne, co mogłem zrobić zamiast ją martwić groźbą zerwania, było kryć rojenia mego wdzięcznego serca o wiecznym wspólnym życiu. Patrząc na Albertynę, z trudem wstrzymywałem się od zwierzenia tych rojeń, może ona to spostrzegła. Nieszczęściem, wyraz takich uczuć nie jest zaraźliwy. Wypadek pana de Charlus, który, widząc tak długo w swojej wyobraźni wspaniałego młodzieńca, wierzy, że sam stał się wspaniałym młodzieńcem, i to tym bardziej, im bardziej jest zmanierowaną i śmieszną starą damą, ten wypadek jest dość powszechny. Zakochany, na swoje nieszczęście, nie zdaje sobie sprawy, iż podczas gdy on widzi przed sobą piękną twarz, kochanka jego widzi twarz jego, która nie stała się piękniejsza — wręcz przeciwnie! — kiedy ją zniekształca rozkosz zrodzona widokiem piękności. Miłość zresztą nie wyczerpuje wszystkich odmian tego wypadku; nie widzimy naszego ciała, które widzą inni, i „ścigamy” swoją ideę, przedmiot niewidzialny drugim, a obecny dla nas. Czasem artysta ukaże ją w swoim dziele. Stąd pochodzi, że admiratorzy dzieła doznają rozczarowania, poznając autora, w którego twarzy owa wewnętrzna piękność niedoskonale się odbija.

Wszelka istota kochana, a nawet poniekąd wszelka istota, jest dla nas niby Janus¹⁶², ukazujący nam twarz powabną, gdy nas ta istota opuszcza, a uprzykrzoną, jeśli ją mamy wiecznie do dyspozycji. Co się tyczy Albertyny, ustawiczne pożycie z nią miało coś inaczej uciążliwego, niż to mogę tutaj wyrazić. Okropną rzeczą jest czuć życie innej osoby przywiązane do naszego niby bomba, którą niesiemy, nie mogąc jej porzucić bez zbrodni. Ale proszę wziąć jako porównanie przypyływy i odpływy, niebezpieczeństwa, niepokój, obawę, że ktoś uwierzy później w rzeczy fałszywe i prawdopodobne, a niemożliwe do wytłumaczenia, uczucia, jakich się doznaje, żyjąc w pobliżu wariata. Żałowałem na przykład pana de Charlus, że żyje z Morelem (wspomnienie południowej sceny przyprawiło mnie o nagły skurcz serca); pomijając stosunki istniejące lub nieistniejące między nimi, pan de Charlus z pewnością nie wiedział z początku, że Morel jest wariat. Piękność Morela, jego nikczemność, jego pycha musiały odwrócić barona od takich dociekań, aż do melancholijnych dni, kiedy Morel (nie mogąc tego niczym poprzeć) obwiniał pana de Charlus o swój smutek, kiedy go lżył za jego nieufność przy pomocy fałszywych, lecz nadzwyczaj subtelnych rozumowań, groził mu rozpaczliwymi postanowieniami, wśród których trwała najwyraźniejsza pamięć bezpośredniej korzyści. Wszystko to jest tylko porównanie. Albertyna nie była obłąkana.

*

Dowiedziałem się, że tego właśnie dnia nastąpiła śmierć, która mnie bardzo zmar-twiła: śmierć Bergotte'a. Czytelnik wie, że choroba jego ciągnęła się od dawna. Nie ta oczywiście, na którą cierpiał zrazu i która była naturalna. Zdaje się, że natura zsyła jedynie

¹⁶²Janus (mit. rzym.) — bóg początków, przejść i zmian, opiekun drzwi, bram i mostów, zwyczajowo przedstawiany z dwiema twarzami. [przypis edytorski]

choroby dość krótkie. Ale medycyna posiadała sztukę przedłużania ich. Lekarstwa, ulga jaką przynoszą, złe samopoczucie spowodowane pauzą w ich używaniu stwarzają imitację choroby, którą przyzwyczajenie pacjenta w końcu utrwała, stylizuje, tak jak u dzieci wyleczonych z koklusu długo trwa napadowy kaszel. Potem lekarstwa działają coraz mniej, zwiększa się dawki, nie przynoszą już żadnej ulgi, ale dzięki tej trwałej niedyspozycji zaczęły szkodzić. Natura nie dałaby im tak długiego trwania. To wielki cud, że medycyna, niemal dorównując naturze, może zmusić do leżenia w łóżku, do zażywania pod grozą śmierci lekarstwa. Odtąd sztucznie zaszczepiona choroba zapuściła korzenie, stała się chorobą wtórną, lecz prawdziwą, z tą jedynie różnicą, że choroby naturalne mijają, ale nigdy te, które stwarza medycyna, bo ona nie zna sekretu uleczenia.

Od wielu lat Bergotte nie wychodził już z domu. Nigdy zresztą nie lubił świata lub też lubił go przez chwilę, aby nim wzgardzić jak wszystkim innym i w ten sam właściwy sobie sposób, polegający na tym, aby gardzić czymś nie dlatego, że się tego nie może uzyskać, ale skoro się to uzyskało. Żył tak skromnie, że nie podejrzewano, jak dalece jest bogaty; gdyby zaś wiedzano o tym, omyłono by się znowuż, mając go za skąpca, gdy w istocie nie było równie hojnego człowieka. Był hojny zwłaszcza z kobietami — ściślej mówiąc z dziewczynkami — które wstydziły się, otrzymując aż tyle za tak mało. Miał dla siebie usprawiedliwienie, bo wiedział, że nigdy nie pisze mu się tak dobrze jak w atmosferze miłości. Miłość — to za wiele powiedziane; rozkosz, lekko wpijająca się w ciało, pomaga do pracy literackiej, bo niweczy inne przyjemności, na przykład przyjemności towarzyskie, jednakie dla wszystkich. I nawet jeżeli ta miłość przynosi rozczarowania, porusza bodaj — przez to samo — powierzchnię duszy, bez tego zagrożonej zastojem. Pożądanie nie jest tedy dla pisarza bez pożytku; najpierw przez to, że go oddala od innych ludzi i od stosowania się do nich, a potem że przywraca nieco sprawności machinie intelektualnej, która przekroczywszy pewne lata, skłonna jest zardzewieć. Nie jest człowiek szczęśliwy, ale rozważa przyczyny, które mu bronią szczęścia i które pozostałyby dlań niewidzialne bez tych nagłych perspektyw rozczarowania. Marzenia są nieziszczalne, wiemy o tym; nie snuliśmy ich może, gdyby nie pożądanie; dobrze jest odczuwać je po to, aby oglądać ich ruiny i aby ta ruina była nam nauką. Toteż Bergotte powiadał sobie: „Wydaję na dziewczynki więcej niż kilku milionerów razem, ale przyjemności lub zawody, jakie z nich czerpię, tworzą w rezultacie książkę, która mi daje pieniądze”. Biorąc ekonomicznie, rozumowanie to było absurdem, ale niechybnie Bergotte znajdował pewną przyjemność w tym, aby tak zmieniać złoto w pieszczoty, a pieszczoty w złoto.

Widzieliśmy w momencie śmierci babki, że zmęczona starość lubi odpoczynek. Otóż w towarzystwie istnieje tylko rozmowa. Jest idiotyczna, ale ma tę władzę, że neutralizuje kobiety, zmieniając się już tylko w pytania i odpowiedzi. Poza „światem” kobiety stają się z powrotem tym, co jest takim wypoczynkiem dla zmęczonego starca: przedmiotem kontemplacji. W każdym razie obecnie nie było już mowy o tym wszystkim. Wspomniałem, że Bergotte nie wychodził już z domu, kiedy zaś wstawał na godzinę, to cały zakutany w szale, w pledy, we wszystko, czym się człowiek okrywa w chwili, gdy ma wyjść na mróz albo wsiąść do wagonu. Tłumaczył się wobec nielicznych przyjaciół, których wpuszczał do siebie, i pokazując koce i kołdry, mówił wesoło: „Cóż chcesz, mój drogi, już Anaksagoras¹⁶³ powiedział, że życie jest podróżą”. I tak stygnął powoli, niby mała planeta, wróżebny obraz wielkiej — Ziemi, kiedy zniknie z niej stopniowo ciepło, a potem życie. Wówczas skończy się zmartwychwstanie, bo choćby dzieła ludzkie promieniowały najdalej w przyszłe pokolenia, trzebaż jednak, aby byli ludzie! Jeżeli niektóre gatunki zwierząt oprą się dłużej zaborczemu zimnu, kiedy nie będzie już ludzi, sława Bergotte’a (przyjąwszy, że przetrwa do tej pory), zgaśnie nagle na zawsze. Ostatnie zwierzęta nie będą go czytały, mało bowiem prawdopodobne jest, aby na wzór apostołów w Zielone Świątki¹⁶⁴ mogły zrozumieć mowę rozmaitych ludów, nie nauczywszy się jej.

W miesiącach, które poprzedziły jego śmierć, Bergotte cierpiał na bezsenność; co gorsze, z chwilą gdy usnął, dręczyły go koszmary, co sprawiało, że się po przebudzeniu

¹⁶³Anaksagoras z Kladzomen (ok. 500—ok. 428 p.n.e.) — filozof grecki, przedstawiciel jońskiej filozofii przyrody. [przypis edytorski]

¹⁶⁴Zielone Świątki — w polskiej tradycji katolickiej ludowa nazwa święta Zesłania Ducha Świętego, obchodzonego na pamiątkę wydarzeń opisanych w biblijnych *Dziejach Apostolskich*, kiedy apostołowie Jezusa zaczęli przemawiać w rozmaitych obcych językach, których się uprzednio nie uczyli (Dz 2, 1–11). [przypis edytorski]

broniał przed nowym zaśnięciem. Długi czas lubił sny, nawet przykre, bo dzięki nim, dzięki ich kontrastowi z rzeczywistością dostępną w czasie jawy mamy z chwilą przebudzenia głębokie wrażenie, żeśmy spali. Ale zmory Bergotte'a były inne. Dawniej, kiedy mówił o zmorach, rozumiał pod tym przykre rzeczy dziejące się w jego mózgu. Teraz czuł, jak gdyby z zewnątrz, rękę zbrojną w mokrą ścierkę, za pomocą której, przeciągając tę ścierkę po jego twarzy, zła kobieta siła się go obudzić; czuł też nieznośne swędzenie ud oraz wściekłość oszalałego woźnicy (bo Bergotte szepnął przez sen, że źle powozi), który się rzucał nań, gryząc mu palce, piłując je zębami. Wreszcie, skoro mrok jego snu był dość głęboki, natura robiła rodzaj „próby bez kostiumów” ataku apoplektycznego, który go miał powalić. Bergotte wjeżdżał powozem w bramę nowego domu Swanna, chciał wysiąść. Piorunujący zawrót głowy przygwałdził go do poduszek powozu, odzwierny siłił się mu pomóc, ale on siedział, nie mogąc się podnieść ani wyprostować nóg. Próbował się uczepić kamiennego filara, który miał przed sobą, ale nie znajdował w nim dostatecznego oparcia, aby wstać.

Poradził się lekarzy, którzy dumni z tego, że ich wzywa Bergotte, ujrzeli przyczynę niedomagań w jego pracowitości (już od dwudziestu lat nic nie robił), w przemęczeniu. Poradzili mu, żeby nie czytał makabrycznych powieści (nie czytał nic), aby więcej korzystał ze słońca, „nieodzownego do życia” (kilka lat względnego polepszenia zawdzięczał jedynie ścisłemu zamknięciu się w domu), aby się wydatniej odżywił (z czego schudł i co odżywiło zwłaszcza jego zmory). Jeden z lekarzy, mający pasję sprzeciwiania się i droczenia, kiedy go Bergotte wezwał osobno i kiedy, aby go nie urazić, przedstawiał mu jako własne poglądy to, co mu poradzili inni, lekarz-spryżka, myśląc, że Bergotte stara się uzyskać zaordynowanie czegoś, na co ma ochotę, zabraniał mu tego natychmiast, często na zasadzie doraźnych argumentów sporządzonych tak szybko, że wobec faktycznych obiekcji Bergotte'a lekarz-spryżka musiał w jednym i tym samym zdaniu przeczyć samemu sobie; ale na podstawie nowych racji potwierdzał zakaz. Bergotte wracał wówczas do jednego z poprzednich lekarzy, człowieka mającego ambicje intelektualne, zwłaszcza wobec jednego z mistrzów pióra; toteż jeśli Bergotte podsuwał: „Ale bo zdaje mi się, że pan doktor mówił — dawniej, oczywiście — że to może spowodować przekrwienie nerek i mózgu...”, lekarz uśmiechał się sprytnie, podnosił palec i powiadał: „Powiedziałem »używać«, ale nie »nadużywać«. Rzecz prosta, iż wszelkie lekarstwo, jeżeli się przesadza, staje się obosieczną bronią”.

Jest w naszym organizmie instynkt tego, co nam jest zbawienne, tak jak w sercu jest instynkt obowiązków moralnych, których żadna sankcja doktora medycyny lub teologii nie zastąpi. Wiemy, że zimne kąpiele nam szkodzą, a lubimy je; zawsze znajdziemy lekarza, który je nam zaleci, co nie zmienia faktu, że nam szkodzą. Od każdego z lekarzy Bergotte wziął to, czego przez rozsądek wzbraniał sobie od lat. Po kilku tygodniach dawne przypadłości wróciły, nowe pogorszyły się. Oszalały od nieustannych cierpień, do których przylączyła się bezsenność przerywana zmorami, Bergotte poniechał lekarzy i próbował z powodzeniem, ale często nadmiernie, rozmaitych narkotyków, z ufnością czytając dołączone do nich prospekty. Prospekty to głosiły potrzebę snu, ale insynuowały, że wszystkie sprowadzające sen preparaty (z wyjątkiem preparatu zawartego we flaconie zawiniętym w ów prospekt i nigdy nie grożącego zatruciem) są toksyczne i tym samym czynią lekarstwo gorszym od choroby. Bergotte wypróbował wszystkie te środki. Niektóre są z innej rodziny niż te, do których jesteśmy przyzwyczajeni, na przykład pochodne amylu i etylu. Nowy preparat o całkiem innym składzie pochłaniamy z rozkosznym oczekiwaniem czegoś nieznanego. Serce bije nam jak przed pierwszą schadzka. Ku jakim nieznanym rodzajom snu, marzenia zaprowadzi nas nowy przybysz? Jest teraz w nas, ma władzę nad naszą myślą. W jaki sposób zaśniemy? A skoro raz zaśniemy, przez jakie dziwne drogi, na jakie niezbadane wierzchołki, w jakie otchłanie zawiedzie nas wszechpotężny władca? Jaką nową kombinacją wrażeń poznamy w tej podróży? Czy doprowadzi nas do nudności? Bo błogostanu? Do śmierci?

Śmierć Bergotte'a nastąpiła wczoraj, właśnie wówczas gdy się w ten sposób zawierzył jednemu z tych zbyt potężnych przyjaciół (przyjaciół? wrogów?). Umarł w następujących okolicznościach. Dość lekki atak uremii sprawił, że mu zalecano spokój. Ale ponieważ

jakiś krytyk napisał, iż w *Widoku Delft* Vermeera¹⁶⁵ (wypożyczonym przez muzeum haskie na wystawę Holendrów), obrazie, który Bergotte uwielbiał, sądząc, że go zna bardzo dobrze, kawałek żółtej ściany, której Bergotte sobie nie przypominał, wymalowany jest tak wspaniale, że kiedy się patrzy wyłącznie na ten fragment, wydaje się niby szacowne dzieło sztuki chińskiej, samowystarczalne w swojej piękności, Bergotte zjadł parę kartofli, wyszedł z domu i udał się na wystawę. Wstępując na pierwsze stopnie, uczuł zawrót głowy. Przechodząc koło kilku obrazów, odniósł wrażenie oschłości i zbyteczności sztuki tak sztucznej, mniej wartej od przewiewu i słońca w jakimś pałacu w Wenecji lub w zwykłym domku nad morzem. W końcu znalazł się przed obrazem Vermeera, który pozostał mu w pamięci bardziej olśniewający, bardziej różny od wszystkiego, co znał, ale w którym, dzięki artykulowi krytyka, pierwszy raz zauważył drobne postacie ludzkie malowane niebiesko i to, że piasek był różowy, i wreszcie szacowną materię kawałka żółtej ściany. Zawrót był coraz silniejszy; Bergotte wlepił wzrok w beczenną ścianę, jak dziecko wpatruje się w żółtego motyla, którego pragnie pochwycić. „Tak powinienem być pisać — powiedział sobie. — Moje ostatnie książki są za suche; trzeba było je pociągnąć kilka razy farbą, uczynić każde zdanie cennym samo w sobie, jak ten fragment żółtej ściany”. Równocześnie nie tracił poczucia swego groźnego stanu. Na niebiańskiej wadze jawiło mu się jego własne życie obciążające jedną z szal, gdy druga zawierała kawałek ściany tak pięknie namalowanej żółto. Bergotte czuł, że niebacznie oddał pierwsze za drugie. „Nie mam przecież ochoty — powiadał sobie — figurować na tej wystawie w wieczornej rubryce wypadków”.

Powtarzał sobie: „Kawałek żółtej ściany z daszkiem, kawałek żółtej ściany”. Zwalił się na okrągłą kanapę; równie szybko przestał myśleć, że życie jego jest w grze, i odzyskując optymizm, powiedział sobie: „Zwykła niestrawność, niedogotowane kartofle, to nic”. Nowy cios powalił go: Bergotte stoczył się na ziemię, zbiegła się publiczność wraz z woźnymi. Był martwy. Martwy na zawsze? Kto to może powiedzieć? Niewątpliwie, doświadczenia spirytystyczne, jak dogmaty religijne, nie dają dowodu przetrwania duszy. Można jedynie powiedzieć, że wszystko się dzieje w naszym życiu tak, jak gdybyśmy w nie wchodzili z ciężarem zobowiązań zaciągniętych w życiu poprzednim; w warunkach naszej egzystencji na tej ziemi nie ma żadnej racji, abyśmy się uważali za zobowiązanych do jakichś cnót, do delikatności, grzeczności, ani nie ma racji, aby artysta czuł się zobowiązany rozpoczynać dwadzieścia razy jedno dzieło, którego sukces mało będzie obchodził jego ciało toczone przez robaki — jak ten fragment żółtej ściany, który namalował z takim kunsztem i wyrafinowaniem artysta na zawsze nieznanym, dość na niepewne określony nazwiskiem „Vermeer”. Wszystkie te zobowiązania, niemające sankcji w życiu obecnym, zdają się należeć do odmiennego świata, opartego na dobroci, na względach moralnych, na poświęceniu; świata całkowicie odmiennego niż nasz; świata, który opuszczamy, aby się urodzić na tej ziemi, zanim może wrócimy tam, aby żyć wedle owych nieznanym praw, którym byliśmy posłuszni, bo nosiliśmy je w sobie, nie wiedząc, kto w nas zakreślił te prawa, do których wszelka głęboka praca inteligencji nas zbliża, a które są niewidzialne jedynie — a i to pytanie! — głupcom. Tak iż myśl, że Bergotte nie umarł na zawsze, nie jest pozbawiona prawdopodobieństwa.

Pogrzebano go, ale przez całą noc żalobną w oświetlonych witrynach książki jego, ułożone po trzy, czuwały jak anioły z rozpostartymi skrzydłami i zdawały się symbolem zmartwychwstania tego, którego już nie było.

Dowiedziałem się, jak już wspominałem, tego dnia, że Bergotte umarł. I podziwiałem nieścisłość dzienników, które wszystkie powtarzały tę samą notatkę, powiadając, że umarł poprzedniego dnia. Otóż w wilię Albertyna spotkała Bergotte'a (opowiedziała mi to tego samego wieczora) i przez to nawet spóźniła się trochę, bo rozmawiał z nią dość długo. Z pewnością to była jego ostatnia rozmowa. Znała go przeze mnie. Nie widywałem już Bergotte'a od dawna, ale ponieważ Albertyna była ciekawa go poznać, napisałem przed rokiem do starego mistrza z prośbą, abym ją mógł przyprowadzić. Zgodził się, mimo

¹⁶⁵Vermeer, Johannes (1632–1675) — malarz holenderski, autor głównie scen rodzajowych; *Widok Delft* (ok. 1661) stanowi jeden z jego dwóch obrazów przedstawiających widoki miejskie. [przypis edytorski]

iz, jak sędzę, trochę dotknięty, że go odwiedzam jedynie po to, aby zrobić przyjemność komuś innemu, potwierdzając tym własną moją obojętność. Takie wypadki są częste: czasami ten, kogo błagamy o taką audiencję nie dla przyjemności porozmawiania z nim znowu, ale dla osoby trzeciej, odmawia tak uparcie, iż nasza protegowana sądzi, żeśmy się chęlpili fałszywymi stosunkami; częściej geniusz lub sławna piękność zezwalają, ale upokorzeni w swojej dumie, zranieni w swojej przyjaźni, zachowują dla nas już tylko uczucie pomniejszone, bolesne, nieco wzgardliwe. W długi czas potem zgadłem, że niesłusznie oskarżałem dzienniki o nieścistość, bo owego dnia Albertyna wcale nie spotkała Bergotte'a; ale ani przez chwilę nie podejrzewałem niczego, w tak naturalny sposób mi to opowiedziała. Znacznie później dopiero poznałem jej uroczą sztukę kłamania z prostotą. To, co mówiła, to, co mi wyznawała, miało wszelkie cechy oczywistości, jak to, co widzimy, czego się dowiadujemy niezbitcie. W ten sposób w przerwy życia zasiewała epizody innego życia, którego fałszu nie podejrzewałem wówczas: uświadomiłem go sobie dopiero znacznie później. Dodałem: „co mi wyznawała” — oto czemu. Czasem osobliwy zbieg okoliczności budził we mnie podejrzenia, w których obok Albertyny figurowała w przeszłości lub niestety w przyszłości druga osoba. Aby wyglądało, że jestem zupełnie pewien swego, wymieniałem nazwisko, na co Albertyna mówiła: „Tak, spotkałam ją przed tygodniem tuż koło domu. Przez grzeczność przywitałam się, przeszłam z nią kilka kroków. Ale nigdy nie było nic między nami. I nigdy nie będzie nic”. Otóż Albertyna nie spotkała nawet tej osoby, dla tej prostej przyczyny, że tej osoby nie było w Paryżu od dziesięciu miesięcy. Ale Albertyna uważała, że przeczyć całkiem wyglądało mało prawdopodobnie. Stąd to krótkie rzekome spotkanie, opowiedziane z taką prostotą, że widziałem wręcz, jak się owa dama zatrzymuje, wita z Albertyną, towarzyszy jej kilka kroków. Gdybym się znalazł na ulicy w owej chwili, świadectwo zmysłów pouczyłoby mnie może, że owa dama nie spacerowała z Albertyną. Ale jeżeli się dowiedziałem, że tak nie było, to nie przez świadectwo zmysłów, lecz za pomocą jednego z owych logicznych łańcuchów, w których słowa osób posiadających nasze zaufanie stanowią silne ogniwa. Aby wezwać to świadectwo zmysłów, musiałbym tam być w owym momencie na ulicy, a nie byłem. Ale można sobie wyobrazić taką hipotezę: mogłem ostatecznie wyjść i przechodzić ulicą w godzinie, którą Albertyna (nie widząc mnie) wymieniłaby mi jako moment swego spaceru z damą; wówczas wiedziałbym, że skłamała. A i to, czy było całkiem pewne? Święty mrok oświecałby moim umysłem, zacząłbym wątpić, czy ją widział samą, zaledwie starałbym się dojść, mocą jakiego złudzenia optycznego nie spostrzegłem owej damy; i nie byłbym nazbyt zdziwiony, że się pomylił, bo świat gwiazd mniej trudny jest do poznania niż prawdziwe postępy ludzkie, zwłaszcza istot, które kochamy, umocnionych przeciw naszemu wątpieniu bajkami przeznaczonymi na to, aby je chronić. Przez ile lat mogą one wmówić w naszą apatyczną miłość, że ukochana kobieta ma za granicą siostrę, brata, bratową, którzy nigdy nie istnieli!

Świadectwo zmysłów jest również operacją intelektu, w której oczywistość rodzi się z przeświadczenia. Widzieliśmy nieraz, jak zmysł słuchu przynosi Franciszce nie słowo, które ktoś wyrzekł, ale to, które ona uważała za prawdziwe, co wystarczało, aby nie słyszała sprostowań zawartych w poprawniejszej wymowie. Nasz kamerdyner miał podobną właściwość. Pan de Charlus nosił w owej epoce — bo często zmieniał mody — spodnie bardzo jasne, łatwe do rozpoznania pośród tysiąca. Otóż nasz kamerdyner, który myślał, że słowo „*pissotière*”¹⁶⁶ (słowo oznaczające to, co ku wielkiej przykrości pana de Rambuteau, księżę de Guermantes nazywał „pawilon Rambuteau”) brzmi „*pistière*”, nie słyszał nigdy w ciągu swego życia ani jednej osoby mówiącej „*pissotière*”, mimo że często tak przy nim wymawiano. Ale błąd jest jeszcze upartszy niż wiara i nie sprawdza swoich pewników. Stale kamerdyner mówił: „Z pewnością pan baron musiał się pochorować stąd, że tak długo siedział w *pistière*. Oto co znaczy być dziwkazem. Ależ on ma spodnie! Dziś rano nasza pani posłała mnie ze zleceniem do Neuilly. Przy *pistière* na ulicy de Bourgogne widzę, jak pan baron wchodzi. Kiedy wracam z Neuilly w dobrą godzinę później, widzę jego żółte spodnie w tej samej *pistière*, na tym samym miejscu w środku, które on zawsze zajmuje, aby go nie widziano”.

¹⁶⁶*pissotière* (fr.) — publiczna ubikacja dla mężczyzn; por. pisuar. [przypis edytorski]

Nie znam nic piękniejszego, szlachetniejszego i młodszego niż jedna z siostrzenic pani de Guermantes. Ale słyszałem jak portier z restauracji, gdzie bywałem czasami, mówił, gdy przechodziła: „Popatrz na tę starą kłepę, co za fikimiki! A ma co najmniej osiemdziesiąt lat”. Co się tyczy wieku, wydaje mi się trudne do przypuszczenia, żeby on w to wierzył. Ale stojący koło niego „strzelcy”, rechocący za każdym razem, kiedy ona przechodziła koło hotelu, aby odwiedzić niedaleko stamtąd swoje dwie urocze cioteczne babki, panie de Fezensac i de Bellery, ujrzeli na twarzy tej młodej piękności osiemdziesiąt lat, w które — przez żart czy nie przez żart — ubrał odźwierny starą „kłepę”. Ryczeliby ze śmiechu, gdyby im ktoś powiedział, że osoba ta jest dystyngowana niż kasjerka hotelowa, która zżarta egzemą, pocieszenie tłusta, uchodziła w ich oczach za piękność. Jedyne może pociąg erotyczny zdołałby przeszkodzić utrwaleniu się ich omyłki, gdyby przemówił w chwili przechodzenia rzekomej staruszki i gdyby strzelcy poczuli nagłą żądzę pod adresem młodej bogini. Ale z nieznanych racji — wypływających zapewne z pobudek socjalnych — zmysły nie przemówiły. Można by zresztą o tym wiele rozprawiać. Świat jest prawdziwy dla nas wszystkich, a odmienny dla każdego. Gdybyśmy nie musieli dla porządku opowiadania ograniczyć się do racji błahych, ileż poważniejszych racji pozwoliłoby nam wykazać kłamliwą pobieżność początkowych kart tego tomu, gdzie słyszę z łóżka budzący się świat, to w taką pogodę, to w inną. Tak, musiałem ograniczyć się i kłamać, ale faktycznie co rano budzi się nie jeden wszechświat, ale miliony wszechświatów, prawie tyle ile jest żrenic i inteligencji ludzkich.

Aby wrócić do Albertyny, nie znałem kobiety bardziej obdarzonej szczęśliwą zdolnością kłamstwa żywego, grającego wszystkimi kolorami życia; chyba jedną z jej przyjaciółek, również jedną z moich „zakwitających dziewcząt”, różową jak Albertyna, ale której profil nieregularny, zapadły, potem znów wydatny, zupełnie przypominał pęki różowych kwiatów, których nazwy zapomniałem i które mają takie długie i kręte fałdy. Jako fabrykantka bajek ta dziewczyna przewyższała Albertynę, bo nie wprowadzała w swoją relację żadnego z momentów bolesnych, z nabrzmiałych wściekłością domyślników, tak częstych u Albertyny. Rzekłem wszelako, że Albertyna była urocza, kiedy wymyślała jakąś bajeczkę niezostawiającą miejsca na wątplenie. Widziało się po prostu to, co mówiła, mimo że wszystko było zmyślane: słowa jej zastępowały słuchaczowi wzrok. Natchnieniem Albertyny było jedynie prawdopodobieństwo, bynajmniej nie chęć wzbudzenia we mnie zazdrości. Bo Albertyna, nie będąc może interesowna, lubiła dowody galanterii. Otóż, o ile w ciągu tego dzieła miałem i będę miał wiele sposobności pokazania, jak zazdrość zdwaja miłość, brałem te rzeczy z punktu widzenia kochanka. Ale jeżeli ten kochanek ma bodaj trochę ambicji, wówczas choćby miał życiem przyplącić zerwanie, nie odpowie galanterią na domniemaną zdradę; usunie się, lub też, nie zrywając, zmusi się do udawania chłodu. Tym samym kochanka udręczyła go tyle bez żadnej dla siebie stąd korzyści. Jeżeli przeciwnie, zręcznym słówkiem, pieszczotą rozproszy podejrzenia, które go dręczyły, mimo iż udawał obojętność, wówczas zapewne kochanek nie zazna owego rozpaczliwego wzmożenia miłości, do którego wzbija ją zazdrość, ale przestając nagle cierpieć, szczęśliwy, rozczulony, czując owo odprężenie, jakiego doznajemy po burzy, kiedy spadł deszcz i kiedy ledwo czujemy pod wielkimi kasztanami krople z rzadka ściekające z liści i już zabarwione słońcem, nie wie, jak wyrazić wdzięczność tej, co go uleczyła. Albertyna wiedziała, że ja lubię nagradzać jej czułość, i to tłumaczyłoby może, że aby się usprawiedliwić, improwizowała wyznania równie naturalne jak jej opowiadania, niebudzące we mnie wątpliwości. Jednym z nich było spotkanie Bergotte’a, wówczas gdy już nie żył. Dotąd znałem jedynie te kłamstwa Albertyny, które na przykład w Balbec demaskowała Franciszka, a które pominąłem tutaj, mimo że mi były tak bolesne: „Ano nie chciała przyjść i powiedziała: Czy nie mogłaby pani Franciszka powiedzieć panu, że mnie pani Franciszka nie zastała, niby że wyszłam?”. Ale „niżsi”, którzy nas kochają, tak jak Franciszka mnie kochała, znajdują przyjemność w tym, aby ranić naszą miłość własną.

ROZDZIAŁ DRUGI. VERDURINOWIE ZRYWAJĄ Z PANEM DE CHARLUS

Po obiedzie powiedziałem Albertynie, iż chcę skorzystać z tego, żem wstał, aby odwiedzić przyjaciół: panią de Villeparisis, panią de Guermantes, Cambremerów, nie wiem kogo

jeszcze, tych, których zastanę w domu. Zamilczałem jedynie nazwisko tych, do których zamierzałem iść naprawdę: państwa Verdurin. Spytałem, czy nie poszłaby ze mną. Odpowiedziała, że nie ma sukni. „Przy tym jestem tak brzydko uczesana! Czy tobie zależy na tym, abym się nadal tak czesała?”. I żegnając się ze mną, podała mi rękę z owym nagłym wyciągnięciem ramienia, ściągnięciem łopatek, jak to robiła niegdyś na plaży w Balbec, nigdy zaś od tego czasu. Ten zapomniany ruch zmienił jej ciało w ciało dawnej Albertyny, która mnie ledwie знаła. Przywrócił Albertynie, ceremonialnej pod formą swobody, jej pierwotną nowość, nieznaną, nawet jej ramę. Ujrzałem morze poza tą dziewczyną, która nigdy nie żegnała się ze mną w ten sposób, od czasu jak nie byliśmy już nad morzem. „Ciotka uważa, że mnie to postarza” — dodała z chmurną miną. „Obyż ciotka mówiła prawdę! — pomyślałem. — Jedyna rzecz, o którą dba pani Bontemps, to żeby Albertyna, wyglądając na dziecko, odmładzała ją samą; a także o to, żeby jej nic nie kosztowała aż do dnia, gdy wyszedłszy za mnie, zacznie jej przynosić dochody”. Ale znowuż ja pragnąłem tego, żeby Albertyna wyglądała mniej młodo, mniej ładnie, żeby mniej głów odwracało się za nią na ulicy. Bo starość duenny¹⁶⁷ nie tyle uspokaja zazdrosnego kochanka, ile stara twarz tej, którą kocha. Cierpiałem tylko nad tym, że uczesanie, na które ją namówiłem, może się Albertynie wydawać jeszcze jednym więzieniem. I to nowe domowe uczucie, nawet z dala od Albertyny, wciąż wiązało mnie do niej jak węzeł.

Oznajmiłem Albertynie (niezbyt, jak powiedziała, mającej ochotę towarzyszyć mi do Guermantów lub do Cambremerów), że nie bardzo wiem, dokąd pójdę; po czym udałem się do Verdurinów. Myśl o koncercie u nich przypominała mi popołudniową scenę („zatracena ździra”) — scenę miłości zawiedzionej, może zazdrosnej, ale równie bestialskiej jak ta, którą (oprócz słów) może zrobić zakochany, jeżeli można tak powiedzieć, w kobiecie orangutan. Naraz, w chwili gdy miał zawołać fiakra, usłyszałem szloch, który silił się zdławić jakiś mężczyzna siedzący na kamiennym słupie. Zbliżyłem się; osobnik, który trzymał głowę w rękach, robił wrażenie młodego człowieka; spod płaszcza mignęło coś białego, ujrzałem ze zdziwieniem, że jest we fraku i w białym krawacie. Słyszając mnie, odkrył twarz zalaną łzami, ale poznawszy mnie, odwrócił ją natychmiast. Był to Morel. Zrozumiał, że go poznał, i starając się wstrzymać łzy, powiedział, że musiał przystanąć chwilę, tak bardzo cierpi.

— Znieważylem dziś brutalnie — rzekł — osobę, do której byłem szczerze przywiązany. To jest podłe, bo ona mnie kocha.

— Z czasem zapomni może — odparłem, zdradzając mimo woli, że słyszałem popołudniową scenę. Ale Morel był tak pochłonięty zgryzotą, że nie przyszło mu to nawet na myśl.

— Ona może zapomni — rzekł — ale ja nie zapomnę. Mam uczucie hańby, wstręt do siebie! Ale stało się, nic nie sprawi, aby się odstało. Kiedy mnie kto rozgniewa, sam nie wiem już, co robię. A to mi tak szkodzi, jestem istny kłębek nerwów.

Bo Morel, jak wszyscy neurastenicy, bardzo dbał o swoje zdrowie. Jeżeli po południu widziałem miłosną wściekłość rozjuszonego zwierzęcia, do wieczora w ciągu kilku godzin minęły wieki: nowe uczucie wstydu, żalu, zgryzoty świadczyło o wielkim etapie w ewolucji zwierzęcia mającego się kiedyś przeobrazić w ludzką istotę. Mimo wszystko słyszałem ciągle: „ździro zatracena” i bałem się rychłego nawrotu dzikości. Bardzo zresztą niejasne było mi to, co się stało, co jest o tyle zrozumialsze, że sam pan de Charlus absolutnie nie wiedział, iż od kilku dni, zwłaszcza tego dnia, nawet przed haniebnym epizodem niezwiązanym wprost ze stanem skrzypka, Morel popadł w neurastenię. W istocie, poprzedniego miesiąca posuwał się tak szybko jak mógł, o wiele wolniej, niżby chciał, w uwodzeniu siostrzeńcy Jupiena, z którą jako narzeczony mógł wychodzić do woli. Ale z chwilą gdy zaszedł trochę dalej w próbach gwałtu, a zwłaszcza kiedy zaczął nakłaniać narzeczoną, żeby nawiązała przyjaźń z innymi dziewczętami, których mu będzie dostarczała, napotkał na opór przyprowadzający go o furię. Czy że była zbyt notliwa, czy przeciwnie, oddała mu się, pragnienie Morela z punktu opadło. Postanowił zerwać; ale czując, że baron, mimo iż zboczeniec, jest o wiele moralniejszy od niego, bał się, aby z chwilą zerwania nie wyrzucił go za drzwi. Toteż postanowił już przed dwoma tygodniami odsunąć

¹⁶⁷ *duenna* (daw., z hiszp. *dueña*) — ochmistrzyni, dama do towarzystwa młodej kobiety, towarzysząca jej w wyjściach poza dom; przyzwoitka. [przypis edytorski]

się od młodej dziewczyny, pozwalając panu de Charlus i Jupienowi rozwikłać to między sobą (użył słowa bardziej w stylu Cambronne'a¹⁶⁸), sam zaś, zanim zerwie oficjalnie, „dać nogę” ku nieznanym przeznaczeniom.

Mimo iż postępowanie Morela z narzeczoną pokrywało się ściśle, do najdrobniejszych szczegółów, z teoriami rozwijanymi wobec barona przy obiedzie w Saint-Mars-Ie-Vêtu, prawdopodobne jest, że praktyka a teoria bardzo różniły się między sobą i że uczucia mniej szpetne, nieprzewidziane przez Morela w jego teoretycznych zamiarach, upiękniły, usentymentalniły jego postępowanie. Jedynym punktem, w którym przeciwnie rzeczywistość stała się gorsza od zamiarów, było to, że w planach swoich nie uważał za możliwe zostać w Paryżu po takiej zdradzie. Teraz natomiast „dawać nogę” dla takiej bagateli zdawało mu się przesadą. To by znaczyło porzucić barona, który z pewnością byłby wściekły, zniweczyć swoją sytuację. Morel straciłby w ten sposób wszystko, co mu dawał baron. Myśl, że to jest nieuniknione, przyprowadziła skrzypka o ataki nerwowe, godziny całe mazał się, brał (ogłędnie) morfinę, aby o tym nie myśleć. Potem nagle zagościła w jego duszy myśl, która z pewnością nabierała tam życia i kształtu już od jakiegoś czasu; a mianowicie, że ta alternatywa, wybór między zerwaniem z panną a kompletnym zerwaniem z panem de Charlus nie są może konieczne. Stracić wszystkie pieniądze barona, to było ciężkie! W tej niepewności Morel trwał przez kilka dni w czarnych myślach, podobnych tym, które w nim budził widok Blocha. Potem uznał, że Jupien i jego siostrzenica próbowali go schwycić w pułapkę i że powinni się cieszyć, ponosząc tak lekką karę. Uważał zwłaszcza, że panna zawiniła niezręcznością, tym, że nie umiała go utrzymać przez zmysły. Nie tylko wyrzeczenie się pozycji przy panu de Charlus wydało się Morelowi absurdem, ale żałował nawet sutych obiadków, którymi raczył młodą dziewczynę, od czasu jak byli zaręczeni, a których koszt mógłby określić jako syn lokaja zapisującego w „książce” wydatki mego wuja. Bo „książka” w liczbie pojedynczej, dla ogółu śmiertelnych oznaczająca drukowane dzieło, traci to znaczenie dla księżących wysokości i dla lokajów. Dla drugich oznacza książkę rachunkową, dla pierwszych rejestr, w którym zapisuje się swoje nazwisko. (Pewnego dnia w Balbec, kiedy księżna de Luxembourg wspomniała, że nie wzięła z sobą książki, już chciałem jej zaproponować *Rybaka Islandzkiego* lub *Tartarina z Tarasconu*, kiedy nagle zrozumiał, że ona chce wyrazić nie obawę nudów, ale fakt, iż trudniej mi będzie zapisać u niej moje nazwisko).

Postępowanie Morela wydałoby mu się ohydne przed dwoma miesiącami, kiedy namiętnie kochał siostrzenicę Jupiena, ale od dwóch tygodni powtarzał sobie, że właśnie takie postępowanie jest naturalne i godne pochwały. Jednakże mimo zmiany zapatrywań Morela na następstwa tego kroku, wszystko to wzmagało w nim ów stan nerwowości, w którym przed chwilą dokonał zerwania. I już był gotów wyładować swój gniew, jeżeli nie na młodej dziewczynie, wobec której (poza chwilowym atakiem) zachował resztkę obawy — ostatni ślad miłości — to bodaj na baronie. Ale nie chciał mu nic mówić przed obiadem, stawiając bowiem ponad wszystko własne wirtuozostwo, w chwili gdy miał grać coś trudnego, jak dziś u Verdurinów, unikał (o ile tylko mógł, a popołudniowa scena to już było za wiele) wszystkiego, co by mogło upośledzić jego spokój. Podobnie chirurg, nawet będąc zapalonym automobilistą, nie prowadzi maszyny, kiedy ma operować. To mi tłumaczy, że mówiąc ze mną, Morel poruszał lekko palcami, aby się przekonać, czy odzyskały gibkość. Lekkie zmarszczenie brwi zdawało się stwierdzać, że pozostało mu jeszcze trochę nerwowej sztywności. Ale aby jej nie wzmagać, Morel rozchmurzał twarz, tak jak człowiek nie pozwala sobie denerwować się, że nie zaśnie albo że może spalić na panewce z kobietą, z obawy, aby sam ów lęk tym bardziej nie opóźnił chwili snu lub chwili rozkoszy. Toteż pragnąc odzyskać swoją pogodę, aby jak zawsze cały oddać się temu, co miał grać u Verdurinów, a zarazem pragnąc — dopóki go będę widział — pozwolić mi stwierdzić jego cierpienie, uznał za najprostsze błagać mnie, abym odszedł. Błaganie było zbyt ciche, a odejście było mi ulgą. Drżałem, aby Morel, mając iść za kilka minut tam gdzie ja, nie zaproponował mi pójścia razem; nazbyt dobrze pamiętałem popołudniową scenę, aby nie odczuwać niejakiego wstrętu do jego towarzystwa.

¹⁶⁸ *Cambronne, Pierre* (1770–1842) — francuski generał wojen napoleońskich; wg tradycji podczas bitwy pod Waterloo na propozycję poddania się miał odpowiedzieć: „Gwardia umiera, ale nie się poddaje”, według innej wersji odpowiedział jednym wulgarnym słowem: „Merde!”, tj. „gówno”; we Francji funkcjonuje do dziś określenie *mot de Cambronne* (słowo Cambronne’a). [przypis edytorski]

Bardzo możliwe jest, że miłość, potem obojętność lub nienawiść Morela w stosunku do siostrzenicy Jupiena były szczerze. Na nieszczęście, nie pierwszy to raz postępował w ten sposób, że nagle „puszczał w trąbę” dziewczynę, którą przysięgał kochać wiecznie, której pokazywał nabity rewolwer, mówiąc, że strzeliłby sobie w łeb, gdyby popełnił kiedyś tę nikczemność, aby ją opuścić. Mimo to porzucił ją później i zamiast wyrzutów czuł do niej jakby urazę. Nie pierwszy i nie ostatni raz postępował w ten sposób; tak iż niejedna z dziewcząt — trudniej zapominających o nim niż on o nich — cierpiała, tak jak cierpiała długo jeszcze siostrzenica Jupiena, wciąż kochając Morela, mimo iż gardząc nim. Cierpiała, gotowe wybuchnąć pod naporem wewnętrznego bólu, bo każdej z nich wyraz twarzy Morela, twardej jak marmur i pięknej jak antyk — jakiś fragment greckiego grobowca — utkwiał w mózgu, z jego kwitnącymi włosami, z wymową subtelnych oczu, prostym nosem, tworzącym niepodobną do zoperowania wypukłość na nieprzeznaczonej dlań czaszce. Ale z biegiem czasu te tak twarde fragmenty osuwały się w końcu w miejsce, gdzie nie sprawiają zbyteńnego bólu, skąd się już nie ruszają; nie czuje się już ich obecności; to zapomnienie lub wspomnienie obojętne.

Nosiłem w sobie dwa produkty owego dnia. Z jednej strony, dzięki spokojowi, spowodowanemu uległością Albertyny, możliwość i tym samym postanowienie zerwania z nią. Z drugiej strony, owocem moich refleksji podczas czekania na nią przy fortepianie była myśl, że Sztuka, której starałbym się poświęcić odzyskaną wolność, nie jest czymś, co by było warte męki ofiary, nie jest czymś poza życiem, obcym jego czczości i nicości, ile że pozór istotnej indywidualności dzieła jest jedynie sprawą techniki. Jeżeli to popołudnie zostawiło we mnie inne, głębsze może osady, miały one uświadomić się we mnie dopiero znacznie później. Co do tych dwóch wyrzutów, które oceniałem jasno, nie miały one być trwałe; jeszcze bowiem tego wieczora moje pojęcia o sztuce miały się wyzwolić z owej deprecjacji, jakiej doznały w ciągu popołudnia, gdy w zamian spokój, a tym samym wolność, która by mi pozwoliła poświęcić się sztuce, miały mi być na nowo odjęte.

Kiedy mój wehikuł, jadąc wybrzeżem, zbliżał się do Verdurinów, kazałem go zatrzymać. Ujrzałem Brichota wysiadającego z tramwaju na rogu ulicy Bonaparte, w chwili gdy wycierał starą gazetą trzewiki i nakładał perłowe rękawiczki. Podeszedłem do niego. Od jakiegoś czasu, w miarę jak tracił wzrok, zaopatrywał się — tak bogato jak jakieś obserwatorium — w nowe silne i skomplikowane okulary, które na kształt astronomicznych przyrządów zdawały się przyśrubowane do jego oczu; wycelował na mnie ich potężny ogień i poznał mnie. Szklka były w doskonałym stanie. Ale poza nimi ujrzałem maleńkie, blade, konwulsyjne, gasnące, odległe spojrzenie, umieszczone pod tym potężnym aparatem tak, jak w laboratoriach zbyt hojnie subwencjonowanych w stosunku do wykonywanej w nich pracy umieszcza się nagle agonizujące zwierzątko w najwspanialszych przyrządach. Podałem ramię na wół niewidomemu profesorowi, aby podeprzeć jego kroki.

— Tym razem nie koło wielkiego Cherburga spotykamy się, ale koło małej Dunkierki — powiedział, a zdanie to wydało mi się bardzo nudne, bo nie wiedziałem, co ma oznaczać; ale nie śmiałem pytać Brichota przez obawę nie tyle jego pogardy, ile jego wyjaśnień. Odpowiedziałem, że dość jestem ciekawy ujrzeć salon, gdzie Swann spotykał niegdyś co wieczór Odetę.

— Jak to, pan zna te stare historie? — rzekł profesor. — Toż od tego czasu do śmierci Swanna upłynęło to, co poeta nazywa słusznie: „*Grande spatium mortalis aevi*”¹⁶⁹.

Śmierć Swanna wstrząsnęła mną w owym czasie. Śmierć Swanna! Swann nie grał w tym zdaniu roli prostego *genetivus*¹⁷⁰. Rozumiem przez to śmierć poszczególną, śmierć zesłaną przez los dla obsługi Swanna. Bo powiadamy dla uproszczenia „śmierć”; ale jest prawie tyleż śmierci co osób. Nie posiadamy zmysłu, który by nam pozwolił widzieć owe śmierci, biegające z rozmaitym chyżością we wszystkich kierunkach; śmierci czynne, kierowane przez los ku jakiemuś kandydatowi. Często są to śmierci, które całkowicie wywiążą się ze swego zadania dopiero za dwa lub trzy lata. Biegają szybko zaszczepić raka w łonie jakiegoś Swanna; potem spieszą do innych czynności, wracając dopiero wtedy,

¹⁶⁹ *Grande spatium mortalis aevi* (łac.) — wielka część ludzkiego życia; Tacyt, *Żywot Agrykoli* (*De vita et moribus Iulii Agricolae*) III. [przypis edytorski]

¹⁷⁰ *genetivus* (łac., gramat.) — dopełniacz. [przypis edytorski]

kiedy po zabiegu chirurga trzeba zaszczyć raka na nowo. Potem przychodzi moment notatki w „Gaulois”, że zdrowie Swanna budziło obawy, ale że obecnie stan chorego poprawia się z każdym dniem. Wówczas, na kilka minut przed ostatnim tchnieniem, śmierć niby zakonnica, która by kogoś pielęgnowała, zamiast go unicestwić, przychodzi czuwać przy jego ostatnich chwilach i śmiertelną aureolą wieńczy zlodowaciałą na zawsze istotę, której serce przestało bić. I ta rozmaitość śmierci, tajemnica ich okrężnego lotu, barwa ich złowrożej szarfy daje coś tak przejmującego tej rubryce dziennika:

„Dowiadujemy się ze szczerym żalem, że po długich i ciężkich cierpieniach pan Karol Swann zgasł wczoraj w swoim domu w Paryżu. Ten paryżanin, powszechnie ceniony dla zalet swego umysłu, zarówno jak dla swego oddania szczupłemu, ale wiernemu kołu przyjaciół, zostawi po sobie powszechny żal, tak w kołach artystycznych i literackich, gdzie wiedza jego oraz subtelny smak czyniły go miłym i pożądanym gościem, jak w Jockey Clubie, którego był jednym z najdawniejszych i najwpływowszych członków. Należał też do Cercle de le Union i do Cercle Agricole. Niedawno ustąpił z Cercle de la rue Royale. Jego inteligentna fizjonomia, jak i jego ustalona reputacja budziły ciekawość publiczności przy wszelkim *great event*¹⁷¹ muzyki i malarstwa, a zwłaszcza na wernisażach, których pan Swann był stałym uczestnikiem aż do ostatnich lat, kiedy już rzadko tylko opuszczał mieszkanie. Wyprowadzenie zwłok odbędzie się...” itd.

Z tego punktu widzenia, jeżeli się nie jest „kims”, brak znanego tytułu przyspiesza jeszcze rozkład śmierci. Bez wątpienia, nieboszczyk jakiś jest na przykład księciem d'Uzès anonimowo, bez znamion indywidualności. Ale mitra książęca utrzymuje jakiś czas w skupieniu składniki, jak w owych starannie wymodelowanych lodach, które lubiła Albertyna; podczas gdy nazwiska arcyświatowych „ludzi nowych” natychmiast po ich śmierci rozkładają się i topnieją w bezpostaciową masę. Widzieliśmy, jak pani de Guermantes mówiła o panu Cartier jako o najlepszym przyjacielu księcia de la Tremoille, jako o człowieku bardzo poszukiwanym w arystokratycznych kołach. Dla następnego pokolenia Cartier stał się czymś tak bezkształtnym, że niemal przydałoby mu się blasku, spokrewniając go z jubilerem Cartier, gdy on sam uśmiechnąłby się niegdyś z takiej pomyłki. Przeciwnie, Swann był wybitną indywidualnością intelektualną i artystyczną i mimo że nic nie „stworzył”, miał widoki przetrwania nieco dłużej. A mimo to, drogi Karolu Swann, którego znałem, kiedy byłem jeszcze tak młody, a ty bliski grobu, jeżeli zaczynają na nowo mówić o tobie i jeżeli może będziesz żył, to dlatego że ten, którego musiałeś uważać za młodego głuptasa, uczynił cię bohaterem swojej powieści. Jeżeli przed obrazem Tissota¹⁷² przedstawiającym balkon klubu z ulicy Royale, gdzie znajdujesz się między Galiffetem, Edmundem de Polignac i Saint-Maurice, tyle mówią o tobie, to dlatego, że wiedzą, iż parę twoich rysów weszło w figurę Swanna.

Aby wrócić do ogólniejszych realności, przypomnijmy, że o tej godzinie śmierci — przepowiadanej, a jednak nieoczekiwanej — mówił przy mnie sam Swann do księżnej de Guermantes w dniu, kiedy się wybierała na raut do kuzynki. To była ta sama śmierć, której swoistą i przejmującą dziwność odnalazłem pewnego wieczora, przebiegając oczami dziennik. Wiadomość o niej wprawiła mnie w osłupienie, jak gdyby wypisana tajemniczymi, niewczesnie wstawionymi głoskami. Wystarczyły, aby zmienić żyjącego człowieka w kogoś niezdolnego już odpowiedzieć na to, co się doń mówi, w nazwisko, jedynie w nazwisko, nagle ze świata rzeczywistego przeniesione w królestwo ciszy. To te głoski budziły we mnie jeszcze teraz chęć lepszego poznania mieszkania, gdzie niegdyś rezydowali Verdurinowie i gdzie Swann, niebędący wówczas jedynie kilkoma literami widniejącymi w gazecie, tak często bywał na obiedzie z Odetą. Trzeba jeszcze dodać (co mi długo czyniło śmierć Swanna boleśnieszą od jakiejś innej, mimo iż te motywy nie miały związku z indywidualną niesamowitością jego śmierci), że nie zaszedłem do Gilberty, jak to przyrzekłem Swannowi u księżnej Marii; że on sam nie zdradził mi „innej racji”, do której robił aluzję owego wieczora i dla której uczynił mnie powiernikiem swojej rozmowy z księciem Gilbertem; że oblegało mnie tysiąc pytań (tak jak bańki zjawiają się na powierzchni wody), które byłbym mu chciał zadać w najrozmaitszych przedmiotach: Vermeer, pan de Mouchy, on sam, jakiś dywan Bouchera, Combray... Pytania te były

¹⁷¹*great event* (ang.) — wielkie wydarzenie. [przypis edytorski]

¹⁷²obraz Tissota — na obrazie tym znajduje się w istocie postać znanego klubowca, Karola Haas, który uchodził za pierwowzór Swanna; i inwokacja ta zwraca się wyraźnie do Karola Haas. [przypis tłumacza]

zapewne niezbyt nagłące, skoro je odkładałem z dnia na dzień, ale zdawały mi się bardzo ważne, od czasu jak wargi Swanna się zamknęły, przecinając możliwość odpowiedzi.

— Ależ nie — odparł Brichot — to nie tutaj Swann spotykał przyszłą żonę, lub jeżeli tutaj, to dopiero w ostatnich czasach, po katastrofie, która częściowo zniszczyła pierwotne mieszkanie pani Verdurin.

Na nieszczęście, nie chcąc drażnić oczu Brichota zbyt, który mi się zdawał nie na miejscu, skoro profesor nie miał w nim udziału, wysiadłem zbyt nagle z powozu, a woźnica nie zrozumiał słów, które mu rzuciłem bardzo szybko, aby mieć czas się oddalić, zanim mnie Brichot spostrzeże. Wskutek tego woźnica podjechał za nami i spytał, czy ma zajechać po mnie. Powiedziałem spiesźnie, że tak, zdwajając jeszcze objawy szacunku dla uczonego przybyłego omnibusem.

— A, pan przyjechał fiakrem — rzekł z surową miną Brichot.

— Mój Boże, całkiem przypadkowo, to mi się nie zdarza nigdy. Zawsze wędruję omnibusem lub pieszo. Ale to mi zapewni może wysoki zaszczyt odwiedzenia pana wieczorem, jeżeli się pan zgodzi wsiąść do tego gruchotu. Będzie nam trochę ciasno, ale pan jest dla mnie tak łaskawy...

„Niestety, czyniąc profesorowi tę propozycję, nie wyrzekam się niczego — pomyślałem — bo i tak muszę wracać z powodu Albertyny”. Jej obecność w domu w porze, gdy nikt nie mógł jej odwiedzić, pozwalała mi rozporządzać swoim czasem równie swobodnie co popołudniu, kiedy siedząc przy fortepianie, wiedziałem, że Albertyna wróci z Trocadéro, i kiedy mi nie było spieszo ją ujrzyć. Ale koniec końców, tak samo jak po południu, czułem, że mam kobietę i że za powrotem¹⁷³ nie zaznam krzepiącej podniety samotności.

— Przyjmuję chętnie — odparł Brichot. — W epoce, którą pan wspomina, przyjaciele nasi zajmowali przy ulicy Montalivet wspaniałe parterowe pałacyk z antresolą od ogrodu, mniej zbytkowny oczywiście, ale dla mnie piękniejszy od Ambassadeurs de Venise.

Brichot powiedział mi, że tego wieczoru na „Quai Conti” (w ten sposób wierni określali salon Verdurinów, od czasu jak go tam przeniesiono) jest wielka „awantura” muzyczna, zorganizowana przez pana de Charlus. Dodał, iż w dawnych czasach, o których wspominałem, „paczka” była inna i w innym stylu, nie tylko dlatego, że „wierni” byli młodszy. Opowiedział mi kawały Elstira (nazywał to: „czyste błazeństwa”). Jednego dnia na przykład, malarz, wymówiwszy się dla pozorów, przyszedł w ostatniej chwili przebrany za lokaja i podając półmiski, szeptał skandaliczne rzeczy do ucha wielce cnotliwej baronowej Putbus, czerwonej ze zgrozy i z oburzenia; potem, zniknąwszy przed końcem obiadu, kazał wnieść do salonu wannę pełną wody, z której, kiedy goście wstali od stołu, wyłonił się całkiem nagi, klnąc głośno. Profesor wspominał również kolacje, na które przychodziło się w papierowych kostiumach, rysowanych, wycinanych, malowanych przez Elstira — istne arcydzieła. Brichot miał raz kostium magnata z epoki Karola VII¹⁷⁴, z trzewikami w szpic; innym razem kostium Napoleona I, na którym Elstir zrobił lakiem wielką wstęgę Legii Honorowej¹⁷⁵. Krótko mówiąc, Brichot, oglądając w pamięci ów miniony salon z wielkimi oknami, z niskimi kanapami, które trzeba był odnawiać, tak je zżarło południowe słońce, oświadczał, że wołał go od dzisiejszego. Oczywiście, pojmowałem, że jak słowo „kościół” oznacza nie tylko budynek o przeznaczeniu religijnym, ale zgromadzenie wiernych, tak Brichot rozumie przez „salon” nie tylko lokal, ale i ludzi którzy tam bywali, osobliwe przyjemności, których tam szukali. Rozkoszom tym dały w jego pamięci kształt owe kanapy, na których, przyszedłszy do pani Verdurin po południu, czekało się aż będzie gotowa, podczas gdy w ogrodzie kwitnące kasztany, a na kominku wazonny goździków zdawały się, przez sympatię dla gościa wyrażoną życzliwym uśmiechem różowych kolorów, niecierpliwie oczekiwać zjawienia się zapóźnionej pani domu. Ale jeżeli ów salon zdawał mu się czymś więcej niż dzisiejszy, to może dlatego, że nasz

¹⁷³za powrotem (daw.) — dziś: po powrocie. [przypis edytorski]

¹⁷⁴Karol VII Walezjusz (1403–1461) — król Francji od 1422; na mocy traktatu w Troyes (1420) pozbawiony praw do tronu na rzecz króla Anglii Henryka V; po udanej misji Joanny d'Arc i odparciu Anglików spod Orleanu koronował się w Reims (1429), uwolnił terytorium całego kraju i pomyślnie zakończył wojnę stuletnią. [przypis edytorski]

¹⁷⁵Legia Honorowa — najwyższy order francuski, ustanowiony przez Napoleona I w 1802 r. [przypis edytorski]

umysł jest jak stary Proteusz¹⁷⁶, niezdolny pozostać niewolnikiem żadnej formy: nawet w dziedzinie światowej wyzwała się nagle z salonu doprowadzonego powoli i z trudem do swego szczytu, aby woleć od niego dawny, mniej świetny. Podobnie nad „retuszowane” fotografie Odety (zdejmował Otto), na których elegantka ta paradowała w balowej sukni *princesse*, uczesana przez Lenthérica, przekładał Swann „wizytówkę” robioną w Nicei, na której w sukiennej pelerynce, z włosami niedbale wymykającymi się spod słomkowego kapelusza przybranego bratkami, z czarną aksamitną kokardą, o dwadzieścia lat młodszą (kobiety wyglądają zazwyczaj tym starzej, im fotografie są dawniejsze) wyglądała na pokojówkę mającą o dwadzieścia lat więcej. Może profesor znajdował też przyjemność w zachwalaniu mi tego, czego nie znałem, okazania, że kosztował niegdyś przyjemności, jakich ja nie mógłbym mieć? Udało mu się to zresztą, cytując bowiem nazwiska paru nieżyjących już osób i używając każdej z nich czegoś tajemniczego przez sposób, w jaki mówił o nich i o uroku tych przyjaźni, budził we mnie ciekawość, co to w istocie mogło być; czułem, że wszystko, co mi opowiadano o Verdurinach, było o wiele za grube; wyrzucałem sobie, że nawet na tego Swanna, którego znałem, nie dość zwracałem uwagi, że patrzyłem nań nie dość bezinteresownie, nie dość go słuchałem, kiedy mnie zabawił, czekając aż żona wróci na śniadanie, i kiedy mi pokazywał piękne rzeczy. Czułem to teraz, kiedy wiedziałem, że można porównać Swanna z najświetniejszymi *causeurami*¹⁷⁷ dawnych czasów.

W chwili gdyśmy wchodzili do państwa Verdurin, ujrzałem pana de Charlus, żeglującego ku nam całym olbrzymim ciałem, wlokącego bezwiednie za sobą jednego z owych apaszów¹⁷⁸ lub oberwańców, których widok barona wywabił teraz niechybnie z najbezludniejszych na pozór zakątków i przez których ten potężny potwór był — bardzo mimo woli — stale, choć w pewnej odległości eskortowany niby rekin przez swego pilota. Dzisiejszy pan de Charlus tworzył taki kontrast z wyniosłym obcym panem z pierwszego mego pobytu w Balbec, z jego surowym wejrzeniem, afektacją męskości, iż miałem wrażenie, że odkrywam jakąś gwiazdę w całkiem innym okresie jej obrotu i którą dopiero widzi się w całej pełni w towarzystwie jej satelity. Albo też baron wyglądał jak chory, którego choroba była przed kilku laty zaledwie lekkim i łatwym do ukrycia pryszczkiem, niepozwalającym się domyślać niebezpieczeństwa.

Mimo iż operacja wróciła Brichotowi nieco wzroku, zdawało, że już na zawsze straconego, nie wiem, czy spostrzegł draba ciągnącego się za baronem. To było dość obojętne, bo od czasu La Raspelière i mimo sympatii, jaką uczony miał dla barona, obecność pana de Charlus zawsze budziła w nim niemiłe uczucie. Bez wątpienia dla każdego z nas życie drugiego człowieka gubi się w mroku ścieżek, których nie podejrzewamy. Zapewne kłamstwo, tak często myślące, a tworzące substancję wszystkich rozmów, pokrywa nieraz uczucia wrogości lub zainteresowania lub wizytę, którą pragniemy zataić, lub jakąś eskapadę z przygodną kochanką, którą chcemy ukryć przed żoną; ale o wiele szczerzej dobra reputacja pokrywa złe obyczaje, nie pozwalając się ich nawet domyślać. Mogą pozostać nieznane całe życie; pewnego wieczoru przypadkowe spotkanie na molo w porcie zdradzi je; a i ten przypadek bywa źle rozumiany i trzeba dopiero, aby ktoś świadomszy poddał nam niepochwytnie słowo zagadki¹⁷⁹. Ale skoro przejrzymy te obyczaje, przerażają nas, bo czujemy w nich podmuch szaleństwa o wiele bardziej niż niemoralności. Pani de Surgis nie miała ani cienia poczucia moralnego i dopuściłaby u swoich synów wszystko, co by się tłumaczyło plugawą bodaj korzyścią, zrozumiałą wszystkim. Ale zabroniła im stosunków z panem de Charlus, kiedy się dowiedziała, że regularnie jak zegarek i za każdą wizytą baron szczypie ich w policzki i każe się szczytać wzajem. Doznała owego niespokojnego uczucia fizycznej tajemnicy, podsuwającego myśl, czy sąsiad, z którym się było w tak dobrych stosunkach, nie hołduje ludożerstwu. Na ponawiane pytania barona: „Kiedyż ujrzę znowu przemilych chłopców?” odpowiadała (mimo iż wiedząc, jakie gromy ściga na siebie!), że są bardzo zajęci, że wykłady, że przygotowania do podróży itd. Co

¹⁷⁶ *Proteusz* a. *Proteus* (mit. gr.) — bóstwo morskie, syn Posejdonu i Tetydy, pasterz fok; potrafił przepowiadać przyszłość i przybierać różne postaci, by wymknąć się każdemu, kto chciał uzyskać od niego przepowiednię; odpowiadał jedynie temu, kto go skutecznie pochwylił i nie puszczal. [przypis edytorski]

¹⁷⁷ *causeur* (fr.) — błyskotliwy rozmówca, gawędziarz. [przypis edytorski]

¹⁷⁸ *apasz* — chuligan, drobny przestępca, osoba z paryskiego półświatka. [przypis edytorski]

¹⁷⁹ *słowo zagadki* (daw.) — rozwiązanie zagadki. [przypis edytorski]

bądź by się mówiło, nieodpowiedzialność powiększa błędy, a nawet zbrodnie. O ile Landru¹⁸⁰ (przypuściwszy, że w istocie zabił swoje żony) zrobił to z chciwości, której dałoby się oprzeć — można by go ulaskawić; ale nie można, jeśli to wynikało z nieodpartego sadyzmu.

Grube żarciki, na jakie pozwalał sobie Brichot w początkach znajomości z baronem, teraz, z chwilą gdy profesorowi chodziło już nie o prawienie komunałów, ale o zrozumienie, ustąpiły przykreemu uczuciu gaszącemu wesołość. Uspokajał sam siebie, cytując Platona¹⁸¹, Wergilego¹⁸², ponieważ będąc ślepy i duchowo, nie rozumiał, że wówczas kochać młodego człowieka było czymś takim jak dzisiaj utrzymywać tancerkę, a później się zaręczyć. Żarciki Sokratesa świadczą o tym lepiej niż teoria Platona. Sam Charlus nie byłby tego zrozumiał, on który mieszał swoją manię z przyjaźnią (niepodobną do niej w niczym), a atletów Praksytelesa¹⁸³ z usłużnymi bokserami („Nabożny dworak nabożnego władcy byłby ateuszem pod monarchą bez wiary”, powiedział La Bruyère¹⁸⁴). Ale baron nie chciał widzieć, że od tysiąca dziewięciuset lat wszelki homoseksualizm zwyczajowy — zarówno homoseksualizm młodzieńców Platona, jak pasterzy Wirgiliusza — znikł, przetrwał zaś i mnoży się jedynie homoseksualizm wrodzony, organiczny, ten co się kryje przed innymi i maskuje przed samym sobą. I pan de Charlus byłby w błędzie, nie chcąc się szczerze odrzec genealogii pogańskiej. W zamian za trochę plastycznego piękna, ileż wyższości duchowej! Pasterz Teokryta¹⁸⁵, wdychający do młodego chłopca, stanie się później równie brutalny i tępy jak inny pasterz, którego fletnia rozbrzmiewa dla Amarylis¹⁸⁶. Bo pierwszy z nich nie jest dotknięty chorobą, jest tylko posłuszny obyczajom epoki. Jedynie homoseksualizm trwający uparcie mimo zapór, homoseksualizm wstydlivy, zohydzony, jest prawdziwy, jedyny, który jest zdolny wydać u tegoż osobnika wysubtelnienie duchowe. Drżeniem przejmując związek spraw fizycznych ze sprawami ducha; myśl, że drobne przemieszczenie czysto fizycznych skłonności, lekka skaza pewnego zmysłu sprawia, iż wszechświat poezji i muzyki, zamknięty dla księcia de Guermentes, otwiera się dla pana de Charlus. Nie dziwi nas smak pana de Charlus w urzędzeniu mieszkania ani to, że jak kobieta lubuje się w cackach; ale ta wąska szczelina otwierająca się na Beethovena¹⁸⁷ i na Veronesego¹⁸⁸! Zdrowy człowiek odczuwa naturalny lęk, kiedy wariat, autor wspaniałego poematu, wytłumaczywszy niezbitcie, że go zamknięto przez pomyłkę, przez niegodziwość żony, błaga go, aby interweniował u dyrektora zakładu, po czym wyrzekając na sąsiedztwo, które mu narzucono, kończy tak: „O, ten, co rozmawiał właśnie ze mną na dziedzińcu, facet, którego towarzystwo muszę znosić, myśli, że on jest Chrystus. To jedno starczy za dowód, z jakimi wariatami mnie zamykają; nie może on być Chrystus, skoro Chrystus to jestem ja!”. Chwilę przedtem byliśmy już gotowi zwrócić uwagę psychiatry na pomyłkę. Po tych ostatnich słowach, nawet pamiętając o wspaniałym poemacie, nad którym pracuje ten sam człowiek, oddaliśmy się tak, jak synowie pani de Surgis oddalili się od pana de Charlus, nie, aby im robił coś złego, ale z powodu zbyt częstych zaproszeń, których rezultatem było szczypanie ich w policzek. Trzeba współczuć z poetą, którego nie prowadzi żaden Wergiliusz, że musi przebywać piekło siarki

¹⁸⁰Landru, Henri (1869–1922) — francuski seryjny morderca; okradal i zabijał kobiety, zwabiając je do swojego domu ogłoszeniami matrymonialnymi w prasie; w kwietniu 1919 aresztowany, w listopadzie 1921 skazany na karę śmierci za dokonanie 11 zabójstw. [przypis edytorski]

¹⁸¹Platon (427–347 p.n.e.) — grecki filozof, uczeń Sokratesa, kluczowa postać w rozwoju filozofii, twórca klasycznego idealizmu; w dialogu *Uczta*, omawiającym kolejne szczeble miłości, m.in. analizuje i pochwała męską miłość homoseksualną. [przypis edytorski]

¹⁸²Wergiliusz a. Wergiliusz, właśc. Publius Vergilius Maro (70–19 p.n.e.) — rzymski poeta, autor m.in. *Eneidy*, eposu narodowego Rzymian, oraz zbioru sielanek *Bukoliki* (*Eklogi*); w miłosnej *Eklogie II* przedstawia homoseksualne uczucia pasterza Korydona do innego pasterza, Aleksisa. [przypis edytorski]

¹⁸³Praksyteles (IV w. p.n.e.) — wybitny rzeźbiarz grecki z Aten, autor rzeźb bogów greckich, uwydatniających piękno ludzkiego ciała. [przypis edytorski]

¹⁸⁴La Bruyère, Jean de (1645–1696) — francuski pisarz, moralista, autor *Charakterów*, w których przedstawił różnorodne typy ludzkie i krytykę ówczesnego społeczeństwa. [przypis edytorski]

¹⁸⁵Teokryt (ok. 310–ok. 250 p.n.e.) — grecki poeta, twórca sielanek jako gatunku literackiego; kilka z jego *Idylli* dotyczy miłości homoseksualnej. [przypis edytorski]

¹⁸⁶Amarylis — pasterka, w której wcześniej kochał się Korydon, pasterz z *Eklogi II* Wergiliusza, zakochany w pięknym Aleksisie. [przypis edytorski]

¹⁸⁷Beethoven, Ludwig van (1770–1827) — pianista i kompozytor niemiecki, jeden z klasyków wiedeńskich, prekursor romantyzmu w muzyce. [przypis edytorski]

¹⁸⁸Veronese, Paolo (1528–1588) — wybitny włoski malarz renesansowy. [przypis edytorski]

i smoły¹⁸⁹, rzucać się w ogień spadający z nieba, aby wyłowić zeń paru mieszkańców Sodomy¹⁹⁰! Nie ma żadnego uroku w jego dziele; w życiu zaś jego władza ta sama surowość co w życiu zbiegłych mnichów, przestrzegających najściślejszego celibatu, aby nie można było zrzucenia sutanny przypisać czemuś innemu niż utracie wiary.

Pan de Charlus udawał, że nie widzi plugawego osobnika, który mu deptał po piętach. (Kiedy się puszczał na bulwary lub wchodził do poczekalni dworca Saint-Lazare, na tuziny liczyli się natręci, którzy w nadziei załapania paru franków nie odstępowali go na krok). Bojąc się, aby drab nie odważył się doń przemówić, baron nabożnie spuszczał poczernione rzęsy, które przez kontrast z upudrowanymi policzkami, czyniły go podobnym do wielkiego inkwizytora z obrazu El Greco¹⁹¹. Ale ten rzekomy ksiądz robił straszliwe wrażenie i wyglądał na wyklętego księdza, kompromisy bowiem, do których zmuszała go konieczność usprawiedliwiania swoich gustów i chronienia ich tajemnicy, wydobyły na jego twarz właśnie to, co starał się ukryć: plugawe życie streszczone w upadku moralnym. Upadek ten bez względu na przyczynę łatwy jest do odczytania, bo niebawem materializuje się i rozlewa na twarzy, zwłaszcza na policzkach i koło oczu, tak samo konkretnie, jak chora wątroba barwi te miejsca kolorem ochry, a choroby skóry odrażającą czerwienią. Zresztą nie tylko w policzkach, a raczej fałdach uszmińkowanej twarzy, w tłustej pierśsi, w obfitym siedzeniu zwiotczałego i zalanego tłuszczem ciała widniała teraz, rozlana jak oliwa, przywara wtłaczana niegdyś przez pana de Charlus tak dyskretnie w głąb jego istoty. Teraz przelewała się w słowach.

— A, to tak, Brichot, spaceruje pan po nocy z pięknym młodzieńcem — rzekł baron, podchodząc do nas, gdy zawiedziony drab pierzchał. — Ładne rzeczy. Powie się pańskim uczniom w Sorbonie, że z pana taki numer. Zresztą towarzystwo młodych służy panu, profesorze, wygląda pan świeżo jak róża. Przeszkodziłem panom; robiliście wrażenie dwóch rozbawionych pensjonarek, nic wam po takiej jak ja babuni-pryzwoitce. Ale nie mam co sobie wyrzucać, skoro już byliście prawie na miejscu.

Baron był w wybornym humorze; nie wiedział nic o popołudniowej scenie, gdyż Jupien uznał za celowsze zabezpieczyć siostrzenicę przed nową napaścią niż uprzedzić pana de Charlus. Toteż baron wciąż wierzył w małżeństwo Morela i cieszył się nim. Zdaje się, że pociechą dla tych wielkich samotników jest dawać swemu tragicznemu celibatowi balsam urojonego ojcostwa.

— Ależ słowo honoru, profesorze — dodał baron, zwracając się ku nam — mam skrupuły, widząc pana w tak miłym towarzystwie. Wyglądaliście jak para gołąbków. Tak sobie pod ramię, słuchaj no, profesorciu, puszczasz się pan na całego.

Czy mamy szukać przyczyn takich słów w starzeniu się tej myśli, mniej już panującej nad odruchami? Czy w chwilach automatyzmu myśl pozwala się wymknąć sekretowi, troskliwie pochowanemu przez czterdzieści lat? Może przyczyną była wzgarda dla opinii plebsu wspólna w gruncie wszystkim Guermantom. (Inną formę tej wzgardy przedstawiał brat pana de Charlus, książę Błażej, kiedy nie troszcząc się o to, że moja matka może go widzieć, golił się w rozpiętej nocnej koszuli przy oknie). Może pan de Charlus w czasie swoich płomiennych wędrówek między Doncieres a Doville nabył niebezpiecznego zwyczaju folgowania sobie, i jak odsuwał w tył słomkowy kapelusz, aby ochłodzić ogromne czoło, tak samo przywykł rozluźniać, z początku tylko na chwilę, maskę od nazbyt dawna ściśle przymocowaną do jego prawdziwej twarzy? Małeńskie maniery pana de Charlus z Morelem słusznie zdziwiłyby kogoś, kto by je znał całkowicie. Ale wynikło to stąd, że jednostajność rozkoszy, jakie nastęrcza jego przywara, znużyła pana de Charlus. Szukał instynktownie nowych wyczynów, a zmęczony się przygodnymi nieznanymi, przerzucił się na przeciwny biegun, w to, czym się spodziewał brzydzić zawsze, w imitację „stadła” lub „ojcostwa”. Czasem nawet i to mu nie wystarczało; trzeba mu było czegoś nowego; wówczas szedł spędzić noc z kobietą, tak jak normalny mężczyzna może raz w ży-

¹⁸⁹którego nie prowadzi żaden Wergiliusz, że musi przebywać piekło siarki i smoły — odniesienie do poematu Dantego *Boska Komedia*, w którym przewodnikiem bohatera po piekle i czyśćcu jest rzymski poeta Wergiliusz. [przypis edytorski]

¹⁹⁰Sodoma — biblijne miasto nad Morzem Martwym, które z powodu grzechu i zepsucia zostało zniszczone przez Boga deszczem ognia i siarki (Rdz 18–19). [przypis edytorski]

¹⁹¹El Greco, właśc. *Domenikos Theotokopulos* (1541–1614) – hiszpański malarz, rzeźbiarz i architekt pochodzenia greckiego; autor m.in. pełnopostaciowego portretu kardynała Fernanda Niño de Guevary (1541–1609), wielkiego inkwizytora Hiszpanii. [przypis edytorski]

ciu chcieć się przespać z chłopcem przez podobną ciekawość, w obu wypadkach na równi przewrotną i niezdrową. Egzystencja barona jako „wiernego”, żyjącego z powodu Morela jedynie w małej „paczce”, zniweczyła jego długotrwałe wysiłki mające na celu zachowanie kłamliwych pozorów; podobnie jak podróż lub pobyt w koloniach działa na wielu Europejczyków, tracących w tych warunkach zasady, jakimi rządzą się we Francji. Z tym wszystkim wewnątrzna przemiana człowieka zrazu nieświadomego swojej anormalności, później przerażonego jej odkryciem, w końcu oswojonego z nią aż do utraty poczucia, że nie można bezkarnie przyznać się przed drugimi do tego, do czego się w końcu przyznał bez wstydu przed sobą, jeszcze więcej niż pobyt u Verdurinów przyczyniła się do zniweczenia w panu de Charlus ostatnich hamulców socjalnych. W istocie żadne wygnanie na biegun południowy lub na szczyt Mont Blanc nie oddali człowieka tak bardzo od innych ludzi jak długi pobyt w atmosferze zboczenia, to znaczy w atmosferze myśli odmiennej od myśli ogółu; zboczenia (tak określał niegdyś pan de Charlus swoją przywarę), w którym baron widział teraz dobroduszną fizjonomię pospolitej wady, bardzo rozpowszechnionej, raczej sympatycznej i prawie zabawnej, jak lenistwo, roztargnienie lub łakomstwo. Czując ciekawość, jaką budziły swoiste jego cechy, pan de Charlus znajdował przyjemność w tym, aby zaspokajać tę ciekawość, aby ją podsycać, podtrzymywać. Tak jak jakiś publicysta żydowski występuje co dnia jako szermierz katolicyzmu, zapewne nie po to, aby go brano na serio, ale aby nie zawieść oczekiwania przyjaznych kpiarzy, tak pan de Charlus piętnował jowialnie w „paczce” podejrzone obyczaje, ot tak jakby przedrzeźniał angielszczyznę lub imitował Mouneta-Sully¹⁹², nie czekając aż go poproszą, płacąc z miłą chęcią „cechę” swoim talentem. Tak oto pan de Charlus groził Brichotowi zdenuncjowaniem profesora przed Sorboną, że się „puszcza z młodymi”, podobnie jak obrzezany publicysta mówi przy każdej okazji o „starszej córce Kościoła” i o „Przenajświętszym Sercu Jezusa” — bez cienia obłudy, ale z odcieniem kabotyństwa. I byłoby ciekawe znaleźć wytłumaczenie nie tylko dla zmiany samych słów, tak odmiennych od dawniejszej konwersacji barona, ale także dla zmiany intonacji, gestów. Były one teraz szczególnie podobne do tego, co pan de Charlus najostrożniej piętnował niegdyś: wydawał teraz mimo woli prawie te same piski i okrzyki (u niego mimowolne i przez to tym głębsze), jakie wydają dobrowolnie zboczeńcy, wołający się między sobą „szelmutko”; tak jakby świadome mizdrzenie się, którego pan de Charlus był tak długo przeciwieństwem, było w istocie genialnym i wiernym naśladownictwem wzięcia, jakie mimo wszystko przybierają w końcu Charlusowie, kiedy weszli w pewną fazę choroby, tak jak paralityk lub tabetyk¹⁹³ zdradzają w końcu nieuchronnie pewne objawy. Owo czysto wewnętrzne mizdrzenie się dowodziło w istocie, że między surowym, ubranym czarno Charlusem, z włosami na jeża, którego znałem niegdyś, a uszminkowanymi młodymi ludźmi noszącymi mnóstwo klejnotów zachodziła jedynie ta pozorna różnica, jaka istnieje między osobą podnieconą, mówiącą szybko i rzucającą się ciągle, a neuropatą, który mówi wolno, zachowuje stałą flegmę, ale jest takim samym neurastenikiem w oczach psychiatry, świadomego, że i jeden i drugi typ podlega podobnym lękom i dotknięty jest podobnymi skazami.

To, że pan de Charlus się zestarzał, widać było zresztą po całkiem odmiennych oznakach, jak na przykład nadzwyczaj bujne plenie się w jego rozmowie pewnych zwrotów powracających teraz co chwilę (na przykład: „splot okoliczności”), o które to zwroty słowa barona wspierały się raz po raz jak o nieodzownego opiekuna.

— Czy Charlie już jest? — spytał Brichot pana de Charlus, kiedyśmy dochodzili do bramy.

— Och, nie wiem — rzekł baron, podnosząc ręce i przyzymkając oczy z miną człowieka, który nie chce, aby go pomawiano o niedyskrecję, tym bardziej że cierpiał zapewne wyrzuty Morela za jakieś odezwanie się, które skrzypek uznał za ważne, mimo że było w gruncie nieznaczące. Bo Morel był równie tchórzliwy, jak próżny, i wypierał się pana de Charlus równie chętnie, jak chętnie się w niego stroił.

— Niech sobie pan wyobrazi, ja nie mam pojęcia, co on robi!

¹⁹²Mounet-Sully (pseud.), właśc. Jean-Sully Mounet (1841–1916) — francuski aktor. [przypis edytorski]

¹⁹³tabetyk (przest., z fr.) — osoba cierpiąca na uwiad rdzenia kręgowego, charakterystyczny objaw późnego stadium jednej z chorób wenerycznych. [przypis edytorski]

O ile rozmowy dwojga osób, które żyją z sobą, są pełne kłamstwa, nie mniej naturalnie rodzi się kłamstwo w rozmowach kogoś trzeciego z kochankiem na temat kochanej przezeń osoby, bez względu na jej płeć.

— Czy dawno go pan widział? — spytałem pana de Charlus, aby okazać równocześnie, że się nie boję z nim mówić o Morelu i że nie przypuszczam, aby z nim żył całkowicie.

— Zaszedł do mnie przypadkiem na pięć minut dziś rano, gdy jeszcze spałem; usiadł na moim łóżku, tak jakby mnie chciał zgwałcić.

Natychmiast powziąłem myśl, że pan de Charlus widział się z Morelem przed godziną, bo kiedy spytać kobietę, kiedy widziała mężczyznę, o którym wiemy, że jest jej kochankiem — i co do którego ona sama może przypuszcza, że świat widzi w nim jej kochanka — wówczas, jeżeli jadła z nim dopiero co podwieczorek, kobieta ta odpowiada: „Widziałam go na chwilę, przed śniadaniem”. Pomiedzy tymi dwoma faktami zachodzi tylko ta różnica, że jeden jest zmyślony, a drugi prawdziwy, ale oba są równie niewinne lub, jeśli kto woli, równie występne. Toteż nie rozumielibyśmy, czemu kochanka (w danym wypadku pan de Charlus) podaje zawsze fakt kłamliwy, gdybyśmy nie wiedzieli, że owe odpowiedzi kształtuje, bez wiedzy danej osoby, suma czynników na pozór będąca w takiej dysproporcji z błahością faktu, iż wypadnie tu autorowi przeprosić, że je bierze w rachubę. Ale dla fizyka miejsce, jakie zajmuje najmniejsza kulka bzoła, określa się zgodnością, zderzeniem lub równowagą praw przyciągania lub odpychania — praw rządzących o wiele większymi światami. Wspomnijmy tu jedynie dla pamięci chęć okazania się naturalnym i śmiałym, odruchową chęć ukrycia tajemnej schadzki, połączenie wstydlivosti i popisu, potrzebę wyznania tego, co jest tak miłe, i pokazania, że się jest kochanym, odgadywania tego, co interlokutor wie i przypuszcza, a czego nie mówi; przenikliwość, która przewyższając bystrość partnera lub nie dosięgając jej, każe ją to przeceniać, to nie doceniać; wreszcie mimowolne pragnienie igrania z ogniem i chęć przeszkodzenia jego szzerzeniu się. Tyleż różnych praw działających w przeciwnym kierunku dyktuje bardziej ogólnikowe odpowiedzi dotyczące niewinności, „platonizmu” lub przeciwnie, fizycznej konkretności czyichś stosunków z osobą, którą ów ktoś widział rzekomo rano, kiedy ją naprawdę widział wieczorem. Bądź co bądź, powiedzmy ogólniej, pan de Charlus, mimo pogorszenia jego choroby popychającej go ustawicznie do odsłaniania, insynuowania, czasem po prostu zmyślania kompromitujących szczegółów, starał się w tym okresie życia twierdzić, że Charlie nie jest z tego gatunku ludzi co on sam i że łączy ich tylko przyjaźń. Mimo że to była może prawda, nie przeszkadzało to, że baron popadał czasami w sprzeczność (na przykład co do godziny, o której widział Morela), czy że zapomniał prawdy, czy że kłamał, aby się pochwalić albo przez sentymentalizm, albo bawiąc się tym, że zmyli interlokutora.

— Pan wie, że on jest dla mnie — ciągnął baron — sympatycznym młodym koleżką, do którego jestem bardzo przywiązany, tak jak jestem pewny — czy dlatego, że wątpił o tym, lubił powtarzać, że jest tego pewny? — że on jest bardzo przywiązany do mnie; ale nie ma między nami nic więcej, rozumie pan, ani tycio — mówił baron równie naturalnie, co gdyby mówił o kobiecie. — Tak, przyszedł dziś rano wyciągać mnie z łóżka. A przecie wie, że ja nie cierpię, żeby mnie widziano w łóżku. Pan nie? Och, to jest okropne tak kogoś zaskoczyć, człowiek jest wtedy taki brzydki... Wiem, że nie mam dwudziestu pięciu lat, i nie pozuję na dziewicę, ale i tak człowiek ma swoją kokieterię.

Możebne jest, iż baron był szczery, nazywając Morela dobrym koleżką, i że mówił prawdę bardziej, niż sam przypuszczał, powiadając: „Ja nic nie wiem, co on robi, nie znam jego życia”.

Przerwijmy na chwilę opowiadanie, aby je podjąć zaraz po tym nawiasie, który otwieramy w chwili, gdy pan de Charlus, Brichot i ja zbliżamy się do siedziby pani Verdurin, i powiedzmy, że w istocie niedługo przed tym wieczorem pogrążył barona w boleści i zdumieniu list, który pan de Charlus otworzył przez nieuwagę, list zaadresowany do Morela. Ów list, który rykoszetem miał znów mnie zadać okrutne cierpienia, pisany był przez aktorkę Leę, sławną ze swego wyłącznego gustu do kobiet. Pan de Charlus nie podejrzewał nawet, że Morel ją zna: otóż jej list do Morela pisany był w tonie wręcz namiętnym. Plugastwo tego listu nie pozwala go tu przytoczyć, zaznaczmy tylko, że Lea, mówiąc do Morela, posługiwała się stale rodzajem żeńskim, pisząc: „Och, ty świntuszek!” albo:

„Ukochana, cudna, ty przynajmniej jesteś nasza, jesteś z tych, co...” itd. I była w tym liście mowa o wielu innych kobietach, najwidoczniej równie zażyłych z Morelem jak z Leą. Z drugiej strony drwiny Morela na temat pana de Charlus, a Lei na temat oficera, który ją utrzymywał, a o którym mówiła: „Błaga mnie w listach, żebym mu była wierna! Ty coś wiesz o tym, moja ty kotuśko”, odsłaniały panu de Charlus rzeczywistość równie przez niego niepodejrzewaną jak stosunki Morela z Leą — tak specjalne. Wstrząsnęły zwłaszcza barona słowa: „jesteś z tych...”. Długo nie mając o tym pojęcia, dowiedział się wreszcie (już od dawna), że on sam był „z tych”. Otóż teraz owo przez niego nabyte pojęcie staowało pod znakiem zapytania. Kiedy odkrył, że był „z tych”, rozumiał przez to, że jego gusty, jak powiada Saint-Simon, nie zwracały się w stronę kobiet. Otóż tutaj wyrażenie „z tych” nabierało rozpiętości, której pan de Charlus nie znał; u Morela o tym, że był „z tych”, świadczyć miał fakt, że miał ten sam gust do kobiet co same kobiety. Z tą chwilą zazdrość pana de Charlus nie miała już powodu ograniczyć się do męskich znajomych Morela, ale miała się rozciągnąć i na kobiety. Tak więc „z tych” były nie tylko te osoby, które on przypuszczał, ale olbrzymia część kuli ziemskiej, składająca się równie dobrze z kobiet, jak z mężczyzn, kochających nie tylko mężczyzn, ale i kobiety. Wobec nowego znaczenia słowa, które mu było tak znane, ogarniał barona dręczący niepokój zarówno intelektu, jak serca, zrodzony z podwójnej tajemnicy, w którą wchodziło zarazem poszerzenie jego zazdrości i nagle niedostateczność definicji.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/uwieziona-tom-pierwszy>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu, Uwiedziona, tom pierwszy*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1939.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0717-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).